

George Bidwell

# Cudzą krwią

Opowieść o Karolu Edwardzie Stuartcie

*Część pierwsza*

## **ROMANTYCZNY AWANTURNIK**

## **UNIA POLSKO-SZKOCKA**

Na stopniach wielkiego pałacu w Oławie na Śląsku, pałacu podarowanego niegdyś Janowi III przez cesarza za ocalenie Wiednia i Europy od nawały tureckiej w 1683 r. — stoi królewicz Jakub Sobieski. Wzrokiem odprowadza cztery karety przejeżdżające przez dziedziniec, przez główną bramę. Konie niecierpliwie potrzęsają głowami. Za nimi jeszcze dalsze karety i ładowne wozy. Lokaje, ustawieni rzędem za ciężką, niefo-remną postacią królewicza czekają, by ich pan poszedł z powrotem do pałacu. Ale on wciąż stoi, wpatrzony w znikające w oddali tumany pyłu. Wreszcie odwraca się, a lokaje o nieruchomych twarzach dostrzegają łzy, spływające po zmarszczkach, jakie pół wieku życia wyźłobiło na jego obliczu.

— Boję się, że już jej nigdy nie zobaczę — mówi Jakub do najstarszej ze swoich trzech córek pobożnej Kazimiery.

— A Klementyna zawsze była twoją faworytką — odpowiada młoda dziewczyna z odcieniem urazy w głosie. — Raczej byś dziękował, ojczce, Panu Bogu i Najświętszej Pannie za taki świetny mariaż. Nie każdej dane jest zostać królową.

— Królową... królową... bez tronu — mruczy ojciec. — Może nigdy nie będzie nosiła korony. Zastanawiam się, czy powinienem był zezwolić...?

Zezwolić? Właściwie nie miał wielkiego wyboru.

Ten wymowny Irlandczyk, kawaler Karol Wogan, przybył pewnego dnia do oławskiego pałacu z listami. Jeden — od jego świątobliwości papieża.

„Zyczymy sobie, synu mój, abyś zechciał oddać w zamążpójście naszą chrześną córkę, Marię Klementynę, dla której wybraliśmy na męża naszego brata w Chrystusie, Jamesa Stuarta, prawowitego pretendenta do tronu Anglii, zajętego obecnie przez heretyckiego elektora Hanoweru, zwałęgo się Jerzym Pierwszym...”

Jakub Sobieski wiedział dobrze, że James Stuart, „zwałę się” Jamesem III, ale żyjący w Rzymie z pensji, wypłacanej mu przez papieża, powrócił przed trzema laty z nieudanej wyprawy do Anglii. Próbował siłą odzyskać tron angielski, który w 1688 r. utracił jego ojciec, James II, próbował cofnąć zegary i znowu narzucić Anglii katolicyzm. Jałowa próba — rozmyśla Jakub — świadcząca o pechowej niepraktyczności człowieka, którego papież przeznaczył na męża Klementyny. Gzy Anglicy zgodzą się kiedykolwiek na zdetronizowanie ich obecnego króla, protestanta, wnuka siostry Karola I?

Ale trudno było Jakubowi Sobieskiemu odmówić życzeniu papieża. A już zwłaszcza, gdy się okazało, że Klementyna — znudzona życiem w rodzinnym pałacu oławskim, z dała od gwaru i przepychu dworskiego — zapaliła się do tego mariażu. Miodopłynna wymowa kawalera Wogana obudziła jej romantyczne zamięłowanie do przygód, przekonała, że wkrótce będzie królową Anglii. Bajeczne przygody! Bajki i tyle!

„...mój królewski mocodawca jest charakteru czułego, natury lojalnej, postawy monarszej...”

Gdyby Jakub Sobieski wiedział, że z tych pochwał jedynie „monarsza postawa” odpowiadała w pewnym stopniu prawdzie; że „królewski mocodawca” był porywczym i rozwiązłym gwałtownikiem, a na dokładkę fanatykiem w sprawach rytuału religijnego — może by i nie zezwolił ulubionej córce na tę romantyczną awanturę. Ale skąd mógł wiedzieć? I skąd

mógł wiedzieć, że bogate wiano Klementyny — okrągła suma w gotowiźnie, odziedziczona po ciotce, królowej Hiszpanii, rozległe dobra w Polsce i słynne rubiny, zdobyte przez króla Jana III na Turkach pod Wiedniem — więcej znaczą dla Jamesa Stuarta od osoby narzeczonej?

James pisał do Klementyny, zapewniając, jak zwykle mężczyzna, przed ślubem:

„...każde twoje życzenie będzie dla mnie rozkazem...” Łatwo zawrócić młodej dziewczynie w romantycznej główce. A zanim połączy się ze swym narzeczonym, Klementyna zazna przygód zaiste niemało — więcej, niżby ona sama lub jej ojciec mogli sobie wyobrazić.

A teraz odjechała... Jasnokasztanowate włosy, piękna cera, bystre czarne oczy, owalna twarz i smukła szyja, zgrabne kształty; a jaka serdeczna, jaka przywiązana do ojca... Odeszła z jego życia na zawsze. Jakub Sobieski wie o tym.

Klementyna wraz z matką, księżną Elżbietą neuburską, wyprawiają się w podróż incognito, a przynajmniej mają nadzieję, że pojadą w nikomu nie znane. Ale podróżują z całym orszakiem, 36 rosłych koni ciągnie karoce i wozy ładowne, jadą z nimi dworki, dwóch hrabiów, szambelan, kucharz, liczne pokojówki, lokaje. Pod dostatkiem jest w Wiedniu i gdzie indziej chętnych do sprzedania za garść złota agentom Jerzego I tego słabo strzeżonego incognito.

Królowi Anglii wcale nie przypada do gustu perspektywa prolongowania dynastii Stuartów. Zwraca się do cesarza, Karola VI, z prośbą o zabronienie przejazdu przez jego kraje narzeczonej pretendenta do tronu angielskiego. Karol zapomina więc o fakcie, że Klementyna jest z nim spokrewniona, zapomina a olbrzymich usługach, jakie mu niegdyś oddał jej dziad. Śle gońców...

Jeszcze wszystko byłoby dobrze, gdyby księżna Elżbieta neuburską nie była kobietą niezwykle lekkomyślną i próżną, kochającą się w splendorach, ceremoniach i strojach. Wybrała okrężną trasę, prowadzącą do granic włoskich przez Ratyzbone,

Augsburg i Innsbruck, a znużona powolną podróżą licznej kawalkady po wyboistych drogach, nalega na dłuższy postój w Augsburgu:

— Mój brat biskup ofiarował nam gościnę w swoim pałacu. A nie widziałam go od wielu lat. Będą przyjęcia, bale, uroczystości. A prócz tego odnowimy naszą garderobę. Nie mamy co na siebie włożyć. I tu, w Augsburgu, są sławni na całą Europę jubilerzy i złotnicy. Moje klejnoty potrzebują nowych opraw, przeszlifowania...

— Ale król Anglii czeka! — protestuje Klementyna. — Kawaler Wogan powiada, że chorzeje z impacjencji...

— Niech poczeka. Od tego jeszcze żaden mężczyzna nie umarł. Będzie tym gorętszy, gdy do niego przyjedziesz...

W wilię dnia, gdy kawalkada dotarła wreszcie do Innsbrucka, do miasta wjechał jeden z cesarskich kurierów. Gdyby nie Augsburg, pałac biskupa, krawcy, złotnicy — Klementyna byłaby już we Włoszech. A tymczasem podróżujące damy powitał z lodowatą uprzejmością generał Hester i odprowadził je pod eskortą do zamku Ambras — posępnej, dobrze ufortyfikowanej twierdzy na lewym brzegu rzeki Inn, wśród szarych szczytów skalnych.

Wszelkie wygody, nawet komfort. Ale jednak — więzienie. Dwa razy dziennie generał składa damom formalną wizytę, a przy sposobności węszy, wypatruje, sprawdza ubezpieczenia. Wzmocnione straże pilnują wszystkich wejść do zamku.

Jerzy I angielski oznajmia, że dołoży dziesięć tysięcy funtów szterlingów do wiana Klementyny, jeżeli poślubi ją jakiś inny książę, a nie Stuart. Książę von Baden-Baden uległ pokusie: nie miała fortuna i czarująca dziewczyna! Przybywa więc do Innsbrucku, pełen uwodzicielskich dobrych zamiarów. Ale zastaje Klementynę w najgorszym humorze. Uwwięzienie doprowadza ją do pasji, wyrzuca matce, że z jej winy zwlekano w Augsburgu, na przemian tupie małą nóżką z gniewem, albo płacze z rozpaczy. Wypędza Baden-Badena bez ceregieli z komnat, ciskając za nim poduszkami i pantoflami.

Cesarz Karol — i Jerzy Hanowerski także — nie wzięli w swoich kalkulacjach pod uwagę przedsiębiorczej pomysłowości i bujnej irlandzkiej natury człowieka, który zalecał się i zdobył narzeczoną dla swego królewskiego pana — słowem, nie wzięli pod uwagę kawalera Wogana. Ani też dzielnego, nie-ułękłego serca Klementyny.

Grupa cudzoziemców przybywa do oberży na przełęczy w pobliżu zamku Ambras. Szambelan Klementyny, który cieszy się pewną swobodą ruchów, ponieważ jest Francuzem, chadza często na spacer. Księżna sprzeciwia się wszelkiej konspiracji. Jakub Sobieski przysłał posłańców z zaleceniem, by jego żona i córka natychmiast wracały do Oławy. Córka nie dba o zalecenia rodziców. Jest uparta, marzą jej się awanturnicze przygody, kusi miano królowej.

Pewnego późnego wieczoru Klementyna wstaje z łóżka, ubiera się, zbiera swoje klejnoty. Pokojowa zajmuje jej miejsce w łóżku i naciąga pościel na głowę tak, by szpiegujące oczy mogły dostrzec tylko zarys śpiącej postaci. Szambelan dał kilka monet strażnikom przy bramie, a pobliska karczma, nadal otwarta, okazała się dla nich, jak przewidywano, nieodpartym magnesem.

Klementyna wymyka się z zamku: kawaler Wogan spotyka ją, ujmuje pod ramię, niesie szkatułkę z klejnotami. Pograżeni w śnie pozostali: księżna matka, hrabiowie, szambelan, szef, kucharz i cała reszta wspaniałej kawalkady, która wyruszyła z oławskiego pałacu. Niebawem Klementyna wraz z grupą cudzoziemców z oberży pędzą na południe lekką karetką, zaprzężoną w cztery szybkie konie.

Po przebyciu kilku czy kilkunastu mil okazuje się, że Klementyna zapomniała w oberży szkatułkę z klejnotami. Dziewczyna lekceważy stratę — ale nie kawaler Wogan. On wie dobrze, jakie to ma znaczenie dla jego królewskiego pana. Jeden z kompanii, także Irlandczyk, łowca przygód i fortuny, kapitan Lucas O'Toole, zawraca galopem, wchodzi do uśpionej oberży wyjąwszy z zawiasów drzwi i wkrótce dogania po-

drożnych — szkatułka z klejnotami jest już przytroczona do» siodła.

Przetęcz Brennerska. Karetka podskakuje, przechyla się, kiwa niebezpiecznie. Wąska droga pod olbrzymimi skalnymi nawisami. Przepaście zapierają dech w piersi. Ale Klementyna nie zna strachu. Niebezpieczeństwa ją podniecają. Nie folgują koniom, aż do stromych podejść alpejskich, gdzie narzeczona musi przejść pieszo, w leciutkich pantofelkach, potykając się o kamienie. I znów szaleńcza jazda w dół po drugiej stronie. A jeźdźcy generała Hestera gdzieś za nimi w pościgu.

Romantyczne przygody! Co za podróż! Nawet romantyczniejsza, niż gdyby ją sam narzeczony wykradł! Klementyna dowodzi swego zapału do mariażu i do korony.

Wreszcie docierają do Peri, na granicy z Wenecją- Jeszcze promem przez rzekę Pad — i bezpieczeństwo. Tej nocy., zatrzymawszy się w ubogiej oberży, Klementyna przed odejściem na spoczynek mówi do swych towarzyszy:

— Odwagi, moi dzielni obrońcy! Nigdy o was nie zapomnę ! Teraz już nie mamy się czego lękać. Bolonia i Rzym.

Istotnie, przygody jak w baśni. I ziarna romansu, które zakiełkują dopiero po wielu latach. Jednym z tych, który dopomógł w ucieczce Klementyny, był pułkownik Walkinshaw, Szkot, wygnany z ojczyzny za udział w spiskach, mających na celu przywrócenie Jamesowi Stuartowi tronu, do którego pretendował, a obecnie jego przedstawiciel i agent w Wiedniu. Ziarna nowych przygód? Zakiełkują i wydadzą owoce dopiero wtedy, gdy zaczną dojrzewać następne pokolenie.

Dnia 1 września 1719 r. Maria Klementyna Sobieska zaślubiła w Montefiascone Jamesa Stuarta. Papież ofiarowuje im w darze pałac Muti w Rzymie, obiecuje nadal wypłacać pensję dwunastu tysięcy koron rocznie, otwarcie uznaje w młodej parze króla i królową Wielkiej Brytanii, przydziela im straż przyboczną z gwardii papieskiej. Ostatecznie, James i Klementyna stanowią jedyną nadzieję papieża Klemensa na nawróce-



nie z powrotem Anglii na łono katolicyzmu. Słabą nadzieję, ale zawsze.

Nie zabrakło romantycznych przygód na drodze Klementyny do ołtarza. Nic więc dziwnego, że ożywiła tym samym duchem awanturniczego romantyzmu serce chłopca, które niebawem zaczęło pulsować w jej łonie.

Szaleńcza jazda przez Alpy będzie jedyną wspaniałą przygodą, jakiej Klementyna zazna w swym życiu. Nie dla niej koronacja, ani pałace w Londynie. Dla swego męża będzie tylko sposobem przedłużenia dynastii. I po kilku latach Klementyna ucieknie znowu — ucieczka niedaleka i wcale nie romantyczna. Do klasztoru.

Ale jeszcze przedtem...

Dnia 31 grudnia 1720 r. Klementyna urodzi pięknego chłopca. Dla uczczenia tego nowego dziedzica pretensji do angielskiego tronu wybito medal z napisem: „Spes Britannica”. Papież Klemens odprawia uroczystą mszę dziękczynną. Tego samego dnia na nieboskłonie pojawia się nowa gwiazda — a Hanower, z którego wywodzi się dynastia panującego w Anglii króla, nawiedza straszliwa burza. Czyżby oznaki szczególnej łaski niebios? Nie brak łatwowiernych, którzy w to wierzą.

Wśród popleczników Stuartów w Anglii i w Szkocji budzą się nowe nadzieje. Jeśli James zdobędzie tron, ma już zapewnionego dziedzica i następcę. Entuzjazm dla Stuartów przybiera na sile. Ale zdobycie tronu? Do tego trzeba ludzi i pieniędzy. Skąd ich wziąć? Francja i Hiszpania chętnie się posługują pretensjami Stuartów jako groźbą dla Anglii, ale wcale się nie palą do wydatkowania jakichkolwiek sum na ten cel, co najmniej ryzykowny.

I skąd wziąć wodza, któremu by nie zabrakło: odwagi, determinacji, talentów wojskowych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

Jest więc nieuniknione, że wielu, niecierpliwie licząc płynące lata, zwraca wzrok ku...

Przejdzie do potomności jako Piękny Książę Charlie. Młody Pretendent. I zwyczajnie — Karol Edward. Ale najpierw będzie ochrzczony w kaplicy pałacu Muti. Na ceremonię przybywają kardynałowie, mężowie stanu, księżęta i księżniczki, dyplomaci — Polacy, Włosi, i angielscy wygnańcy. Niemowlę mogłoby być kometa, tak długim obciążono je ogonem imion: Karol Edward Ludwik Jan Kazimierz Sylwester Seweryn Maria.

Koniec ceremonii. Muzyka organów cichnie. Prałaci, akolici, chłopcy z chóru już poszli. Ojciec powróci do swoich kochanek, niemowlę do matki i nianiek.

Dwaj goście, Polak i Szkot, wychodzą razem z Palazzo Muti. Najpierw idą w milczeniu. Chrzciny, uroczysta ceremonia, budząca chwile poważnych myśli... dusza niemowlęcia... doczesne przeznaczenie...

Jeden z dwóch gości przerywa milczenie:

— Dziedziczność. Krew. To książętko w kołysce...

— Polska krew Sobieskich, szkocka krew Stuartów, będą płynęły w jego żyłach.

— Prawnik Jana Sobieskiego... Odwaga, determinacja, talent wojenny...

— Prawnik Karola Pierwszego angielskiego... urok osobisty... och, bez wątplenia... ale poddani zawiedli go na szafot za upór i głupotę.

— Syn Jamesa III, pretendenta... Monarsza postawa... i co więcej?

— Ssz!

— ...i Klementyny Sobieskiej... niechby tylko wziął po matce jej słodycz, żywość usposobienia, dzielność...

— Będzie mu potrzeba więcej, jeżeli...

Jak wiele zawiera się w tym „jeżeli”? Chyba nawet wię-

cej, niż ci dwaj, Polak i Szkot, mogą odgadnąć. Może Karol Edward Ludwik Jan Kazimierz itd. pokusi się o polską koronę, którą nosił jego pradziad? Może o tron Stuartów? W każdym razie...

— Niechaj Bóg da chłopcu wszystkie najlepsze cechy obu rodów!

— Niechaj Bóg go zachowa od najgorszego!  
Bóg się lubuje w hazardzie... rzuca kości!

## *Rozdział II*

### **MARSZAŁEK OSTRZEGA**

— Czas się ubierać, wasza książęca wysokość.

Młody mężczyzna już nie śpi. Właściwie przez całą noc spał niespokojnie i czujnie. Wstaje, przeciąga się — ale nie leniwie, przeciwnie: z energią młodości, palącą się do przygód. Jest wysoki i smukły, włosy ma rudawokasztanowate, jasną cerę, wielkie, błękitne oczy. Jest bardzo przystojny, a jego uśmiech, gdy zwraca się do lokaja, ma nieodparty czar:

— Czy śniadanie już gotowe? A czy jest posiłek do zabrania na drogę?

Przechodzi do gotowni. Ruchy ma pełne godności i zarazem wdzięku.

W godzinę później, w ulewnym deszczu, wyrusza z Rzymu w kierunku północnym jeździec wyglądający na kuriera, w towarzystwie jednego tylko kompana. Jest dziewiąty dzień stycznia 1744 r.

O świcie dwaj jeźdźcy szukają schronienia w przydrożnej oberży. Odpoczywają przez cały dzień. Ich przemoknięta odzież suszy się przed ogniem na kominku. Posiłki przynoszą im do osobnej izby.

Tego samego dnia urządzono w Rzymie zawody strzeleckie. Obaj młodzi książęta Stuartowie, Karol Edward i młodszy od niego o cztery lata Henryk, przyrzekli uczestniczyć w zawodach. Henryk przybywa i tłumaczy nieobecność brata niedys-

pozycją. Nie jest to może świadectwem ścisłego umiłowania» prawdy, które by przystało przyszłemu księciu kościoła.

Kurier i jego towarzysz wyruszają w dalszą drogę po zapadnięciu ciemności. Oberżysta, mocno w dłoni ściskając parę złotych monet, patrzy za odjeżdżającymi, aż znikną w mroku. Drapie się w łysinę i powiada do żony:

— Ciekawym, co ci dwaj knują? Kto światła dziennego unika, jak oni, nie jest zwyczajnym kurierem!

W pobliżu granicy toskańskiej nocni jeźdźcy wprowadzają swoje wierzchowce do lasu. A o świcie następnego dnia do najbliższej oberży wchodzi: hiszpański oficer i jego ordynans. Po posiłku i krótkim odpoczynku jadą dalej. Już nie unikają światła dziennego: jadą dniem, nocą odpoczywają.

Objechawszy podnóże Apeninów dwaj jeźdźcy docierają do Genui, a dalej wzdłuż wybrzeża na zachód aż do Savony. Tu wsiadają na pokład małego francuskiego statku. Oficer hiszpański udaje się prosto do swojej kabiny i tam przesiaduje, wychodząc na krótki spacer tylko wtedy, gdy inni pasażerowie śpią. Na Morzu Śródziemnym przebywa wojenna flota angielska. Jej admirał z wielką satysfakcją zagarnąłby francuski stateczek, na pozór niegodny jego uwagi, gdyby tylko wiedział, że ten młody człowiek w mundurze hiszpańskiego oficera planuje detronizację króla Jerzego II.

Od samego początku nie brak w tej wyprawie Karola Edwarda przeszkód. Obaj z ojcem i ich zwolennicy zawsze podkreślają, że Hanowerczycy — Jerzy II wstąpił w 1727 r. na tron po swoim ojcu, Jerzym I — są cudzoziemcami. Ale Karol Edward jest niewiele więcej Anglikiem od Hanowerczyków. Półkrwi Polak po matce, ma również w swoich żyłach krew francuską, włoską i austriacką.

Wykształcony i wychowany w Rzymie, jest oczywiście wiary swych rodziców — rzymskokatolickiej. Ale Anglicy, którym zamierza narzucić panowanie swego ojca, a ewentualnie swoje, są zdecydowanymi protestantami. Od czasów królowej Elżbiety — zmarłej prawie przed półtora wiekiem — gdy walczyli

z katolicką Hiszpanią o udział w bogactwach Nowego Świata, Anglicy uważają, że ich niepodległość i dobrobyt wiążą się najściślej z protestantyzmem. Nie znają tolerancji. Nie chcą tego, co zwą „diabelskim zabobonem papistów”. Za panowania pra-stryjka młodego Karola Edwarda, króla Karola II, nominalnie protestanta, wygnano z Londynu trzydzieści tysięcy katolików. Dziada Karola Edwarda, jawnego katolika, zdetronizowano i wygnano dlatego, ponieważ usiłował narzucić poddanym własną religię. A ojciec Karola Edwarda, Pretendent, przyrzekł papieżowi, że jeśli odzyska tron Stuartów, przywróci w Anglii dawną katolicką religię. Ta obietnica bynajmniej nie ułatwi Karolowi Edwardowi wypełnienia jego misji.

Do tej pory tryb jego życia był dość typowy dla ówczesnych książąt na wygnaniu. Dziwnie brak jakichkolwiek ważniejszych wydarzeń — i brak przygotowania, jakby nic nie zwiastowało trudnych zadań przyszłości, wymagających odwagi, determinacji, zdolności wojskowych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

Mając osiem lat Karol Edward mówił biegle po angielsku, francusku i włosku. Chwalono go za inteligencję. Ale najbardziej palił się do konnej jazdy i strzelania — potrafił dziesięć razy pod rząd rozciąć rzuconą piłkę strzałą z łuku.

Z mostu Karol Edward rzuca drobne monety w nurt Tybru. Mali ulicznicy rzymscy nurkują po nie. Książę klaszcze w ręce, z zachwytu woła „bravo”! patrząc, jak każdą monetę chwyta mała brunatna ręka. Ale gdy starsi chłopcy, którzy wolą postugiwać się sprytem, niż płucami, przynoszą siatki na długich kijach — książę protestuje:

— To nie po sportowemu! To tak, jakby strzelać do siedzącego ptaka!

Łatwo pieszczonemu w dostatkach księciu krytykować niesportowe zachowanie. Nie potrzebuje narażać swoich płuc dla cudzej zabawy za cenę miedziaka.

Niezadowolony, Karol Edward gromadzi wokół siebie odpowiedniejszych towarzyszy zabaw — potomków międzynarodowej arystokracji. Wybiera sześciu, których przywódcą będzie on. Pozostałych czternastu ma bronić przed jego atakiem niewielkie wzgórze.

— I po krótkiej walce musicie pozwolić się wypędzić z pola bitwy. Bo w moich książkach książęta, chociażby na czele mniej licznych wojsk, zawsze zwyciężają...

Miejmy nadzieję, że jego wrogowie, obecni i przyszli, znają zasady gry.

W trzynastym roku życia gra biegle na wiolonczeli. Damy dworskie nalegają, by im zagrał. I wygłaszają odpowiednie komentarze:

— Ach, jaki ładny, cukiereczek...

— Słodka melodia...

— Jaki on czarujący...

— Już doskonały dworzanin z niego...

— Piękny książę...

Młodzieniec chętnie łyka pochlebstwa, zwykłe na dworach. Damy głaszczą jego rudokasztanowate loki, dają mu łakocie. Jedna z dam, kładąc rękę na jego ramieniu pod jedwabnym rękawem, stwierdza z zachwyconym zdumieniem:

— Och! Go za muskuły! Już... mężczyzna...

— Sporty wyrabiają mięśnie — chwali się Karol Edward.  
— Fechtunek, zapasy, łowy...

Pewnego dnia jego guwerner, Sir Thomas Sheridan, szuka go zaniepokojony. Jedna z dam dworu zabrała księcia do swych prywatnych apartamentów — by mu pokazać swoje klejnoty, jak powiada. Sir Thomas bez ogródek ostrzega ojca chłopca:

— To już nie dziecko, najjaśniejszy panie! A rośnie na dworskiego gładysza, zanadto lubującego się w towarzystwie dam. Niechaj się nauczy żołnierki, jak jego wielki pradziad, Jan Sobieski...

Wysłano więc Karola Edwarda do spokrewnionego z nim diuka Lirii, na czele wojsk francuskich, hiszpańskich i sardyńskich oblegającego Austriaków w Gaecie. Diuk chwali odważne zachowanie młodzika w ogniu. Ale Sir Thomas Sheridan znowu ostrzega:

— Błagam, by wasza wysokość tak nieopatrnie nie narażał się na niebezpieczeństwo...

Chłopiec był dzielny, to nie ulegało wątpliwości, ale jak jego matka — uparty.

Gaeta była dla Karola Edwarda tylko przedsmakiem. Wyczekiwał. Ambitny, romantyczny uczeń, który wiedział, że jest księciem, a wierzył, że książęta muszą być, jak ich odpowiednicy w historii i w legendzie — wielkimi wodzami. Nigdy nie miał się wyzbyć ani ambicji, ani iluzji.

Miał lat osiemnaście, gdy po raz pierwszy poprosił ojca:

— Pozwól mi jechać do Szkocji, ojczu! Poruszę klany, porwę je do walki o odzyskanie twego tronu!

— Jeszcze nie czas — odpowiedział Pretendent, pamiętając o własnej klęsce w takiej właśnie próbie. — Mam tu kopię, przysłaną mi przez mego ajenta w Londynie, relacji Duncana Forbesa, Lorda gubernatora Szkocji.

Podał synowi dokument:

„...niezadowolenie zanika w tych stronach królestwa. Wielu z tych ludzi, którzy przed siedmiu laty z determinacją opowiadali się po stronie Pretendenta, zmieniło teraz nastroje na bardziej letnie, a nawet obojętne dla jego sprawy”.

— Forbes jest stronnikiem hanowerskich uzurpatorów — odparł Karol Edward. — Píše takie relacje, które spodobają się angielskiemu rządowi!

— Forbes jest bardzo rzetelnym obserwatorem — odparł James. — Szkoda, że to nie nasz stronnik. Jego raport pokrywa się z wiadomościami, jakie otrzymuję z innych źródeł. Musi-



my zaczekać, aż wojska francuskie będą mniej zajęte. Nie odniesiemy sukcesu bez francuskiej pomocy...

I te słowa również, jak decyzja przywrócenia katolicyzmu w Anglii, dowodzą żalostnego braku zrozumienia ludzi, których chciał uczynić swymi poddanymi. Francja była protektorem, przynajmniej nominalnym, Stuartów od czasu, gdy James II uciekł z Londynu do St. Germain. Anglicy rozumieli dobrze, że Stuartowie mogą odzyskać tron tylko z pomocą francuskich wojsk i francuskich dukatów. A za tę pomoc trzeba będzie później zapłacić, prawdopodobnie koncesjami kolonialnymi, w Indiach Zachodnich albo w Północnej Ameryce. A co Anglicy by zyskali? Wątpliwe dobrodziejstwa prześladowań religijnych z przeciwnej strony? Ta kalkulacja się nie opłaci.

Karol Edward musiał więc czekać, wprawiając się tymczasem w uprawianiu sportów, w myślistwie, w grze na wiolonczeli, w aferach z damami dworu. Egoizm młodości łączył się u niego ze świadomością królewskiego pochodzenia. Miał łatwość obcowania, wdzięk w sposobie bycia. Ale na czysto powierzchniowym poziomie. Z nikim nie był naprawdę blisko. Mógł mieć nawet wielu zwolenników, ale bardzo mało przyjaciół. Zdawało się, jakby się bronił przed pogwałceniem samotności własnej duszy. Może tak, jak gospodyni, która nie chce otwierać szpitalni, by nie ujawnić, że jest pusta?

Ulegając ustawicznym naleganiom Sir Thomasa Sherida-na, młody książę przestudiował dzieje niezbyt chwalebnej próby zdetronizowania Hanowerczyków w 1715 r. Nauczył się z tego przynajmniej jednej lekcji. Klany z wysokich gór Szkocji powstały i nie napotykając oporu wkroczyły do Anglii, zanim jeszcze sam Pretendent przybył zza morza. Góralom wkrótce zaczęło się wydawać, że ich król nigdy nie przybędzie, że opuścili oni swoje domy i swoje stada nadaremno. Dezerterowali setkami. Resztki pobito przeważającymi siłami w bitwie pod Preston. I wtedy przybył Pretendent, kiedy już nic mu nie pozostało do roboty, tylko wracać do Francji.

— Gdy moja kolej nadejdzie — zapowiada Karol Edward

— to już dopilnuję tego, by być na miejscu, kiedy klany powstaną i poprowadzą góralsi osobiście!

Ta decyzja była z pewnością słuszną — chociaż nawet zrodziła się z romantycznego usposobienia młodego księcia... Jechać na czele wiernych wojowników, na białym wierzchowcu, z połyskującą szablą w dłoni, odprowadzany zachwyconym spojrzeniem dziewcząt...

Istotnie, od chwili urodzin Karola Edwarda, szkoccy bardowie opiewali go jako przyszłego zbawiciela Szkotów. Dynastia Stuartów była początkowo dynastią szkocką. Sześciu Jamesów Stuartów zasiadało na szkockim tronie, zanim ostatni z nich, syn Marii Stuart, odziedziczył po królowej Elżbiecie tron angielski, zjednoczył korony obu królestw. Szkoci uważali Stuartów za swoich prawych władców, rodzaj najwyższego klanu, a dla wielu z nich Jerzy II był tylko hanowerskim uzurpatorem. Zgodnie z legendą Szkoci oczekiwali na oswobodziciela: niektórzy wierzyli w niego jak w Mesjasza. Wokół ognisk obozowych i w takich oberżach, do których nie przenikali angielscy szpiedzy, wznoszono regularnie toasty:

— Zdrowie króla za morzem...

A jeśli ktoś z obecnych zawahał się, obnażano szpady i śpiewano sławną piosenkę jakobitów:

*A kto tego zdrowia nie wypije,  
Niech się z własnym żegna! Już nie żyje!*

Nagle — wielka sposobność dla „zbawcy narodu”. Mógł zacząć zbawiać. Francja wdała się w wojnę z Austrią, subsydiowaną przez Anglię. A Fryderyk pruski wybrał ten moment, by wkroczyć do Czech, zająć Pragę. Austrii zabrakło wojsk do wojny z Francją, musi pilnować własnych granic. Ludwik XV dostrzega olśniewające perspektywy: podbój Flandrii, zdetronizowanie króla Anglii i restauracja katolickiej dynastii Stuartów.

Oddał do dyspozycji Pretendentowi piętnaście tysięcy żołnierza, ze statkami transportowymi, by ich przepawić do południowo-wschodniej Anglii, pod wodzą doświadczonego weterana wielu wojen, marszałka Maurycego Saskiego — bastarda Augusta, króla Polski. Drugie, mniej liczne wojsko miało jednocześnie wyprawić się do Szkocji, gdzie stanowiłoby jądro zawodowych żołnierzy dla poparcia burzliwej masy szkockich klanów. Ale jeszcze trzeba było kogoś, kto by zajął się angielskim tronem z chwilą opróżnienia go przez Maurycego Saskiego. Ludwik XV, znając niezaradność Pretendenta na polu walki, zasugerował mu, by wysłał swego syna z pełnomocnictwem regenta, a sam wyprawił się później.

Karol Edward aż się palił do wyprawy — bohaterski wódz wiernych wojowników, biały wierzchowiec, połyskująca szabla... Albo Jan Chrzyciel, zapowiadający Szkotom nadejście oczekiwanego Mesjasza.

Zanim przywdział przebranie kuriera, by ze swym francuskim służą wypuścić się w dżdżystą włoską noc, młody książę skreślił pożegnalny list do ojca:

„Ufam, że z łaską Boga będę mógł niebawem złożyć trzy korony ! angielską, szkocką, irlandzką) u stóp waszej królewskiej mości”.

„Z łaską Boga” — użyteczne zastrzeżenie. W razie czego będzie na kogo zwalić winę!

Francuski statek z hiszpańskim oficerem, jako pasażerem, zawija do małego portu Antibes, na zachód od Nicei. Ale żaden hiszpański oficer nie wysiadł. Natomiast wysiada francuski szlachcic: mała peruczka z potrójnym rzędem loków nad czołem, z tyłu związana czarną wstążką; trójgraniasty kapelus, sukienna kamizelka, fałdzysty, obszerny surdut, otwarty z przodu, ciężki płaszcz podróżny z pelerynką, aksamitne obcisłe spodnie do kolan, pantofle z klamrami. Podróżny jedzie dylizanssem przez całą wschodnią Francję, od południa aż na północ i przyjeżdża do Gravelines w pobliżu Dunkierki w dwadzieścia dni po wyjeździe z Rzymu.

Oczekuje go John Murray z Broughton, którego James mianował osobistym sekretarzem syna. Murray jest mężczyzną średniego wzrostu, szerokich barów, twarzy ciemnej, oczu niepokojnych, unikających cudzego wzroku — zarozumiały, pewny siebie, a na dokładkę kocha się w intrygach. Ta nominacja pozwala wątpić, czy James umiał właściwie oceniać ludzi. Z Murrayem jest Lord David Elcho — wysoki, silnie zbudowany jasny blondyn, o niebieskich oczach i pełnych humoru zmarszczkach wokół ust. Więcej zasługuje na zaufanie od Murraya, ale sam z kolei nie ma zbyt wysokiego mniemania o osobie Karola Edwarda. W Rzymie kiedyś miał powiedzieć :

— Książę jest nudnym kompanem. Rozmawia tylko o golfie i strzelaniu do ptaków. Książkami się nie interesuje.

Ale Lord Elcho jest lojalnym stronnikiem — odważny, zahartowany, stawia czoła przeszkodom realistycznie, nie romantycznie.

Murray i Elcho, razem z Sir Thomasem Sheridanem, siedemdziesięcioletnim gubernierem — za starym, być może, do tego rodzaju awanturniczych przedsięwzięć, ale głęboko do księcia przywiązanym i wywierającym znaczny wpływ na niego — przybyli właśnie ze Szkocji, gdzie usiłowali nakłonić wodzów poszczególnych klanów, by się zobowiązali do wydobycia szabli z pochew, a srebra z mieszkań.

— Jak tylko wasza wysokość postawisz stopę na swojej ziemi, otoczą cię tłumy!

Lord Elcho jest ostrożniejszy.

— Pod warunkiem, że wasza wysokość będzie miał ze sobą dostateczną ilość francuskich bagnetów.

— Najważniejsza jest obecność waszej wysokości, we własnej osobie — dorzuca Sir Thomas. — Oni się jeszcze trochę wahają, dopóki nie zobaczą księcia na własne oczy!

— Toteż zamierzam tam być i to jak najprędzej! — rzecze książę. Rozgląda się wokół, a to, co widzi, cieszy jego oko. Wojenne przygotowania w pełni: na wschód i zachód od Gra-

velines, a tuż przy brzegu, chroniona przez jednostki wojennej marynarki francuskiej, leży flota transportowców. — Chyba nie ma wątpliwości co do francuskich bagnetów! — dodaje entuzjastycznie.

O zgromadzeniu tych bagnetów, transportowców, okrętów, wiedzą dobrze po tamtej stronie kanału. I o przybyciu tego, którego coraz częściej zwie się Młodym Pretendentem. Rzym roi się od szpiegów i angielskich agentów. Ubiór kuriera, mundur hiszpańskiego oficera, „niedyspozycja”, która przeszkodziła Karolowi Edwardowi wziąć udział w zawodach strzeleckich w Rzymie, cała ta trochę naiwna konspiracja nie zapobiegała wieściom o wyjeździe księcia, podróży przez Francję, o jego zamiarze wyprawy po ojcowski tron. W Anglii niepokój. I nie bez przyczyny. Większość wojsk pod dowództwem syna króla Jerzego, Williama księcia Cumberland, walczy z Francuzami we Flandrii.

Istotnie, wydaje się, że Stuartom nigdy nie trafi się lepsza, szansa sukcesu „z łaską Boga”. Nieszczęściem dla Karola Edwarda, Bóg nie zechciał okazać swej łaski katolikom: wybucha potężna burza. Francuskie okręty koło Dunkierki podnoszą kotwice. Wichura pędzi je na północ. Niezdarne transportowce kołyszą się na garbach potężnych fal, rozbijają jedne o drugie. Wiele się przewraca, tonie, osiada na przybrzeżnych mieliznach. Gdy wreszcie burza i morze ucichną, nadciąga wojenna flota angielska, by dokończyć dzieła zniszczenia armady Maurycego Saskiego.

W Anglii radość. Tron Hanowerczyków jest bezpieczny, przynajmniej na razie. Mało kto sobie wyobraża, by Młody Pretendent był na tyle lekkomyślny, aby wszcząć rebelię bez francuskiego poparcia. „Z łaską Boga” — widocznie protestanckiego Boga.

Marszałek Maurycy Saski składa wizytę księciu.

— Trzeba odłożyć inwazję, wasza wysokość — rzecze.

— Na jak długo? — pyta książę, zrozpaczony, widząc, jak

mu się pewne już zwycięstwo wymyka z rąk. — Musimy zebrać nową flotę transportowców. Maurycy Saski ignoruje tę uwagę.

— Otrzymałem od najjaśniejszego pana, mego królewskiego mocodawcy, rozkaz udania się do Flandrii.

— A wojska? Gzy inny dowódca...?

— Wojska idą ze mną. Potrzebne są na północy. Nie mogą tu gnić beczynnie, gdy buduje się nowe statki!

Książę wybucha gniewem.

— Opuszczacie mnie!

Nie wie, że to nie tylko burza na morzu wpłynęła na zmianę zdania Ludwika XV-ego. Rząd francuski powziął wątpliwości co do poparcia, jakie rebelia na rzecz Stuartów zyska w Anglii. Podbój Flandrii wydaje się przedsięwzięciem łatwiejszym i intratniejszym.

Marszałek wzrusza ramionami.

— Otrzymałem rozkaz.

— Klany zdobędą tron mego ojca bez waszej pomocy. Ja jadę do Szkocji! — woła Karol Edward.

— Radziłbym jeszcze rozważyć tę pochopną decyzję — ostrzega marszałek, schylając się w pożegnalnym ukłonie. — Więcej ona przynosi zaszczytu odwadze waszej wysokości, niż zdrowemu rozsądkowi,

### *Rozdział III*

#### **„DO DZIEŁA - NARESZCIE!”**

Klementyna Sobieska, uwięziona na zamku Ambras, nie pogodziła się ze złym losem, który chciał ją pozbawić romantycznej przygody.

Ani też jej syn, opuszczony we Francji przez sprzymierzeńców, nie wyrzeka się umiłowanego planu. Gdy trochę ochłonął z gniewu, oznajmia:

— Ty, Johnie Murray i ty, Elcho, pojedziecie do Szkocji. Tam przygotujecie wszystko do powstania.

— Ale... mości księżę... bez pomocy Francji? — oponuje Lord Elcho. — Bez wojsk?

Księżę przerywa mu wpół słowa.

— Sir Thomas uda się ze mną do Paryża. Zobaczą się z królem Ludwikiem. Nie może się teraz wycofać!

Nie może...?

Gdy Karol Edward dotarł do Paryża, Ludwik znajduje się w Fontainebleau. Tam księcia przyjmuje szambelan, który w imieniu króla wyraża żal, ale:

— Jego królewska mość jest obecnie zbyt zajęty, aby mógł udzielić audiencji.

Chłodno potraktowano syna tego, którego król Francji zwie swym bratem monarchą. Ludwik uznał, że podbój Flandrii jest zadaniem pilniejszym i łatwiejszym od inwazji na Anglię. Prócz tego, uwagę jego zajmuje nowa kochanka, Madame de

Pompadour, podsunięta przez dworzan, szukających za jej pośrednictwem wpływu na króla.

W drodze powrotnej do Paryża Karol Edward mówi z żalem do swego starego gubernera:

— Pamiętasz przecie, że to król Francji sam mnie nama wiał, bym tu przybył. A teraz? Nie dba w ogóle o tron mego Ojca — o ile to nie leży w jego własnym interesie. A mego ojca uważa za kukłę w swoim ręku...

W Paryżu bankier szkocki, Eneas Macdonald, brat wpływowego wodza klanu, Donalda Macdonalda z Kinlochmoi-dart, zaprasza, by księżę zechciał gościć w jego domu. Karola Edwarda opanował nastrój nieobliczalnej gwałtowności.

— Wynajmę łódź rybacką — mówi. — I popłynę sam jeden do Szkocji!

— Tym z pewnością niewiele się osiągnie, wasza księżęca wysokość — rzecze Eneas, w chwalebnym wysiłku ułagodzenia księżęcego gościa. Stary Szkot jest niskim, rudowłosym mężczyzną o krzaczastych brwiach i ostrym spojrzeniu.

— Więc co ja mam począć? — wybuchł Karol Edward. — Nie mogę się tu wałęsać bez sensu i celu! Przybyłem, by działać! Tęsknię do czynu! Pójdę zaciągnąć się do armii francuskiej we Flandrii! Marszałek Saski nie odrzuci chyba mojej szabli!

Sir Thomas Sheridan oponuje:

— Anglicy walczą we Flandrii. Nie będzie to z korzyścią, ani dla ciebie, mości księżę, ani dla twojej sprawy, gdy podniesiesz własną szablę przeciw poddanym twojego ojca.

— Wy wszyscy umiecie tylko protestować! — krzyczy księżę. — Musi być jakieś wyjście! Gdzie mam wracać do Rzymu z podwiniętym ogonem, jak skarcony pies? Nigdy! Nigdy! Więc co mam począć? Powiedzcie mi!

— Cierpliwości, mości księżę, cierpliwości! — doradza Sir Thomas.

Ale tej cechy Karol Edward nigdy nie posiadał w nadmiarze.



— Klnę się na honor i gotów bym dać w zastaw moje dobre imię i mój majątek, że klany powstaną! — rzecze Eneasze. — Szabla mego brata będzie na wasze usługi, a za nim pójda inni. Wasza księżęca wysokość winna tylko zaczekać, aż wróci John Murray...

Dyskusja, argumenty — do późnej nocy. Księżę, rozczarowany, rwący się do walki, do zwycięstw, do białego konia i błysku szabli — rzuca tuzin propozycji, jedne bardziej szalone od drugich. Jego gospodarz i guwerner starają się go pohamować. Obaj są zdecydowanymi stronnikami sprawy Stuartów, ale — chcieliby uniknąć zbędnego ryzyka i pośpiechu, zgubnego dla szansy powodzenia. Wreszcie, gdy ślepa zapamiętałość i realistyczna ostrożność doszły jakoś do kompromisu, uzgodniono plan postępowania. Nadal bardzo hazardowy, nadal odrzucający ostrzeżenie marszałka Saskiego, jednakże powściągnięty w pewnej mierze księżęca zapalczywą lekkomyślnością. I księżę zgadza się czekać powrotu Johna Murraya.

Król Francji, władze wojskowe nadal ignorują syna Jamesa Stuarta. Czas mija. Murray nie wraca. Karol Edward szarpie się i zżyma. Nie chce się wycofać, a nie może iść naprzód. I denerwuje go w najwyższym stopniu jego obecny sposób życia. Przywykł do dworskiego ceremoniału, choć chętnie by go zamienił na najsurowsze nawet trudy wojennej kampanii. Rzym przyzwyczał go do wesołości, rozrywek, pochlebstw dworaków, zachwyconych spojrzeń kobiet. We Francji jest nikim. Jakiś rzekomy pseudokról wicz, którego król-słońce odręca, bo na razie nie może się nim posłużyć. Arystokracja naśladuje dwór królewski. Nie ma zaproszeń dla Karola Edwarda. Mało kto się ukloni, zdejmie kapelusz, pozdrowi. Ludzie, u których zamieszkał, szkoccy bankierzy, kupcy, przebywający na wygnaniu, bo tu mogą zbijać fortuny, okazują mu respekt, ale to nudni mieszczanie. Ich stoły uginają się od jadła, ich piwnice pełne są trunków, ale brak im dworskiej ogłady. No, i nieustannie hamują porywczosć księcia.

A Murraya wciąż nie widać. Inni przybywają ze Szkocji; starsi mężczyźni, którzy pamiętają porażkę 1715 r.

— Gzy Murray przygotowuje powstanie? — dopytuje się książę.

Odpowiedzi wymijające. Lepiej się nie angażować. — Jak oceniacie szanse zwycięstwa? — nalega książę.

— Należałoby zapewnić sobie pomoc Francuzów — odpowiadają mu przezornie. W rozmowie z Sir Thomasem Sheridanem, w jego własnej komnacie, okazują więcej szczerości.

— Bez Francuzów nie ma żadnej szansy... Murray robi wiele hałasu, ale niczego nie osiągnie...

Sir Thomas przestrzega księcia, że ci, co ostatnio przybywają ze Szkocji, nie wierzą w możliwość zwycięstwa.

— Starzy, spróchniali głupcy! — woła książę. — Każdy z nich woli, pojękując, umierać w łożu, niż zginąć chwalebnie na polu bitwy! Potrzeba mi ludzi młodych, porywczych, o gorącej krwi, która zrywa ich do czynu, do bohaterstwa!

Te namiętne słowa książę zwraca niezbyt taktownie do starego gubernera, który ma blisko siedemdziesiątkę. A zarazem jest swemu pupilowi prawdziwie wierny i oddany, pragnie iść naprzód, ale do zwycięstwa, nie jako gracz w hazard, rzucający kości na los szczęścia.

Karol Edward nie ma, praktycznie biorąc, grosza za pazuchą. Ale w jego kamizelkę wszyte są klejnoty wielkiej ceny — wkład jego ojca na rzecz powstania.

— Weź te klejnoty i pożycz mi w zastaw pieniędzy — mówi książę do Eneasza.

— Uczyniłbym to z chęcią, mości książę — odpowiada bankier. — Ale ja zwijam wszystkie moje sprawy tutaj. Gdy poześlujesz do Szkocji, mój książę, ja będę u twego boku...

Książę ujmuje rękę Eneasza w obie swoje.

— Oto pierwszy znak zaufania! — mówi. — Z głębi serca ci dziękuję! Nawet gdybym się miał wyprawić sam, nie ważyłbym się wcale, ale im więcej wiernych i oddanych przyjać, tym lepiej!

Wynaleziono innego bankiera, nazwiskiem Waters, który pożyczył sto dwadzieścia tysięcy funtów. Książę ma teraz zajęcie: odwiedza wytwórnie armat, broni ręcznej, amunicji, zamawia, planuje.

I w końcu, z początkiem lutego 1745 r. John Murray powraca, Lord Elcho został w Szkocji. Murray udaje pewność siebie, zapał:

— Gdy tylko wasza książęca wysokość podniesie sztandar,, klany stłoczą się wokół niego!

— Które klany się przygotowują, ilu ludzi? — pyta książę, ożywiony, pełen zachwytu.

Ale na to pytanie nie otrzyma rzeczowej odpowiedzi.

— Otóż, oni, że tak powiem, szykują się... Z ostateczną, mobilizacją czekają przyjazdu waszej książęcej wysokości. Gdy tylko staniesz na szkockiej ziemi...

— A nasi poplecznicy w Anglii?

— Dziesiątki tysięcy katolików przyłączy się, gdy tylko wasza książęca wysokość przekroczysz granicę...

Podobnymi słowy stronnicy Marii Stuart zachęcali niegdyś: króla Filipa hiszpańskiego, by wysłał przeciw Anglii swoją Wielką Armadę. Ale gdy Wielka Armada przybyła na morza wokół angielskiej wyspy — nawet katolickie koty nie miauknęły przeciw Elżbiecie, panującej protestanckiej monarchini. Karol Edward spiesznie prześlizguje się ponad takimi niewygodnymi analogiami historycznymi.

— Diuk Perth jest zdania, że obejdziemy się bez francuskiej pomocy! — ciągnie Murray.

— Diuk Perth? Szlachetny człowiek! Jeśli on jest takiego mniemania, na Boga! To dość. Jutro, mój drogi Murrayu, wracasz do Szkocji. Powiedz im, że w ciągu miesiąca stanę-przed klanami. Moje przygotowania są już zaawansowane. Odesłałem precz od siebie tych ludzi starych, zmurszałych, posępnych, kraczących jak kruki. Zgromadziłem przy sobie młodych, śmiałych, ci mi będą towarzyszyć! Nareszcie! Nareszcie!<sup>1</sup> Do czynu! Śmiało przedsięwzięcie!

Rzeczywiście, odesłał starych, ale nie wszystkich. Jest przy nim Sheridan, jest diuk Adioll, który opuścił swoje schronienie w innej prowincji Francji, gdzie żył jako banita od 1715 r. Stary diuk ma szósty krzyżyk na karku i jest na w pół sparaliżowany od reumatyzmu. W tym samym wieku jest Sir John Macdonald, który przez wiele lat służył w hiszpańskiej kawalerii. Pozostali towarzysze księcia lepiej się nadają na uczestników desperackiego przedsięwzięcia. Eneas Macdonald. Ojciec George Kelly, od dawna spiskowiec jakobitów, wymowny, często złośliwy, wysoki i pięknie zbudowany, z postawy podobny do samego księcia. Kapitan John O'Sullivan, irlandzki poszukiwacz przygód, słynny z odwagi i z bohaterskich wyczynów, jakich dokonał z wojskami francuskimi na Korsyce, we Włoszech i nad Renem. Wreszcie pułkownik Francis Strickland, pochodzący ze starego jakobickiego rodu, osiadłego w północnej Anglii.

Księżę zatrzymuje przy swojej osobie Sheridana i Eneasza, wyprawiając resztę do Nantes, u ujścia Loary.

— Znajdźcie dla nas kwatery — rozkazuje. — Nie sądzę, by francuskie władze nam przeszkadzały. Król aż nadto rad będzie, że się mnie pozbywa. Ale strzeżcie się angielskich agentów i szpiegów. W żadnym domu nie pomieście więcej, jak dwóch z nas. I nazywam się Douglas.

— Czy mamy rozejrzeć się za statkami? — pyta kapitan O'Sullivan.

— Potrzeba nam co najmniej dwóch statków. Przybędę z bronią i amunicją. Nie zwrócą chyba na nas większej uwagi, bo w Nantes wciąż się zbroją i szykują różne ekspedycje morskie. Ale dla ostrożności będę wysyłał broń partiami, co parę dni.

Księżę umie szybko powziąć decyzję, wydaje rozkazy energicznie, władczym tonem. Rwie się do realizowania planu, ułożonego przed blisko rokiem wspólnie ze starym gubernatorem i szkockim bankierem. Ale broń, o której mówi, jest żałośnie uboga. Dwadzieścia lekkich działek polowych, tysiąc osiemset

szabel, tysiąc pięćset fuzji z prochem i kulami. I z tą bronią książe chciałby zdobyć trzy trony!

Karol Edward przyjeżdża do Nantes. Jego wysłannicy dobrze się sprawili. Księcia wraz z jego lokajem ulokowano w skromnym domostwie. Do ojca pisze z humorem:

„Obywam się jednym sługą, chodzę z nim 'kupować ryby i targuję się z przekupkami... Nikt nie wie, gdzie przebywam. Dużo tu jest Szkotów i czasem mówią mi w twarz „ostatnie wiadomości” o mnie samym, co jest bardzo zabawne...”

Gdy członkowie „desperackiego przedsięwzięcia” spotykają się przypadkiem na ulicy, mijają się obojętnie, jakby się wcale nie znali. Zabawa w spiskowców!

W pobliskim pałacu Navarre mieszka książe de Bouillon. Posłyszawszy o przybyciu incognito księcia do Nantes, zajęcza przed skromne domostwo wspinałym ekwipażem, z tarczami herbowymi błyszczącymi na drzwiczkach.

— Ależ wasza książęca wysokość nie może tu pozostać! — nalega. — Nie uchodzi! Godność tytułu, osoby, nie pozwala...

— Ale skąd wiedziałeś, mości książe, że ja tu jestem? — pyta naiwnie Karol Edward.

Książę de Bouillon wybucha śmiechem.

— Mój kochany królewiczu, całe Nantes wie o tym!

I na tyle się zdała maskarada płaszcza i sztyletu! Karol Edward wzrusza ramionami: nie będzie się przejmował. Książę de Bouillon zabiera go do swego pałacu i tam — gdy działka, szable i fuzje małymi partiami, chyłkiem przewożone są do portu — Karol Edward znowu na krótki czas używa rozkoszy dworskiego życia. Bale, zabawy, przyjęcia, na które przybywają przedstawiciele okolicznej arystokracji francuskiej. Piękne panie, polowania, konna jazda.

Jego siedmiu towarzyszy spiskowców odwiedza go, relacjonuje o przygotowaniach. W kwietniu przybywają kapitan O'Sullivan i Eneas Macdonald:

— Mamy statki, wasza książęca mość! — komunikuje dumnie Irlandczyk.

Eneasz objaśnia:

— Mój rodak i stary przyjaciel, kapitan Antoni Walsh, kupiec, armator i żeglarz, podjął się przewieźć waszą książęcą mość do Szkocji na swoim brygu, nazwanym „Doutelle”.

— A pewien mój rodak — podejmuje opowiadanie O'Sullivan — dostał listy kaperskie na krążenie w pobliżu wybrzeży Szkocji na francuskiej fregacie wojennej „Elisabeth” o sześćdziesięciu działach. W tej chwili zawinęła do Bordeaux dla wyekwipowania. Za kilka dni będzie gotowa, przyplynie do Nantes, i załaduje tabory waszej książęcej mości...

— ... wraz z siedmiuset ludźmi piechoty morskiej, których zwerbowaaliśmy przy pomocy francuskich oficerów w porcie — przerywa Eneasz.

— Wspaniale! — wykrzykuje książę. — Winienem wam najgłębszą wdzięczność. Nareszcie do akcji! Jestem gotów!

— Jeszcze nie wszystkie zapasy przybyły, wasza książęcą mość.

— Będę w gotowości. I niechaj wszyscy trzymają się w pogotowiu, byśmy mogli ruszyć z godziny na godzinę. Kiedy „Elisabeth” nadplynie i załaduje arsenał — ani dnia zwłoki!

Na co książę de Bouillon dodaje rzeczowo:

— Za pozwoleniem — pogody!

Więc jeszcze minęło parę tygodni czekania. Książę niecierpliwił się i zżymał. Ale z Flandrii nadeszły dobre wieści. Brytyjskie, holenderskie i hanowerskie wojska pod dowództwem księcia Cumberland, syna „uzurpatora”, który zajmował tron Jamesa Stuarta, poniosły ciężką klęskę w bitwie pod Fontenoy.

— Każde pęknięcie w angielskiej zbroi osłabia ich — mówi książę. — Nasz marsz ze Szkocji na południe będzie pochodem triumfalnym! Mają tam tylko surowy materiał rekrucki, by przeciw nam postawić!

Książęciu brak broni, brak — jak dotychczas — nawet wojska, ale ma pod dostatkiem ufności. Cecha bardzo użyteczna, jeśli oparta na rzeczowych podstawach.

Do St. Nazaire zawija „Elisabeth”. Książę pisze do ojca:

„Na francuskim dworze tak mnie haniebnie potraktowano, że nawet, gdybym nie związał się słowem, i tak musiałbym w imię mojej czci i mego honoru pójść wspólnie z przyjaciółmi i z nimi zginąć...”

Rozumowanie grzeszy brakiem konsekwencji. Czemu inni — zwolennicy i wrogowie — mają zginąć dlatego, że księcia haniebnie potraktowano na francuskim dworze? Wreszcie zakończenie:

„Postanowiłem ostatecznie zwyciężyć albo zginąć...”

Wzniosłe słowa. Karol Edward wierzy w nie zupełnie szczerze. Ale do podboju, do zwycięstwa, trzeba czegoś więcej prócz śmiałych słów. Zdolności militarnych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

Dnia 22 czerwca dwaj angielscy duchowni wchodzi w St. Nazaire na statek „Doutelle”, którym dowodzi osobiście kapitan Antoni Walsh. Jednym z rzekomych „duchownych” jest George Kelly, który chwilowo zmienił sutannę katolicką na ubiór pastora. Drugi — wysoki, jasnowłosy, urodziwy — od niedawna zapuścił brodę, która ma z lekka rudawy odcień. Lokaja zostawiono — a prawdę rzekłszy, on sam został — po prostu zdezerterował. Może to i nie było dziwne, że nie chciał ryzykować swej francuskiej szyi dla sprawy, która go nie obchodziła. Karol Edward próbował wyperswadować Sir Thomasowi Sheridanowi udział w tak hazardowej wyprawie — ale stary gubernator potrafi być równie uparty, jak jego dawny pupil. Nie opuścił księcia.

„Elisabeth” jeszcze nie gotowa. Wynika jakaś zwłoka z listem kaperskim. Kapitan twierdzi, że wszelkie przeszkody niebawem będą usunięte. „Doutelle” żeglujecie do Belle-Ile, gdzie ma oczekiwać na towarzyszący jej okręt. Książę-„pastor”, zniecierpliwiony ponowną zwłoką, śle wiadomość do Johna Murraya z Broughton i tych, którzy mają zajmować się przygotowaniem do jego przybycia, że już wyruszył.

Tak więc, zanim dwa statki opuszczą Belle-Ile, goniec księcia przybywa do Szkocji. Konsternacja! Nic nie zrobiono prócz

gadania. Większość najważniejszych klanów góralskich nawet nie została powiadomiona o planach księcia. Sprawozdania Murraya opierały się głównie na ogólnikowych rozmowach z rzekomymi konspiratorami w edynburskich tawernach, ludźmi odważnymi tylko z kielichem w ręku. Nie rozpoczęto negocjacji z jakobitami w Anglii. Każdy mówi: „Czekajcie przybycia księcia!” Ale teraz, gdy książe jest w drodze, ślą na gwałt Johna Murraya, by zaklął księcia, niech nie ląduje, jeśli mu głowa miła!

Prawdę rzekłszy, wszystko wskazuje na to, że książe wcale swej głowy nie ceni.

Przed przyjazdem Murraya, „Elisabeth” pod kapitanem Patrickiem Donardem przyłącza się do „Doutelle” koło Belle-Ile. Dnia 5 lipca dwa statki rozwijają żagle. Mają żeglować Morzem Irlandzkim, między Anglią a Irlandią, i tak dotrzeć do zachodnich wybrzeży Szkocji.

O parę mil od przylądka Lizard, najdalej na południowy zachód wysuniętego punktu Anglii, z bocianiego gniazda na „Doutelle” rozlega się okrzyk:

— Wielki statek za lewą burtą!

Dwa statki, „Doutelle” i „Elisabeth” żeglując na północ, mają dogodną południowo-wschodnią bryzę w żaglach. Skręcają na zachód. Kapitan Donard wysuwa swój okręt między obcy statek, a statek wiozący księcia. Ale obcy, lepszy żeglarz, dogania ich. Wkrótce już widać angielski sztandar. Kapitan Walsh zwraca się do księcia:

— Zobliguje mnie wasza książęca mość, jeśli zechce zejść pod pokład.

— Ale przecież mój strój...! — odpowiada książe, wskazując na swoją pastorską sutannę. — Nikt mnie nie pozna!

— Proszę mi wybaczyć, ale to dziecinada! — replikuje bez ogródek kapitan.

„Duchowny” książe wzrusza ramionami i schodzi pod pokład w ślad za ojcem Kelly.

Napadającym okrętem jest H.M.S. „Lion”, angielska fre-



gata o pięćdziesięciu ośmiu działach. Sygnalizuje, by „Elisabeth” zatrzymał się. Kapitan Donard nie zwraca uwagi. Pierwszy ostrzegawczy strzał pada z pokładu „Lion” przed rufą „Elisabeth”. Kapitan Donard zavraca swój okręt i odpowiada salwą boczną. Bitwa rozpoczęta.

Kanonada, huk dział — tego za wiele dla Karola Edwarda. Jego opanowanie nie wytrzymuje próby. Gwałtownymi ruchami zdziera z siebie odzież. Ojciec Kelly pyta:

— Ależ, wasza wysokość! Go...?

— Bitwa! Bitwa o moją skórę, a ja mam kryć się w kajucie, przebrany w te... te... — pogardliwym gestem wskazuje rzuconą satanę i czarny okrągły kapelusz.

Ojciec Kelly nie jest tchórzem. I już spędził czternaście lat w więzieniu w Tower of London za spiski mające na celu przywrócenie tronu Stuartom. Ale odwaga nie równa się szaleństwu.

— Wasza książęca wysokość, to do niczego nie doprowadzi! Tam nie walczą na szable i pistolety! Jeszcze nie czas narażać życia. Bo w ten sposób tylko dobro całej sprawy wystawia wasza książęca mość na hazard...

Książę jest już ubrany — strojny, jak na bal — koronki przy szyi i u rękawów, kapelusz ze złotym szamerowaniem, szabla u boku. Biegnie na pokład. Oba okręty, „Elisabeth” i „Lion” spowite są w kłębach dymu. Działa grzmią. Na chwilę wiatr rozpedza dymy: reje zwisają, żagle w strzępach. Bitwa trwa. Dwa okręty manewrują i wybijają dziury w swoich kadłubach...

Przez chwilę kapitan Walsh, zajęty bitwą — siły wyrównane, 60 dział przeciw 58 — nie zdaje sobie sprawy, że jego królewski pasażer stoi tuż za nim.

Nagle słyszy głos księcia:

— Anglicy zatopiają „Elisabeth”. Musi pan włączyć się do bitwy, kapitanie Walsh.

— Gdybym nie miał waszej książęcej mości na pokładzie, zrobiłbym to, i z ochotą! — odpowiada kapitan.

— Niechaj moja obecność nie powstrzymuje, a raczej zagrzewa do walki!

— A to bym się ładnym przyjacielem naszej sprawy okazał, gdybym dla szalonego wyczynu naraził waszą książęcą mość na zatonięcie albo niewolę jeszcze przed wylądowaniem na szkockiej ziemi...

— To nam nie grozi...

— Grozi jak najbardziej, mości książę! Jedna celna salwa boczna i nasza łupina pójdzie na dno... — kciukiem wskazuje w dół.

— Ale co będzie z „Elisabeth”, kapitanie Walsh?

— Ten okręt musi się sam o siebie zatroszczyć, i o ile widzę, potrafi to niezgorzej. Ale waszą książęcą mość muszę poprosić, byś zechciał bez zwłoki wrócić do swojej kabiny. Nie mogę ryzykować, by go jakaś zabłąkana kula trafiła!

— Zostanę tu — odpowiada z uporem książę. — Na moją własną odpowiedzialność.

— Wasza książęca mość zechce nie utrudniać mi zadania. Ryzyko jest zbyt wielkie.

— Chciałbym, by było większe. Wprowadź okręt do bitwy, kapitanie! Donard pomyśli, że jestem tchórzem.

— A jeśli się przyłączymy, Donard pomyśli, że jestem durniem! — wybucha Walsh, zapominając o dwornych tytułach, którymi do tej pory hojnie szafował i nie dbając o implikację własnych słów. Ale opamiętał się zaraz: — Wasza książęca mość! Zaklinam!

— Nie będziesz waść walczył — mówi Karol Edward z szyderstwem w głosie. — A ja nie zejdem na dół. Jestem synem twojego króla.

— Nie boję się żadnej walki, jeśli ona może się na coś przydać! I uznaję syna mego pana i władcy! — Spiesznie przyklekając, Walsh całuje rękę księcia. Po czym wstaje i mówi dalej ze spokojną, zawziętą determinacją: — Ale zmuszony jestem przypomnieć waszej książęcej mości, że jestem kapitanem tego okrętu. Na morzu moje rozkazy są definitywne,

wszystko jedno, kto byłby pasażerem. Będzie to straszne dla mnie, jeśli zostaną zmuszony wydać rozkaz... i dopilnować wykonania tego rozkazu!

Towarzysze księcia gromadzą się dookoła jego osoby. Co najmniej czterech z nich — Eneasza, O'Sullivan, ojciec Kelly i Strickland — będą się zapewne dzielnie sprawać w walce wręcz z marynarzami, na którą się zanosilo. Ta perspektywa nie przeraża wcale kapitana Walsha. Ale księżę staje wobec dylematu: jeśli dojdzie do walki wręcz — co on ma począć? Przyglądać się, gdy jego przyjaciele biją się za niego? Gzy też przyłączyć się i przekreślić majestat swojej osoby? Nie uniknie tego wyboru! Tym razem zdecydowana wola walki jego przyjaciół sprawia, że walka jest niemożliwa. Księżę odwraca się i opuszcza mostek kapitański. Pierwszą porażkę, wywołaną własnym brakiem roztropności, poniósł z rąk rodaka Szkota.

Bitwa szaleje przez pięć godzin. Wreszcie nadchodzi moment, gdy obaj antagoniści równocześnie zaprzestają ognia, jak wyczerpani zapaśnicy, którzy opuszczają w ostatecznym umęczeniu ręce. „Elisabeth” informuje „Doutelle” o odniesionych uszkodzeniach i stratach w ludziach tak poważnych, iż musi zawrócić do najbliższego francuskiego portu Brest. Na szczęście i „Lion” jest w takim stanie, że może tylko, ignorując „Doutelle”, postawić resztki żagli i kulejąc uciec do ojczystego portu.

Księżę, któremu teraz pozwolono wyjść na pokład, ponownie w swoim pastorskim przebraniu, śledzi wzrokiem „Elisabeth”, skręcającą na południe. Jeden maszt ścięto, reje i takie -lunek wyglądają jak jedna poplątana masa, przechyla się silnie. Niesie ze sobą wszystko prawie, co Karol Edward mógł zakupić za owe pożyczone 120 tys. funtów — i tylu, ilu przeżyło, z siedmiuset marynarzy, zwerbowanych w Nantes.

Jeszcze widać wyraźnie, jak przez burtę „Elisabeth” zsuwają do morza szeregami owinięte w płótna długie pakunki. Pierwsi, którzy zginęli za sprawę młodego człowieka, upominającego się o tron ojcowski. A ilu jeszcze? Jedno z wielu, pada w morze ciało Irlandczyka, kapitana Patricka Donarda.

Walsh podchodzi do księcia, skruszony.

— Ufam, że wasza książęca mość zeche mi wybaczyć...

Karol Edward nie chowa urazy. A chwila zastanowienia pozwoliła mu ocenić dzielnego kapitana.

Lekkim gestem, z uśmiechem, po rycersku przekreśla akt obrazy majestatu.

— Jeśli spełnię moje obowiązki równie dobrze, jak pan swoje, kapitanie, nie będę miał powodu się wstydzić.

Takimi gestami Młody Pretendent rzucał czar na tych, którzy szli za nim. Takimi gestami i pełną poświęcenia determinacją. Teraz, gdy Sir John Macdonald proponuje:

— My również musimy zawrócić; wasza książęca mość nie może przybyć do Szkocji bez broni, amunicji i bez żołnierzy...

Książę potrząsa głową.

— Nie zawracamy — mówi. — Nie zawrócimy nigdy. Zawsze naprzód.

Z takich słów powstaje legenda.

## *Rozdział IV*

### **LOCHIEL ŁAGODNY**

„Doutelle” podchodził do Wysp Hebrydzkich przy zachodnich wybrzeżach Szkocji. Diuk Atholl, stojąc na pokładzie obok czarno odzianego księcia, spogląda w górę i kręci głową, śledząc lot orła, nadlatującego od pobliskich gór.

— Król ptaków nadleciał, by powitać przybywającego do Szkocji królewicza — powiada.

Karol Edward ma zawsze gotową odpowiedź. Mówi z uśmiechem:

— Oby jego powitanie zwiastowało mój triumf!

W pobliżu Kilbride na wyspie South Uist, jednej z większych spośród pięciuset wysp, które składają się na archipelag Hebrydów, a z których ledwie jedna piąta jest zamieszkała — żyje jeszcze jeden Macdonald; mnożą się ci Macdonaldowie na wyspach i na Zachodnim Pogórze, gdzie właściwie mówiąc, panują jak udzielni książęta. Ten zwie się Macdonald z Boisdale. Księżciu bardzo zależy na spotkaniu z nim. Kapitan Walsh zgadza się rzucić kotwicę w przystani, którą zna, po zachodniej stronie wysepki Eriškay, a 3 km na południe od South Uist.

George'a Kelly wysłano do Boisdale jako emisariusza. Książę, zmęczony podróżą morską, chce wysiąść na wyspie, przejść się, rozprostować nogi. Do łodzi, która zabiera ojca Kelly do Kilbride, wsiadają więc razem z księciem Sir Thomas Sheridan, kapitan O'Sullivan i Eneas.

Zrywa się wiatr, chmury przesłaniają słońce, to znowu przelatują i promienie rozbłyskują ponownie. Fale idą coraz burzliwsze. Wszystko wokół wydaje się posepne i gwałtowne: morze, wybrzeża, niebo. Ptaki krążą nad głowami, po czym ulatują na wschód, w stronę lądu i schronienia. Obłoki gnają po bardzo bladym niebie, słońce świeci jaskrawo, na horyzoncie gromadzą się czarne masy chmur.

Irlandczycy — Kelly, Sheridan, O'Sullivan — wymieniają ze Szkotem Eneaszem znaczące spojrzenia. Są zabobni, to u nich we krwi. Burzę, która podczas narodzin Karola Edwarda zniszczyła Hanower, uważano za złowieszczy znak dla hanoverskiej dynastii. Ale co, jeśli burza powita wysiadającego na szkockiej ziemi księcia...?

Łódź dobija brzegu — szerokiej, srebrzystej przestrzeni piasku pod zielenią zboczy. Jeden z marynarzy wyskakuje do płytkiej wody, próbuje wciągnąć łódź.

— Nie da rady — powiada. — Tu się nie da dalej wciągnąć. Za przeproszeniem waszej książęcej mości, trzeba będzie wsiąść mi na grzbiet!

Dnia 2 sierpnia 1745 r. Karol Edward po raz pierwszy staje na ojczyznej szkockiej ziemi, wśród szarych skał, na skraju białej plaży. U jego stóp jest wyrzucenie podłoża o barwie spłowiałej krwi. Na ten widok towarzysze księcia marszczą brwi. Łódź powoli odpływa na północ, O'Sullivan woła do ojca Kelly.

— Zabierz nas w powrotnej drodze!

Czarne chmurzyska nadciągają groźnie. Wiatr wyje. Ale książę jest w doskonałym humorze.

— Nareszcie w ojczyźnie! — mówi.

Stary Sir Thomas znajduje schronienie w opuszczonym szałasie o trzech ścianach tylko. Inni zabawiają się chwytaniem rękoma flader w płytkich zatoczkach wokół skał. Przynoszą je do szałas, gdzie O'Sullivan roznieca ogień z mchu i zabiera się do pieczenia ryb. Karol Edward siada na stosie torfu i mówi ze śmiechem:

— Gdy dotrzemy do pałacu Holyrood w Edynburgu, będzie my ucztować bardziej po królewsku. Ale wątpię, czy więcej nam to sprawi radości!

O ileż bardziej woli takie przygody od domatorskiego stylu życia paryskich bankierów i kupców!

Po tym posiłku wychodzą przed szalas. Wichur się wzmaga. Fale biją o skały, rozbryzgując daleko białą pianę. Morze na przestrzeni między wyspą a statkiem „Doutelle” jakby oszalało w gniewie. Kapitan Walsh sygnalizuje, że musi zabrać statek dalej. Jeśli tutaj zerwie się z kotwicy, roztrzaska się w drzazgi.

Czarne chmurzyska już są nad głowami, dookoła, wszędzie. Jest ledwie wczesne południe, ale ciemność panuje, jakby o zmierzchu.

— Ojciec Kelly nie dotrze tutaj dzisiaj — mówi Eneasz. — Musimy poszukać schronienia na noc, wasza książęca mość.

Jeszcze poprzednio dostrzegli w oddali, na wyspie, zagrodę. Teraz miga tam światełko, wskazując im drogę. Padają pierwsze, ciężkie krople deszczu: idą ku zagrodzie, pewni dobrego przyjęcia. Zgodnie z prastarą tradycją podróżny, którego chwyciła burza czy noc w drodze, przyjmowany jest w górach Szkocji z największą gościnnością. W szałasie, chacie, czy dworze — wszędzie podzieli się z nim wszystkim, co jest w domu — czasem uboga to gościnność, ale zawsze z całego serca.

W chacie mieszka samotny rybak, barczysty i brodaty. Zaprasza podróżnych do wewnątrz.

— Widziałem wasz statek — powiada. — Cóż wy tu robicie? Królewscy ludzie w poszukiwaniu przemytników? Nie ma takich na Eriskay.

Z powątpiewaniem spogląda na księdza. O'Sullivan wyjaśnia, że ten młodzieniec chciał zobaczyć góry, nim się zamknie w dolinnej parafii.

W chacie jest jedna jedyna prymitywna izba z dziurą w dachu na odpływ dymu, z drewnianym stołem, stanowiącym całe właściwe umeblowanie. Niewiele dymu ulatnia się przez dziurę w dachu: wszystko wydaje się trwać w izbie. Rybak zaprasza

gości, by usiedli na drewnianych klocach, na pryczy, na złożonych kocach, na trójnożnym stołku. W chwilę później rzekomy ksiądz zrywa się znowu na nogi, chodzi tam i z powrotem po izbie. Rybak, mieszając z ręcznie owsiankę w żelaznym kociołku wiszącym nad ogniem, przypatruje się tym wędrownikom z widoczną dezaprobatą. Duchowny kaszle, podchodzi do drzwi, otwiera je. Wiatr uderza go w twarz. Zamyka pośpiesznie. Ale nie przywykł do czadu ogniska z torfu. Dusi go kaszel. Sir Thomas podchodzi do niego, ale cofa się, odtrącony. Potykając się, ksiądz idzie do drzwi i walcząc z wichurą wychodzi na dwór, w ulewę. Rybak krzyczy do tamtych trzech:

— Co za bies go opętał, że nie może usiedzieć ani ustać, ani w chacie ani na dworze?

Tak brzmiały pierwsze słowa Szkocji do tego, który chciał się zwać księciem Walii i posiadał pełnomocnictwa swego ojca do występowania jako „Regent Szkocji, Anglii, Irlandii i dominiów przynależnych do tych koron”.

Później, gdy już goście podjedli, rybak rozwinął stos koców i — nieoczekiwanie — wydobyl z drewnianej skrzyni prześcieradła. Pryczę przydzielono najstarszemu wiekiem. Sir Thomas nie może protestować, musi uszanować książece incognito. Duchowny sam troszczy się o posłanie dla starego gubernera, sprawdza, czy pościel nie wilgotna.

Rybaka znowu to gniewa:

— Co się tak kokosisz? Te prześcieradła byłyby i dla księcia dość dobre!

Tak wyglądała pierwsza noc prawnika króla Jana Sobieskiego w jego szkockiej ojczyźnie.

Rankiem sztorm się przesilił, niebo pojaśniało. Ojciec Kelly przybywa wraz z Macdonaldem z Boisdale. „Doutelle” znowu podchodzi bliżej do wyspy Eriskay. Angielski duchowny i jego druhowie żegnają się ze swym gospodarzem, wciskając mu na pożegnanie złotą monetę w dłoń.



Eneasza Macdonald, Sir John Macdonald, Macdonald z Boisdale. Tytuł tych Macdonaldów! A to przecież dopiero początek! Kronikarz dziejów Szkocji znajduje swą drogę usianą ludźmi, noszącymi jedno i to samo nazwisko, nazwisko ich klanu: Macdonaldowie, Gampbellowie, Gameronowie, Mackintoshowie, Forbesowie, Macgregorowie, Murrayowie. Niełatwo się w tym wyznać. W naszym opowiadaniu posłużymy się zwyczajem, stosowanym przez Szkotów samych, rozróżniania członków tego samego klanu mianem ich miejsca pochodzenia lub zamieszkania. Tak więc wodza Macdonaldów, którego Kelly przywozi teraz do księcia, zwano po prostu Boisdale.

Na pokładzie „Doutelle” Boisdale — pięćdziesięcioletni, ale jeszcze krzepki, barczysty, niezwyklej siły fizycznej — przyklęka na jedno kolano i całuje rękę księcia. Karol Edward mówi mu o swojej wyprawie z entuzjazmem, młodzieńczym zapałem, wiarą we własne siły. Ale brew Boisdale’a się chmurzy.

— Z całym respektem uznaję pragnienie waszej książęcej wysokości odzyskania tronu ojców. I cenię uświadomienie przygód, które przystoi młodemu. Ale przygody to rzecz jedna, a powódzenie to rzecz zupełnie inna. Tej wyprawy nigdy powodze nie nie uwieńczy. Wasza książęca wysokość nie zgromadzi dość ludzi, by osiągnąć swój cel. Toteż jestem zdania, że dalsza droga byłaby desperacka. Nie cofam lojalności, powinnej waszej książęcej wysokości i jego królewskiemu ojcu. Ale mogę tylko doradzać, byś zechciał wracać do domu.

Słowa nie bardzo zachęcające. Jednak słowa nie zawrócą księcia.

— Toż ja jestem w domu! — odpowiada. — I nie będę słuchał o wyjeżdżaniu! Ufam głęboko, że wierni górale staną u mego boku.

— Zapewne, niektórzy wierni górale staną u boku waszej książęcej wysokości. Ale ilu padnie?

— Kto żegluje po morzach, nie lęka się utonięcia — odpo-

wiada książe. — Kto podejmuje wielkie przedsięwzięcie, nie może liczyć kosztów, ani lękać się upadku.

Macdonald z Boisdale pozostaje nieufny, niespokojny. Śmiało przedsięwzięcie i niechętna przezorność. Eneasż usiłuje przerzucić most przez tę przepaść. Mówi do Boisdale'a:

— A jeżeli mój brat, Kinlochmoidart, zgłosi swój akces — czy wówczas pójdziesz i ty?

— Tak. Jeżeli on przyprowadzi do boku waszej książej wysokości swój liczny klan, ja przyprowadzę moich niewielu.

— W takim razie, mości książe, musimy udać się w głąb łądu — powiada Eneasż.

Kapitan Walsh prowadzi „Doutelle” na południowy wschód, mijają wyspę Rum, wchodzi w ujście jeziora Loch nan Uamh — wąski kanał między okręgami Moidart na południu a Arisaig na północy. Kraina skalista, górską, surowa, gdzie z trudem człowiek wyżyć może na wąskich skrawkach uprawnej ziemi tuż nad zdradzieckim, pełnym mielizn morzem.

Biegną gońcy na północ, wschód i południe, do wodzów największych klanów. Padają deszcze i chociaż to sierpień, zimne wiatry przejmują chłodem. Na pokładzie „Doutelle” wzniesiono namiot, który ma pełnić rolę sali audiencyjnej. Przygotowano zimne mięsa, wino i mocniejsze trunki, by podejmować gości. Do pierwszych należał bard z okolicy, który zamierzał tylko odwiedzić przybywający statek, co nie należało do częstych zdarzeń w tych okolicach. Później tak opisywał swoje pierwsze spotkanie z Karolem Edwardem:

„Do namiotu wszedł wysoki młodzieniec niezwykle przyjemnej powierzchowności, w czarnym prostym stroju, w białej, niezbyt czystej koszuli, białym sztywnym kołnierzyku spiętym srebrną sprzączką, zwykłym kapeluszu ze sznurkiem, umocowanym do guzika surduta, w czarnych pończochach i mosiężnych kłamarach przy pantoflach... Usiadł obok mnie, a ja podówczas miałem go za jakiegoś duchownego...”

Poeta ubrany w krótką spódniczkę z kraciastego pledu — i krótki kaftan. Nosi pled, przerzucony prze ramię. Książe pyta:

- Czy ci nie zimno, przyjacielu, w twoim góralskim stroju?
- Bynajmniej. Przywykłem do kiltu.
- A nocą, jeśli wypadnie jakiś nocleg przypadkowy, czy owijasz się w ten pled? Gzy nie czujesz, że ci to krępuje ramiona? Jesteś wówczas nie przygotowany do nagłej obrony w razie niespodziewanego ataku?

Poeta dziwi się zainteresowaniu tego duchownego sprawami napaści, obrony, zaskoczenia. Ale odpowiada:

- W czasach niebezpiecznych, wojennych, posługujemy się inną metodą zwijania pledu, tak, że jednym skokiem można zerwać się na równe nogi z dobytą szablą w jednej, a pistoletem gotowym do strzału w drugiej ręce.

Wkrótce książę wstał i zawołał, by przyniesiono trunki. Ktoś z obecnych, zupełnie obcy, szepnął poecie do ucha, by nie przepijał do czarno ubranego młodziana, „co mnie utwierdziło w budzącym się we mnie podejrzeniu, kto to naprawdę jest...”

Przybywa Kinlochmoidart, a z nim najwyższy wódz wszystkich Macdonaldów, znany jako Clanranald. Nie rozwiązuje to jednak dylematu Boisdale'a. I oni się wahają. Wysuwają argumenty podobne do tych, którymi się zaślaniał Boisdale. Nie da się zgromadzić sił, wystarczających dla zapewnienia zwycięstwa. Karol Edward nalega:

- Moi przyjaciele, jestem waszym księciem, synem waszego prawowitego monarchy, Jakuba Ósmego szkockiego i Trzeciego angielskiego. Przybyłem z pustymi rękoma, bo moja broń i za pasy przepadły, utracone w bitwie morskiej z angielskim okrętem wojennym. A jednak przybyłem, by zdobyć z waszą pomocą tron Anglii, Szkocji, Irlandii! Czy mi jej odmówicie? Czy dacie mi iść naprzód samemu? Bo naprzód pójdę.

Połączył w sobie i ustokrotnił osobisty czar Stuartów i Sobieskich. Ma dar trafnego słowa, przemawiającego prosto do serca, gestu, chwytającego za serce. Jego osobista odwaga wzrusza tych ludzi, którzy prowadzą żywot surowy, twardy, żywot dawnych myśliwych, i którzy często walczą pomiędzy sobą.

Ale wciąż brak decyzji. Eneasza stara się namówić swego brata, ale nadaremno.

— Byłeś długo we Francji — odpowiada mu Kinlochmoidart. — Ja lepiej znam naszych ludzi. Ty możesz decydować sam za siebie. Gdy ja zadecyduję — zadecyduję za innych także, za cały klan, za mężczyzn, kobiety i dzieci...

Boisdale czeka na Clanranalda i Kinlochmoidarta. Ci z kolei oglądają się na jeszcze innego wpływowego wodza — Camerona z Lochiel. Chcieliby się upewnić co do liczebności powstania.

Dwaj następni, którzy przybywają, prędejsz się decydują. Macdonald ze Sleat i Laird of Macleod, którzy wspólnie mogliby przyprowadzić ponad dwa tysiące dzielnych wojowników, odrzucają namowy Karola Edwarda bez zastrzeżeń. Jeszcze jeden Macdonald, biskup Hugh, głowa duchowieństwa na całym szkockim wysokim pogórzu, oznajmia, że przedsięwzięcie to jest lekkomyślne, pochopne, przedwczesne i nie ma żadnych szans bez pomocy zagranicznych najemnych wojsk i dostaw. Księżę życzył sobie gorąco francuskiej pomocy, gdy był w Gravelines, ale teraz odpowiada chytrze:

— Nie chciałbym zawdzięczać przywrócenia memu ojcu tronu cudzoziemcom, ale moim własnym rodakom i przyjacielom, którym powierzam zasługi i chwałę tego osiągnięcia...

Wodzowie wciąż się wahają. Ani jeden klan, nawet po mniejszy, nie zadeklarował dotąd swego poparcia bez zastrzeżeń. Przesadnie wybujały optymizm Johna Murraya z Broughton, który we Francji zapewniał Karola Edwarda: „Wszystkie klany tłumnie staną u twego boku!” — okazuje się wyssany z palca. Ci przezorni wodzowie nie są tchórzami. Gotowi byłiby do hazardowego przedsięwzięcia, gdyby widzieli choć znikomą szansę powodzenia. Tymczasem wydaje się im, że ta wyprawa musi skończyć się klęską.

Może i nie mają racji, ale takie jest ich przekonanie.

Jak się zdaje, ani wodzom klanowym, ani księciu nie przyszło do głowy zastanowić się nad etyczną stroną problemu.

Mają zażądać od ludzi, by zaryzykowali swoje życie. Gzy sprawa warta tej najwyższej ceny? Odzyskanie tronu Anglii dla Stuartów... Uwzględnwszy zwykle narzekania na rząd, król Jerzy II odpowiada swoim poddanym dość dobrze. Znosili jego panowanie już przez osiemnaście lat. Nie jest geniuszem, ale nie jest też tyranem. Samozwańczego Jamesa III naród angielski właściwie nie zna. Też na pewno nie geniusz. A wywodzi się z dynastii, która miała w Anglii skłonność do despotyzmu, z dynastii, której żaden członek, jako panujący monarcha, nie zdobył sobie trwałej popularności. James III nie ma nic do ofiarowania swoim angielskim poddanym, prócz zdławienia ich religii na rzecz wyznania, którego, jak tego jasno dowiedli, ani nie chcieli, ani nigdy by nie przyjęli.

Wyprawa Karola Edwarda przypomina zabawę małego chłopca, który widząc innego chłopca, stojącego na górze, zbiera swoich druhów do obalenia rywala. „Jestem królem na zamku!” Ale w udawanych bitwach małych chłopców nikomu krzywda się nie dzieje. Rezultatem wyprawy Karola Edwarda będzie — musi być — rozlew krwi, śmierć, prześladowania. Po to tylko, aby on stanął na wzgórzu, na którym w tej chwili stoi kto inny — chyba nie gorszy, może lepszy.

Gdy królowie władali krajem, mogły być słuszne powody do zastąpienia jednego monarchy innym. Mogły być osiągnięcia, usprawiedliwiające przelew krwi. Ale odkąd ludy ustanowiły inne metody rządów — za pomocą parlamentu — niewielkie ma znaczenie, jakie imię nosi marionetka w koronie. A z pewnością nie tak wielkie znaczenie, by usprawiedliwić rozlew krwi, śmierć, prześladowania.

Tymi sprawami książę nie zaprzęta sobie głowy. Karol Edward jest reliktem średniowiecza, dni rycerstwa, kiedy naturalnym obowiązkiem młodego mężczyzny było walczyć o przywrócenie rodowi zaszczytów, do których rościł sobie pretensję, pomścić śmierć pradziada na szafocie i dowieść, że wojskowy geniusz drugiego pradziada odżył w potomku. Karol Edward jest człowiekiem nieskomplikowanym. Jego charakter nie ma

głębi. Próżny, romantyczny, prostolinijny, mniej miewa wewnętrznych konfliktów, niż ludzie intelektu. Mniej wątpliwości co do motywów działania. Nie zawrócą go z drogi obawy klęski — on sam wcale nie wątpi w powodzenie. A co do etycznej strony zagadnienia, ani mu to do głowy nie przyjdzie, jak zresztą żadnemu z wodzów klanowych. Powodzenie lub klęska — to jedyne problemy, jakie zna. Młodzieńczy, rozmiłowany w przygodzie duch gna go naprzód.

— Skoro tylko rozpoczniemy — rzeczy — ludzie będą się do nas garnąć, nabierzemy rozpędu i zatriumfujemy!

Może racji nie ma, ale tak właśnie czuje.

Decyzja — czy dalej do Szkocji, czy z powrotem na morze — zależy od Lochiela. A kto będzie miał słuszość — zuchwały czy przezorny — tego nawet Lochiel nie rozstrzygnie.

Tymczasem przybywa Keppoch z Lochaber, chętnie zapewniając, że na jego słowo stanie pod bronią pięciuset ludzi. Mężczyzna olbrzymi, zwalisty jak góra, jasnowłosa, o ogorzałej twarzy, nosi tartan w kratę czerwono-czarną. Jego głos nie nadaje się do spisków — gdy mówi, ptaki w powietrzu się trwożą od hałasu. I kocha się w wojaczce.

Keppoch wysłuchawszy księcia, który już trochę znużonym tonem wyklada swoje racje, i nie czekając na zastrzeżenia Boisdale'a, Clanranalda, Kinlochmoidarta, Sleata i Macleoda — ogłasza wszem i wobec:

— Jego książęca mość wystawiła na hazard swoją osobę, przybywając tutaj. Powierzyła się w ręce swoich przyjaciół. Obowiązkiem naszego honoru jest bez żadnej zwłoki zgromadzić ludzi, choćby tylko po to, by osłaniać księcia! Takie jest moje zdanie i według niego będę postępował i nie dbam, *co* inni poczną!

Pierwszy stronnik, który nie wyraża żadnych zastrzeżeń. Czy Keppoch naprawdę może przyprowadzić pięciuset żołnierzy, to się dopiero okaże. Książę jest głęboko wzruszony. Oczy mu zachodzą mgłą. Ale poruszył się także Clanranald. Podchodzi po deskach pokładu do Keppocha z wyciągniętą ręką:

— Nie będę zwlekał dłużej - rzecz— Jestem z tobą!  
Jestem z waszą księżącą mością!

W pierwszej chwili ksiązę ochrypniętym głosem ledwo może wymówić:

— Przyjaciele moi...

Ujmuje ich prawe dłonie, łączy je uściskiem własnej prawej ręki.

— Odtąd łączą nas nierozzerwalne więzy!

Lody przełamane. Brat Eneasza, Kinlochmoidart, także wycofuje swoje zastrzeżenia. Za nim Boisdale.

Nadal jeszcze namyślają się Sleat i Macleod. Nadal Karol Edward nosi sutannę. Nadal „Doutelle” kołysze się na łagodnych falach fiordu Loch nan Uanah. Nadal niewielu jeszcze wie o tym, że w zachodniej Szkocji przebywa zuchwały ksiązę. Nadal jeszcze niepewność wisi w powietrzu. Jeżeli Lochiel się nie przyłączy, co z „moimi przyjaciółmi”?

Lochiel jest już w drodze. Odwiedza młodszego brata, który go przestrzega:

— Zawracaj do domu! Za nic na świecie nie wystawiaj się na magnetyczny urok — słyszałem o nim nawet z Francji — tego młodego królewicza. Ja znam ciebie lepiej, niż ty siebie znasz! Jeśli staniesz przed księciem, on rzuci urok na ciebie i będziesz tańczył, jak ci zagra! A jego melodia to desperackie szaleństwo.

Więści o „magnetycznym uroku” młodego księcia wyprzedziły go.

Ale Lochiel zignorował ostrzeżenie. Ksiązę przyjmuje go z otwartymi ramionami.

— Stary, wierny przyjacielu domu Stuartów, witaj! Po potrzebujemy twej rady, twego silnego ramienia, potęgi twego klanu!

Oto historyczne dni małej zatoki Loch nan Uanah, odległej, zapomnianej, na której brzegach rzadko kiedy kto stanął.

Są tu Keppoch i Clanranald, Kinlochmoidart i Boisdale, Sleat i Macleod, razem z tymi „siedmiu mężami z Moidart”,

którzy towarzyszyli księciu z Francji. Biskup Hugh Macdonald odjechał.

Lochiel jest łagodnie wyglądającym mężczyzną o brunatnych włosach i oczach niebieskich, w których kryje się wyraz smutku. Nos cienki, usta i podbródek stanowcze. Gdy będzie potrzebne silne ramię, każdy by wybrał Keppocha. Lochiel jest niski i drobny. Chociaż jego klan zwany jest „najdzielniejszym z dzielnych”, to jego samego nazywają Łagodnym. Ale ponieważ ludzie boją się potęgi jego klanu, a jego samego uznają jako sprawiedliwego, więc otacza go powszechny szacunek w całych górach szkockich.

— Słyszałem o śmiałych planach — mówi Lochiel. — Ale boję się, czy nie więcej w nich śmiałości, aniżeli rozsądku.

Uraziło to Karola Edwarda.

— Rozsądek winien ustąpić pierwszeństwa czci rycerskiej — odpowiada. — Mój ojciec jest według boskich praw królem Anglii i Szkocji. Muszę wywalczyć mu tron! Bóg tak chce. A co do śmiałości, to Niemcy powiadają, że „dem Mutigen gehört die Welt” — do odważnych świat należy!

— Wasza książęca mość szlachetnie przemawiasz — mówi Lochiel. — Ale musimy przekonać ludzi w klanach. Zbiorą się i będą walczyć za odzyskanie niepodległości Szkocji jako odrębnego królestwa, samodzielnego i wolnego, rządzonego z tradycyjnej siedziby naszych królów — z Edynburga. Ale nie chcą, by nimi rządzono z Londynu, czy to będą Hanowercyzycy, czy też — za przeproszeniem waszej książęcej mości — Stuartowie. Bardzo wątpię, czy znajdzie się dość ludzi, by osadzić Stuarta na tronie Anglii.

Książę nie zadowolony się jednym tronem. Przybył, by zdobyć trzy.

Lochiel argumentuje. Nalega. Zaklina. Książę odmawia. Podtrzymał go na duchu akces Keppocha, Clanranalda, Kinlochmoidarta, Boisdale'a. Lochiel oznajmia:

— Nie ma żadnej nadziei. Zaklinam waszą książęcą mość, by dla własnego bezpieczeństwa powrócił do Francji.



Nietaktowne słowa. Księżę nie chce słuchać głosu rozsądku, a tym mniej będzie słuchał, gdy ktoś mówi o jego osobistym bezpieczeństwie. Błędny rycerz... Nieustraszony wódz... Wierni wojownicy... Białe rumaki... Błyszcząca szabla...

Jeśli Lochiel się nie przyłączy, księżę nie może liczyć na żadnego więcej naczelnika klanu. Musi go sobie zyskać, musi go przeciągnąć na swoją stronę — lub przegra wszystko. I to teraz, zaraz! Zaklinać go, błagać? Nie, na nic! Grozić? Ale czym? Argumentować? Argumentów nie ma. Zranić jego dumę?

Księżę wyprostowuje swoją piękną postać, o monarszym dostojęństwie, wbrew przebraniu.

— Za kilka dni — mówi — z garstką przyjaciół, których mam: z dzielnym Keppochem, rycerskim Boisdalem, szlachetnym Clanranaldem, nieustraszonym Kinlochmoidartem, i mymi wiernymi siedmioma druhami z Francji — podniosę sztandar królewski i proklamuję ludom Brytanii, że Karol Edward Stuart przybył, by zażądać korony swoich przodków, by ją zdobyć, lub zginąć w tej próbie. — Zatrzymuje się, patrzy przenikliwym wzrokiem na wodza Cameronów. — Lochiel, o którym mój ojciec powiadał, że jest naszym najwierniejszym przyjacielem, niechaj zostanie w domu i dowiaduje się z gazet o losie swego królewicza.

Wyzywający gest. Wzniosłe słowa. Raniące słowa, sugerujące, że wódz „najdzielniejszych z dzielnych” w trosce o własną skórę schroni się do domu!

Księżę odwraca się ze wzgardą.

Wszyscy inni w namiocie na pokładzie „Doutelle” utkwili wzrok w Lochielu „Łagodnym”. Na moment zwiesił głowę. Ale zaraz wyprostowuje się, podnosi wysoko głowę, zwraca się do tych, którzy czekają na jego odpowiedź. Jego głos brzmi dźwięcznie, czysto:

— Nie, nie zostanę w domu! Postanowiłem. Będę dzielił los mego pana i księcia; a wraz ze mną każdy, kto jest moim podwładnym.

Potężny klan Cameronów przystąpił do sprawy. Sleat i Macleod nie mogą postąpić inaczej: acz z ociąganiem, przyłączają się również. Uparty młodzik chłostą pogardy wymógł posłuszeństwo. Teraz obejmuje wodza Cameronów:

— Wiedziałem! Wiedziałem! Wiedziałem, że Lochiel nie zawiedzie! Nasz najwierniejszy przyjaciel...

Wieje przychylny wiatr. Karol Edward pali mosty za sobą. Odprawiając „Doutelle”, powiada:

— Opuszczę Szkocję łądem, maszerując do Anglii na czele klanów!

Biały rumak. Błyszcząca szabla.

Kapitan Walsh zabiera list do królewskiego ojca, Starego Pretendenta. W liście księżę zdradza cokolwiek inne nastawienie wobec obcej pomocy niż to, o jakim mówił do biskupa Hugh'a Macdonalda:

— Najgorsze, co może mi się przytrafić, jeśli Francja nie przyjdzie mi z pomocą, to zginąć na czele tych dzielnych wojowników, których tu znajduję...

A najgorsze, co się może przytrafić — innym?

Karol Edward w pełni dowiódł *d e t e r m i n a c j i*, potrzebnej dla zwycięstwa. Czy dowiódł również *z d r o w e g o r o z s ą d k u*, bez którego determinacja staje się tylko upartą głupotą — dopiero czas okaże.

## *Rozdział V*

### **WOJUJĄCE KLANY I ANGIELSKIE ZŁOTO**

Lochiel i inni wodzowie odjechali, by wezwać pod broń klany. Mają spotkać księcia w Glen Finnan, u północnego krańca Loch Shiel, dnia 20 sierpnia. Karol Edward przyjął zaproszenie Kinlochmoidarta i gości w jego rezydencji, o jakieś dziesięć kilometrów na południe od Loch nan Uanh. Tu może się zozkoshować atmosferą kulturalnej siedziby wodza klanowego. Kinlochmoidart i jeszcze jeden brat Eneasza Macdonalda sami zaplanowali swój dom. Wnętrze promieniuje spokojną wytwornością. powściągliwym dobrym gustem — wszędzie przepiękne stare meble, stara broń, obrazy i rysunki, wiele z nich to dzieło rąk obu braci; i mnóstwo, mnóstwo książek.

Pewnego wieczora książę, który miał pisać w swoim pokoju, wymyka się kuchennymi schodami i wychodzi, by zażyć świeżego powietrza. Nosi nadal swoje duchowne przebranie, jest bez broni.

Zapada zmierzch. Karol Edward wchodzi do sosnowego lasu.

Nagle zza drzewa wysuwa się smukła postać w kilcie, z pledem przerzuconym przez ramię, w berecie — zwanym tam o'shanter — kryjącym włosy, z nagą szablą w dłoni. Książę staje, jak wryty.

Zwiastuny romantyczności!

— Dokąd idziesz o tak późnej porze i sam? — Głos, cho-

ciaż o niskim, głębokim brzmieniu i rozkazującym tonie, bez żadnej wątpliwości należy do kobiety.

Rzekomy książdz ignoruje pytanie, natomiast mówi:

— Nie jesteś tym, za kogo chcesz uchodzić.

— Ani ty.

— Nie jesteś mężczyzną, lecz kobietą.

— A ty nie jesteś duchownym, lecz księciem Karolem Edwardem.

Książę śmieje się z jej bezceremonialnej proslinijności.

— Więc cóż zamierzasz zrobić?

— Zamierzam przyłożyć koniec mojej szabli do piersi waszej książęcej mości i trzymać tak długo, dopóki wasza książęca mość nie zgodzi się mianować mnie swoim przybocznym gwardzistą. Widać, jak na dłoni, że ci potrzebny taki strażnik, który by nie odstępował ani o krok, trzymał straż u drzwi i pilnował, abyś wasza książęca mość nie narażał się lekkomyślnie, sam i bez broni!

— Moim przybocznym gwardzistą — dziewczyna?

— Gwarantuję, że jestem równie silna, jak wasza książęca mość i że równie dobrze potrafię władać szablą — czego mogę dowieść, skoro tylko wasza książęca mość będziesz miał swoją szablę przy boku! Żyłam w oczekiwaniu przybycia waszej książęcej mości, ćwiczyłam w posługiwaniu się bronią, praktykowałam, by umieć walczyć za waszą książęcą mość!

— Gdybyś tylko była mężczyzną...

Dziewczyna zdejmuje o'shanter — i bujne długie sploty kasztanowatych włosów spadają na jej ramiona. Oniemiały, Karol Edward podziwia: czarne oczy, dumnie podniesioną głowę, delikatną cerę; a dziewczyna wsuwa szablę do pochwy, dobywa sztylet i zanim książę pojął, co zamierza zrobić — obcina warkocz jednym cięciem. Odrzuca go precz za siebie i pyta:

— Czy teraz jestem mężczyzną na tyle, by ci to starczyło?

— Jezus Maria! Jaka szkoda! — Ta dziewczyna jest równie uparta, jak on sam. — A właściwie mówiąc... kim jesteś?

— Nazywam się Klementyna Walkinshaw i jestem córką dawnego posła ojca waszej książęcej mości w Wiedniu. A mój ojciec nadał mi imię na cześć matki waszej książęcej mości, której dopomógł w ucieczce z więzienia w zamku w Innsbrucku przed wielu laty. Nie miał syna... ale zanim umarł, kazał mi przysiąc, że gdy wasza książęca mość przybędzie do kraju...

— Słyszałem o twoim ojcu. A skąd przybywasz?

— Szłam sto mil, z okolic Perth, by ofiarować waszej książęcej mości moją szablę.

— Ale jak wiedziałaś...?

— Może więcej ludzi wie, niż się wasza książęca mość spodziewa.

Dziewczyna nadal trzyma sztylet w ręku — ruchem jakby grożącym.

— Przybyłaś ofiarować mi swoją szablę, czy też grozić mi? — pyta z uśmiechem książę.

Ona odpowiada pytaniem na pytanie:

— Czy wasza książęca mość przyjmie mnie do przybocznej straży?

Dziewczyna intryguje go. Wielkich wodzów musiał namawiać, przekonywać, schlebiać i drażnić ich dumę, nim zdeklarowali się po jego stronie. A ta dziewczyna... sto mil szła! Patrzy na nią. Jej drobne piersi zaledwie wzdymają kurtkę po tej stronie, gdzie pęd się zesunął... Więc tak daleką drogę przebyła, by się do niego przyłączyć. Nie może jej odesłać. Nie odtrąci ani jednego stronnika: każdego mu potrzeba!

Zabiera ją z powrotem do dworu, opowiada wszem wobec jej historię. Dla ludzi, chowanych na pieśniach bardów, nie jest to historia nadzwyczajna. W górach Szkocji młode kobiety na równi z mężczyznami, nie czekając, by przygoda i miłość zastukały do ich drzwi, często wychodzą im naprzeciw. Co prawda, we dworze Kinlochmoidart niektórzy podnoszą brwi. Ale nawet Atholl, nawet Sir John Macdonald, nawet stary gubernator — byli kiedyś młodzi. I wszystkim znane jest dobrze

nazwisko Walkinshaw. Ojciec dziewczyny maszerował wraz z nimi w 1715 r.

Klementyna śpi tej nocy przed drzwiami komnaty księcia — owiniąwszy szczupłe ciało w pled, szabla i pistolet w pogotowiu.

Zwiastuny romantyczności...

Dnia 19 sierpnia o świcie Karol Edward z przyjaciółmi i przybocznym gwardzistą opuszcza gościnne progi Kinlochmoidart, by udać się na umówione spotkanie w Glen Finnan. Odrzucił przebranie, które nie zwiódło Klementyny Walkinshaw. Wdział surdut piaskowego koloru, szkarłatne bryczesy, przypiął żółtą kokardę na kapeluszu oraz szpadę do pasa.

Łodzie wiosłowe czekają na Loch Shiel. Przeprowa pod prąd, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Wody jeziora, miejscami do stu metrów głębokości, przepływają początkowo między torfowiskami, dalej między skalistymi wysokimi brzegami, porośniętymi z rzadka sosną szkocką, niską i powykręcaną, w zaciśniejszych zakątkach bukami. Tuż nad nimi potężne szczyty.

Burze minęły, dzień jest pogodny. Po kilku godzinach wtrwałej pracy wiosłarze docierają do Glenaladale na zachodnim brzegu, pagórkowatej oazy jasnej zieleni, otoczonej wysokimi urwiskami, przeciętej krystalicznie czystym strumieniem. Zbliżając się, dostrzegają na brzegu trzech jeźdźców; ich przywódcą jest starzec, przygarbiony na siwym górskim koniku.

Księżę spogląda pytająco na Atholla, który obserwuje obcych.

— Na krzyż święty! — wykrzykuje Atholl. — Toż to Gordon z Glenbucket! On musi być w moim wieku, albo i starszy... Słynie z waleczności... Ale teraz smętnie wygląda... Jego ziemie leżą w Banff, na wschodnim brzegu. Musiał przeprować się konno przełęczami przez szczyty...

Gdy Karol Edward wysiada na brzeg, jego przyboczny gwardzista z ręką na rękojeści szabli idzie tuż za nim. Stary Gordon z Glenbucket zsiada z konia, przykłęka na jedno kolano — obciśnięte w tartanowe spodnie — a składając na drugim stary szkocki miecz obosieczny, zwany claymore, powiada:

— Wasza książęca mość — składam ci hołd i oddaję mój miecz. Jestem stary i chory. Przez trzy lata byłem przykuty do łoża. Ale wieść o wylądowaniu waszej książęcej mości wlała nowe siły we mnie. Nie odrącaj mnie. Wrócę do Banff, a za parę dni przyłączę się do was z czterema setkami odważnych serc i silnych ramion.

Księcia wzrusza do głębi ta wierna lojalność, kontrastująca z niezdecydowaniem młodszych wodzów. Podnosi Glenbucketa z klęczek i dopiero wtedy spostrzega, że starzec jest zgięty wpół, nie może stać prosto. A jednak tak daleką i trudną odbył drogę i mówi o powtórzeniu tej podróży jeszcze dwukrotnie!

— Mój zacny i lojalny przyjacielu! Nigdy bym nie odrącał szabli wzniesionej za naszą sprawę, a już tym bardziej takiej szabli, jak twoja! Gdy już dokończymy naszej pracy, moim pierwszym obowiązkiem będzie dopilnować, by twoje siwe włosy zostały tak uczczone, jak na to zasługują.

Rozłożono posiłek na polanie. Klementyna dogląda, aby wszystko odbywało się tak uroczyście, jak tylko okoliczności pozwalają. Glenbucket, Atholl i Sir John Macdonald opowiadają o krwawych zmaganiach w powstaniu z 1715 r. Toasty na zdrowie „Króla za morzami”, „Księcia Walii”, wspaniałego starca Gordona. Przed samym końcem posiłku Glenbucket wstaje i usprawiedliwia się:

— Mam daleką drogę przed sobą, ale niebawem spotkamy się znowu, wasza książęca mość, w bojowym ordynku!

Zdarzenie nappełniło księcia nadzieją. Bardzo mu tego potrzeba.

U ujścia Loch Shiel czekają nań dwa oddziały Macdonaldów, około pięćdziesięciu ludzi. Pierwsi żołnierze, którzy znajdują się pod jego dowództwem. Księżę przechodzi przed dwu-

szeregiem żołnierzy, przyglądając się im bacznie — każdy ma broń, szablę, sztylet, muszkiet, pistolety — i wdając się w pogawędkę. Wypytuje, jak zabezpieczyli rodziny na czas nieobecności...

— ...która, jak ufam, nie będzie długotrwała...

Kierują się w stronę Glen Finnan: zakątek samotny i romantyczny, wąska kotlina, przez którą przepływa rzeczka Finnan, otoczona zewsząd wysokimi skalistymi górami.

Serce Karola Edwarda bije mocno. Lochiel i Clanranald, Keppoch i Boisdale i inni wodzowie, z pewnością już zwerbowani, powinni napełnić kotlinę tłumem wojowników w tartanach najrozmaitszych barw.

Kotlinę skrywa przed oczyma księcia zakręt ścieżki i ogromna skała. Kilka jeszcze kroków — księżę powstrzymuje się by nie biec. Idzie spokojnie, skręca za skałę. Stoi nieruchomo, a wokół niego zbierają się najpierw jego dawni druhowie, później dwa oddziały Macdonaldów. Księżę wykrzykuje:

— Czy w ten sposób górale Szkocji dowodzą lojalności wobec syna swego króla i władcy?

W dolinie nie ma ani jednego człowieka.

Stary Sir John Macdonald próbuje ułagodzić rozczarowanie:

— Cierpliwości, mości księżę. Czas w górach służy ludziom, nie rządzi nimi. Teraz zniwa..

Księżę nie daje się ułagodzić. Po raz pierwszy ulega przygnębieniu. Pamięć o szlachetnej lojalności wspaniałego starca, Glenbucketa, nie wystarcza już, by go podtrzymać.

Jest późno. Karol Edward przyjmuje zaproszenie Angusa Macdonalda, by spędzić noc w jego siedzibie, która leży w pobliżu. Ale ten dom w niczym nie przypomina pięknego dworu Kinlochmoidarta. Stary, długi parterowy budynek; małe pokoje sypialne, jak cele, wychodzą wszystkie do wielkiej bielonej sieni, przypominającej stajnię.

Tu przyłącza się biskup. Jest nadal chwiejny, ale nie chce się opóźnić w obowiązku pobłogosławienia przelewu krwi.



Na cześć królewskiego gościa złowiono i usmażono ogromnego łososia, upieczono dziczyznę. Ale dziedzic tronu Stuartów odsyła nietknięte półmiski. Siedzi milczący, zaszepiony.

Minie dobrych kilka dni od wyładowania Karola Edwarda w Eriskay, zanim wieść o tym dotrze do Królewskiej Rady Szkockiej w Edynburgu. W pierwszej chwili Lord Prezydent Duncan Forbes lekceważy wiadomość, jako niemożliwą.

— Przecież jakobici w ogóle nie poczynili żadnych przygotowań na przybycie Młodego Pretendenta!

Prawda. John Murray z Broughton niczego nie osiągnął. Ale wiadomość jest też prawdą. I ostatecznie dowódca wojsk, Sir John Gope, daje jej wiarę. Zaczyna gromadzić swoje oddziały. Niewiele lepiej jest przygotowany do obrony panowania Hanowerczyka, aniżeli księżę do jej obalenia. Sir John może zebrać wszystkiego cztery tysiące żołnierzy, z czego trzy tysiące piechoty. Czterystu ledwie zwerbowanych nowozaciężnych jeszcze nigdy prochu nie wachało; jazda także surowa i nie wyćwiczona, zarówno dragoni Hamiltona, jak i Gardinera. Całe wojsko bardzo kiepsko uzbrojone: w pierwszym regimencie piechoty ani jednej szabli. Gope ma kilka starych armat, ale żadnego dobrego kanoniera.

Nie jest to z winy Sir Johna. Od dawna już zwracał uwagę władz cywilnych w Edynburgu na niezadowolającą sytuację militarną. A władze w Edynburgu z równym uporem nieustannie zapewniały Londyn, że żadna rebelia nie grozi.

Ale teraz Londyn otrzymał niepokojące wieści z Francji o wyjeździe księcia. Nowiny spóźnione, ale w każdym razie wcześniejsze od tych, które miały nadejść z Edynburga. I Anglia nie jest przygotowana do odparcia inwazji z północy, jak Szkocja do stłumienia rebelii. W całej Anglii znajduje się nie więcej, jak siedem tysięcy żołnierzy, przeważnie zajętych ochroną portów morskich przed przemytnikami i piratami. Nie ma armii, którą by można od razu wysłać na granicę szkocką.

Większość wojsk jest w Niderlandach, pod wodzą księcia Cumberlanda.

Anglicy od dawna bali się stałego zawodowego wojska, jako zagrożenia dla ich swobód obywatelskich. Odmawiali pieniędzy na utrzymywanie żołnierzy w czasach pokoju. Gdy nadchodziła wojna, pośpiesznie werbowano nie wyćwiczonych rekrutów, a przede wszystkim najmowano cudzoziemskich jur-gieltników. A co do dowodzenia, to jeden z ówczesnych mężów stanu określa wojsko angielskie jako posiadające „najgorszych oficerów w całej Europie”.

Król Jerzy II nie przebywa w kraju. Zawsze wołał swój rodzinny Elektorat Hanowerski. Jego tamtejsi poddani są zadowoleni z paternalistycznej formy rządów. A w Anglii stale mu dokuczają parlament: określa jego religię i religię jego małżonki, zabrania ministrom wyrażania jego poglądów w Izbie Gmin. Nie wolno mu zaciągnąć regimentu, nałożyć podatku, zawiesić ustawy. Polityka wewnętrzna i zagraniczna Anglii nie jest polityką króla, lecz jego pierwszego ministra, Sir Roberta Walpole.

Te i inne więzy Anglia narzuciła swoim monarchom przed sześćdziesięciu laty, gdy despotyczny pradziad Karola Edwarda, James II, został zdetronizowany na rzecz swej córki, protestantki Mary i jej męża, Wilhelma Orańskiego. Trudno się spodziewać, aby Anglicy bez sprzeciwu zgodzili się na przywrócenie despotyzmu autokratycznych rządów Stuartów w razie, gdyby Karol Edward zatriumfował. Wojna domowa jest nieunikniona. Stary Pretendent nie chciał czy nie umiał tego zrozumieć.

Nieobecność Jerzego II jest w danej chwili poważnym utrudnieniem dla rządu. Nie wymaga się od króla, by podejmował decyzje, ale musi przyłożyć koronną pieczęć na decyzjach, podejmowanych przez ministrów. Nie żywiąc dla swego niemieckiego suwerena szczególnego przywiązania — był to zarozumiały, choleryczny człowiek, mówiący po angielsku z okropnym akcentem — ani też szczególnej antypatii, jego

poddani w normalnym stanie rzeczy nie dbali o to, czy król Jerzy zaszczyca swą obecnością Londyn czy też Hanower. Ale teraz, gdy zagraża kryzys zarówno narodowy jak i dynastyczny, panuje niezadowolenie z powodu jego nieobecności. Na bramie pałaca królewskiego w Londynie przypięto w nocy ogłoszenie :

„Zagubiony lub zaginiony z tego domu, mężczyzna, który opuścił żonę i sześcioro dzieci, zostawiając je na łasce parafii; ktokolwiek doniesie o miejscu jego pobytu, otrzyma cztery szylingi i sześć pensów. Uwaga: tej nagrody się nie podwyższy, nikt nie oceni nieobecnego na wartość korony”.\*

Młodego Pretendenta rząd wyżej ocenia. Wydaje proklamację:

„...poruszeni słuszną indignacją... niniejszym w imieniu jego królewskiej mości rozkazujemy i zarządzamy, aby wszyscy oficerowie i urzędnicy oraz wszyscy lojalni poddani jego królewskiej mości wszelkimi wysiłkami próbowali ująć i pochwycić wymienionego syna Pretendenta... A następnie w imieniu jego królewskiej mości obiecujemy i przyrzekamy nagrodę trzydziestu tysięcy funtów szterlingów tej osobie lub osobom, którzy do ujęcia i pochwycenia się przyczynią...”

W samej Szkocji niejeden — włącznie z wodzami niektórych klanów — chętnie by się zgłosił po te trzydzieści tysięcy funtów. Na przykład Campbellowie, którzy od dawna wojują z Macdonaldami. W każdej kłótni, sprzeczce, różnicy zdań stają po przeciwnych stronach i korzystają ze sposobności, by zmniejszyć liczebność odwiecznego wroga. Macdonaldowie są jakobitami. Wobec czego automatycznie Campbellowie deklarują się po stronie Jerzego II.

Są i inni, którzy się opowiadają przeciw Młodemu Pretendentowi. Duncan Forbes, Lord Prezydent, użył swego niemałego wpływu w tym celu. Hrabia Stair, Lord Annandale, Lord Rothes, większość szkockich lordów — ci są za „status quo”.

\* Korona — moneta — równa się pięć szylingów.

Oprócz Gambellów jeszcze kilka innych klanów będzie walczyć w razie potrzeby za panującego monarchę. Na innych można liczyć, że przynajmniej zostaną w domu. Na czym właściwie polegał „wpływ” Forbesa, nie wiadomo, ale wielu ma pewne podejrzenia. Korupcja nie jest nowością wśród szkockiej arystokracji, która od XVI wieku — jeśli nie dawniej — wielokrotnie wbijała nóż w plecy swoim bohaterskim rodakom. Tak dalece, że w górach Szkocji powstała popularna ballada:

*Za nic nam była angielska stal,  
Ufamy własnej odwadze!  
Angielskie złoto zatrulo krew  
Bandy łotrów w narodzie.*

Dwudziesty sierpnia jest lepszym dniem dla Karola Edwarda. Wcześniej przybywa do kotliny Glen Finnan. Na halach nadal pustki, prócz dwóch oddziałów Macdonaldów, ale zza -gór nadlatuje poświstem melodia: góralskie kobzy ślą przenikliwe dźwięki bojowych pieśni klanowych, pibrochu.

— Nadciągają! Mości księżę, nadciągają! — woła Kinlochmoidart.

Uśmiech rozpromienia wszystkie twarze, i księcia i dziewczyny-gwardzisty, stojącej tuż za nim.

W kwadrans później od północnego krańca doliny pojawia się Clanranald na czele stu pięćdziesięciu wojowników w kraciastych spódnicach, zwanych kiltami. Następny przybywa Keppoch z dwustu Macdonaldami. A teraz Lochiel „Łagodny”. Jedzie konno, dojechał już do księcia, a jego Cameroni wciąż jeszcze tłoczą się w dolinę, jest ich pięciuset. A za nimi, na czele jeszcze dwustu, nadjeżdża wyniosła, dumna kobieta na gniadym wierzchowcu w zielonej uprzęży, ozdabianej złotem. Strój na niej barwy wody morskiej, szkarłatne wyłogi ze złotą koronką. Gdy się zbliża, księżę dostrzega, że jest piękna,

ma cudowne oczy. czarne włosy w lokach, aksamitny kapelusz ze szkarłatnym długim piórem. To Jennie Cameron, która po rozwodzie wróciła do rodzowego nazwiska. Wspaniała amazonka, salutuje księciu obnażoną szpadą.

Księżę podjeżdża do niej, przyjmuje jej hołd, zabiera ją do namiotu. Klementyna Walkinshaw pozostaje na zewnątrz i nie ma wesołej miny.

Jennie Cameron nie jest jedyną kobietą, która nadciągnęła wraz z klanami; są tu młode dziewczęta, które przyszły z narzeczonymi, bojąc się może ich utracić; są mężatki, które mają kochanków; są kobiety mniej romantyczne, a bardziej interesowne. Wydano wprawdzie rozkaz, aby nikt nie towarzyszył wojownikom; ale któż zechce odesłać kobiety i narazić się na to, że mężczyźni odejdą za nimi? A poza tym, wiadomo już, że księżę ma „przybocznego gwardzistę” — chociaż ten sypia jeszcze za drzwiami księżęcej sypialni lub namiotu.

Poszczególni wojownicy wciąż nadciągają. Ale są i dezercje. Sleat i Macleod, którzy z ociąganiem zgłosili swój akces wraz z Lochielem, nie dotrzykali złożonej obietnicy.

— To nie mężczyźni — mówi Jennie Cameron, wzgardliwie wykrzywiając piękne wargi. — Za angielskie złoto łatwo ich kupić! Banda łotrów.

Łotrów różnego pokroju. Można bronić lojalności każdej ze stron. Są więc i tacy, którzy próbują się opowiedzieć po obu stronach naraz. Na przykład Lord Lovat, głowa klanu Fraserów. On to przed laty obmyślił plan kampanii, według którego Karol Edward zamierza teraz działać, zatrzymując wojska Sir Johna Cope poza centralnym masywem górskim aż do chwili, gdy dalsze klany powstaną do walki. Teraz Lord Lovat wysyła do księcia swego dziesięcioletniego syna Simona, zwanego „paniczem Lovat”, z częścią klanu Fraserów. Simon nie chciał iść: ojciec go przymusił.

— Mój ojciec wyraża głęboki żal, iż nie może osobiście przyłączyć się do wyprawy, mości księżę — mówi młody Simon. — Jest stary i chory.

Rzeczywiście, Lord Lovat ma 78 lat. Ale zmusiwszy syna, by zaryzykował, w najlepszym razie śmierć na polu bitwy, a w najgorszym szubienicę i tortury, wymierzane zdrajcy, Lord Lovat pisze do Duncana Forbesa z oznajmieniem o swojej „lojalności wobec prawowitego rządu”, i żałuje, że jego nieposłuszny syn uparł się, aby się przyłączyć do rebelii. Co prawda, nie wywiera to wielkiego wrażenia na Forbesie. I on wie o „bandzie łotrów”.

Tym niemniej Fraserowie wzmacniają liczebność jakobi-tów. Ten, który przed osiemnastu dniami wylądował w Eri-skay z zaledwie siedmiu towarzyszami, bez pieniędzy, bez broni i zapasów, ma teraz pod swoją wodzą półtora tysiąca barczystych górali w tartanach, a do swojej dyspozycji sakiewki bogatych wodzów klanowych. Jest za mało ludzi i za mało pieniędzy. Ale chyba znak pewny, że będzie więcej!

Dzień mija. Czas już, podpowiada kapitan O'Sullivan, podnieść sztandar Stuartów, proklamować króla Jamesa III.

Biskup Hugh Macdonald błogosławi sztandar, karmazynowy jedwab, w środku białe pole z mottem: „Tandem Triumphans”. Książę Atholl z wysiłkiem unosi drzewce — wielki krzyk zrywa się w całej dolinie. Wiatr dmie, stary Atholl nie jest w stanie utrzymać prosto sztandaru, który nieomal pada, nim podchwycą go Eneas i Kinlochmoidart. Książę Atholl, głosem niewiele silniejszym od swych ramion, odczytuje proklamację Jamesa III, mianującą Karola, księcia Walii, jedynym regentem aż do czasu królewskiego przybycia. Mało kto słyszy słowa, ale ci najbliżsi Atholla wyrzucają czapki i berety w górę, a wszystkie klany ich naśladują.

Głos księcia rozbrzmiewa donośnie i czysto, dociera do najdalszego zakątka doliny, odbrzmiwając echem od skalistych zboczy. Każdy go słyszy.

— W imieniu mego ojca dziękuję wam za lojalność... jest nas jeszcze mało, ale ufam, że każdy z nas reprezentuje dziesięciu, którzy niebawem nadciągną. — Ponoś go optymizm. Przygnębienie z poprzedniego wieczora rozwiało się z dźwię-

kiem kobz. — ...maszerujemy ramię przy ramieniu dla szlachetnej sprawy... doprowadzimy nasze przedsięwzięcie do triumfalnego końca — Tandem Triumphans!

Znowu okrzyki, wiwaty, znowu czapki i berety wylatują w powietrze, znowu połyskują obnażone miecze.

Księżę wraca do domu Angus Macdonalda. Wodzowie tłoczą się w białonej sieni, gdzie rozstawiono stoły do wieczornego posiłku. A z dalszej i bliższej okolicy zeszedli się gapie. Księżę nie pozwala Klementynie ani innym nikogo odpędzać, zasiada do posiłku w ich obecności, wesół i w dobrym humorze.

— Nie co dzień mają takie przedstawienie! — mówi.

Słusznie, zdobywanie sobie sympatii ludności jest dobrym posunięciem. Kto wie, kiedy ta przychylność będzie mu potrzebna?

Wodzowie nie przybyli z pustymi rękoma. Trunków jest pod dostatkiem dla wszystkich. Lochiel wstaje i woła:

— Deoch slaint au Righ — pijemy zdrowie króla!

Gdy zmierzch zapada, gapie wymykają się do swoich domów, a Karol Edward zasiada z wodzami do narady wojennej. Mianowano kapitana Johna O'Sullivana generalnym kwatermistrzem. Będzie musiał dopilnować, by wojujące klany miały co jeść, i jeśli możliwe, gdzie spać. Ma dbać o to, by były pieniądze na utrzymywanie wojsk, prowadzenie wyprawy. Nie synekura, taka nominacja.

Jeszcze podczas obrad przybywa goniec. Jechał bez tchu z Edynburga: przywozi odpis proklamacji, obiecującej za głowę Młodego Pretendenta cenę trzydziestu tysięcy funtów. Księżę żartuje:

— Wysoko mnie cenią! Wyżej, niż ja cenię Jerzego Hanowerskiego. Kwatermistrzowi generalnemu, proszę ogłosić proklamację, że wypłacę tytułem nagrody trzydzieści funtów — jeśli mi ich ktoś pożyczy — każdemu z lojalnych poddanych mego ojca, który się przyczyni do pochycenia wyżej wymienionego uzurpatora.

Gdy śmiech ucichł, odzywa się Eneasz:

— Jego książęca mość jest w wesołym nastroju. Wszyscy się tym cieszymy. Ale mówiąc poważnie, sądzę, że należy za głowę uzurpatora wyznaczyć cenę nie niższą od tej, którą tak impertynencko wyznaczono...

Przygotowano więc odpowiednią proklamację do rozesłania po całej Anglii i Szkocji za pośrednictwem agentów jako-bickich. Przynoszą ją księciu do podpisania. Ten waha się i śmieje:

— Trzydzieści tysięcy funtów nagrody! Jak mogę tyle przyrzekać? Ja, który mam ledwie gwineję w kieszeni!

Jennie Cameron odpowiada:

— Wasza książęca mość będzie miał wkrótce całą Brytanię!

Będzie miał całą Brytanię? Pod swoim butem, czy w pogoni za sobą? Oto jest pytanie!



## *Rozdział VI*

### **KRÓLEWICZ STUART NADCIĄGA**

Pierwsza krew dla księcia. Zwycięstwo odniesiono wtedy, gdy płynął łodzią w górę Loch Shiel, przez stronników, o których jeszcze nic nie wiedział.

Od południowego zachodu do północnego wschodu, łącząc Atlantyk z Morzem Północnym, biegnie przez góry Szkocji linia wielkich jezior, połączonych rzekami — droga wodna, znana pod nazwą Wielkiego Glenu. By strzec tej ważnej linii komunikacyjnej, Anglicy zbudowali dwie silne twierdze: Fort William, o jakieś 30 km na północ od Ardgour i Fort Augustus o 50 km na południowy zachód od Inverness.

Czterdziestu angielskich żołnierzy w szkarłatnych mundurach maszeruje od jednego fortu do drugiego. Kotlina. Strzały zza wysokich skał nad nimi. Dwaj żołnierze padają. Szkarłatne mundury chcą się cofnąć! Niemożliwe. Pięćdziesięciu Macdonaldów Keppocha, śpieszących na nieco spóźnione spotkanie ze swym wodzem, zagradza im drogę. Szkarłatne mundury — naprzód! Niemożliwe. Drugi oddział, również pół setki górali, zeskakuje i zsuwa się po przepaścistych zboczach skalnych z bojowym okrzykiem na ustach. Szkarłatne mundury w pułapce.

Pierwsza krew dla księcia. Pierwsi jeńcy.

Potyczka, ale o dużym znaczeniu. Błyskawicą szerzy się po górach wieść — czasem prawdziwa, częściej wyolbrzymiona.

— Potyczka... Walka... Bitwa... Pięciuset Anglików padło...

Prawda nie ważna. Wieść biegnie, jak kula śnieżna, rosnąca w lawinę i dodaje ducha góralom. Setki niezdecydowanych postanawia przyłączyć się do powstania w Glenfinnan, albo podczas pochodu księcia na wschód.

— W twoich żyłach płynie krew gaelicka — powiedział do księcia stary góral. — Oby twój język wymawiał słowa gaelickie, oby twoją odzieżą był tartan, oby twoją nagość przykrywał kilt..

„Słowa gaelickie" przychodzą mu z trudem. Ale zanim wyruszy z Glenfinnan, księżę przywdziewa kilt. Według ówczesnego angielskiego kronikarza, nie jest to bardzo skuteczne przykrywanie nagości:

„Część pledu układa się w fałdy i przewiązuje wokoło pasa, tworząc w ten sposób krótką spódniczkę, sięgającą do połowy uda... często noszą kilty tak krótkie, że w wietrzny dzień, albo gdy idą pod górę czy schylają się, nieprzystojność ujawnia się wyraźnie".

Przywdzianie narodowego stroju szkockiego, przestrzeganie tradycji i obyczajów świadczy, że księżę postanowił zyskać sobie sympatię nawet kosztem ryzyka „nieprzystojności ujawnionej wyraźnie". I rzeczywiście, ujmuje tym górali. Są mu wdzięczni. Zdobywa sobie popularność.

Oprócz kiltu i skórzanego sporrana, zawieszono u pasa, Karol Edward wkłada również szkockie obuwie z miękkiej skóry, które mu dostarczył Kinlochmoidart. Wkładając je po raz pierwszy księżę mówi:

— Nim znowu rozwiążę te wiązania, rozprawię się z Jasiem Cope!

Co prawda, nie tak to będzie wyglądało, ale tego rodzaju powiedzenia, podchwytywane i powtarzane, szybko rozchodzą się po całych górach, wśród klanów.

Wodzowie znają dobrze góry i przełęcze, przez które ma-

szerują teraz na wschód. A Klementyna niedawno przejeżdżała tamtędy w drodze z Perth. Omijają Fort William, pozostawiając go po prawej ręce i kierują się prosto na Glen Loy. Przeprowadzają się przez Wielki Glen koło Gairloch, gdzie Loch Lochy zwęża się w rzekę Lochy. I dalej pod górę, przełęczami omijając najwyższe wzniesienia, sięgające półtora tysiąca metrów nad poziomem morza. Ich pierwszym celem jest Las Corrieyairack, u skraju którego znajduje się przełęcz tej samej nazwy. Jeżeli Sir John Cope maszeruje ze swym wojskiem, by przychwycić rebeliantów przy Wielkim Glenie, to Przełęcz Corrieyairack jest z punktu widzenia taktycznego najdogodniejszym miejscem, by na niego czekać. Od zachodu prowadzi tu długie, łagodne podejście, ale od wschodu, skąd mają nadciągnąć Anglicy, droga wspina się siedemnastoma zakrętami; nie do przejścia pod ogniem strzelb z góry.

Maszerując na czele swoich wojsk, teraz sięgających liczby dwóch tysięcy ludzi, Karol Edward jest szczęśliwy. Zdrowy i silny młodzieniec raduje się wojskowym gwarem, nawet ciężkim trudem fizycznym w krystalicznym powietrzu gór. Nie gnębią go już żadne wątpliwości. Przedsięwzięcie rozpoczęte! Musi się skończyć powodzeniem. Trudności? Przelew krwi? Tym się Karol Edward nie trapi. Strzeżcie się, obrońcy hanowerskiego uzurpatora — Stuart nadciąga!

Idą przez kraj górzysty, surowy. Obficie rodzi tu jedynie wrzos. Dzikie bydło i jelenie pasą się swobodnie, wydry, bobry i drapieżne tumaki mnożą się bez przeszkód, a spod stóp zrywają się przepiórki, cietrzewie, pardwy. Przed wiekami poruszające się masy lodowcowe wyżłobiły kotliny, pozostawiając skały, które pokryła miejscami płyciutka warstwa ziemi. Przyroda określiła gospodarkę i tryb życia górali; wypasali czarne, kudłate bydło, zahartowane owce i kozy; byli pastuchami i wojownikami, by bronić stad, a zarazem napadać na stada sąsiadów; sąsiedzi się odwzajemniali, waśnie załatwiano pchnięciem sztyletu, pojedynkiem, albo też wojną całych klanów, zwolowanych na wrzosowiska: surowość i barbarzyństwo. Nie ma

wiosek, budowanych z ciosanego kamienia i krytych strzechą, zacisznych i malowniczych, jak w Anglii. Spoglądając na hale, książę dostrzega tylko jakby placki z błota: ubogie lepianki, o jednej izbie, czasem przedzielonej zasłoną z trzciny. Pośrodku ognisko, na którym tli się i dymi suszony torf, a nad nim zawieszony na trójnogu żelazny kociołek.

Większość robót wykonują kobiety. Mężczyźni są leniwi, przesiadują przed lepiankami latem, a przy ognisku zimą, wspominając dawne zajazdy, chępiąc się bojowymi czynami, albo też słuchając wędrownych bardów, snujących ballady o bohaterских i krwawych czynach. Katolicy księża i kalwińscy duchowni przemierzali góry i doliny, ale słowo boże nie wyparło celtyckiego kultu olbrzymów, czarownic, leśnych ludków, kamieni, które żyją i mówią. Dwie wiary nakładają się na siebie.

Po jakimś czasie książę opuszcza czoło pochodu, idzie to z jednym klanem, to z drugim, słucha tradycyjnych pieśni, próbuje uczyć się gaelickich zwrotów i słów. Prymitywna, plemienna organizacja i zwyczaje klanów dobrze odpowiadają jego średniowiecznym upodobaniom. Trochę już wie o tej organizacji, uczył go stary guwerner. Ale teraz rozpytuje szczegółowo, trzymając się strzemienia wierzchowca Jennie Cameron i idąc obok niej, dostosowując swój krok do kroku Lochiela „Łagodnego” albo zmuszając Keppocha, który woli jechać konno, by z kurtuazji zsiadł i dotrzymywał mu towarzystwa.

Klan góralski jest zbiorowiskiem ludzi, noszących to samo nazwisko, pochodzących od tego samego przodka. W każdym klanie jest kilka podległych plemion, każde posiadające własnego naczelnika, podporządkowanego głównemu wodzowi całego klanu, jak na przykład Clanranaldowi podlegają wszyscy Macdonaldowie, a Cameronowie Lochielowi. Członek klanu w swej lepiance ma pretensje do szlachectwa na równi z wodzem w kamiennym dworze. Klan jest jego jedyną osobowość-

cią i jedynym prawem: poza prawem klanowym zna tylko miecz.

Większość członków klanów nie umie czytać ani pisać. Wodzowie, zwłaszcza młodszy, kształcili się na uniwersytetach w Glasgow lub Edynburgu, a nierzadko w Paryżu lub Rzymie. Mówią nie tylko po angielsku, ale także po francusku, również po łacinie i grecku. Piją francuskie wina i przybierają kołnierze i rękawy bezcennymi koronkami. Znaczenie jednego z wodzów w stosunku do innych opiera się na liczbie bydła na pastwiskach i liczbie mężczyzn, których może powołać pod broń. Zdarzają się wśród nich dziwacy. Keppoch chełpi się przed księciem:

— Kiedy Macpherson z Cluny wrócił z Europy, zatrzymał się u mnie czas jakiś. Powiedział mi, że widuje się teraz w za możliwych domach za granicą wielkie kandelabry. Kazałem więc, by przy wieczerzy wokoło stołu stanęli kręgiem ludzie mego klanu, każdy trzymając wysoko palącą się pochodnię. I zapytałem Cluny'ego, czy można znaleźć gdziekolwiek w Anglii, Francji albo Italii takie kandelabry!

Stosunek zależności wodzów wobec króla, Hanowerczyka albo Stuarta, czy też nawet francuskiego Bourbona, jest nieokreślony, właściwie dyktowany osobistym interesem. Klan jest ważniejszy od narodu, posiadłości wodza ważniejsze od dobra Szkocji. W czasach wojen nie bywa jedność w kraju. Każdy wódz ocenia sytuację z punktu widzenia korzyści, jakie on i jego klan mogą wyciągnąć. Ale posłuszeństwo, jakiego wódz wymaga od klanu, jest absolutne. Jeśli wezwany na wojnę członek klanu pozostanie w domu, to ten dom będzie spalony, jego bydło, jeśli je miał, zostanie zagnane do stad wodza, jego ziemie uprawne zdeptane stadami owiec wodza.

— Wódz chroni swój klan, mości księżę i wymierza kary klanowi — wyjaśnia Karolowi Edwardowi Clanranald. — Przed niedawnym czasem przyprowadzono przed mój sąd pewną kobietę, która ukradła pieniądze mnie — mnie, swemu wodzowi. Rozkazałem, by ją za włosy przywiązali do wodoro-

stów na skałach, i tam została, aż nadszedł przyływ i zatopił ją.

Książę jest wstrząśnięty.

— Czy nikt z klanu nie protestuje przeciw takiej surowej sprawiedliwości ?

— Protestuje, mości książę? Skądże znowu! Kto ukradł coś wodzowi, ten okradł klan. Kto krzywdzi wodza, krzywdzi klan. Gdybym tę kobietę wydał klanowi, rozerwaliby ją na sztuki.

Takich to ludzi Anglicy od stuleci usiłują nagiąć do swojej woli mieczem i złotem. Metodą prawną było mianowanie kilku wielkich wodzów klanowych szeryfami na ich terytoriach. To posunięcie związało z rządem angielskim wpływowych „lair-dów” szkockich; pozwoliło również na załatwienie dawnych porachunków klanowych pod płaszczykiem królewskiego prawa.

Każdy mężczyzna w klanie, zdolny do noszenia broni, jest wojownikiem. Gdy idą do walki, wódz, albo ktoś przez niego mianowany — Lord Lovat na przykład mianował swego syna Simona — jest ich pułkownikiem. Inni najbliżsi członkowie rodziny wodza dowodzą skrzydłami i tylną strażą. Głowa każdej rodziny występuje w charakterze oficera, odpowiedzialnego za uformowanie kompanii, plutonu lub oddziału swoich krewnych.

— A jak wezwałeś swoich ludzi? — pyta książę Lochiela — mieszkających w rozproszeniu po dalekich górach?

— Zgodnie z tradycyjnym obyczajem, wasza książęca mość — odpowiada Lochiel — płonącym krzyżem. Dwa podpalone kije umocowuje się na kształt krzyża do długiego drąga i prze wiązuje skrawkiem płótna, zamaczanego we krwi. To hasło po dają sobie z rąk do rąk.

Mógł dodać, że całe mnóstwo zabobonów towarzyszy klanom, odpowiadającym na wezwanie. Jeśli spotkają zbrojnego mężczyznę po drodze — dobry omen. Każde napotkane dzikie zwierzę trzeba koniecznie zabić, inaczej złe losy się sprzysięgną. Jeśli bosa kobieta przemierzy drogę przed wojownikami,

trzeba ją schwytać i upuścić jej z czoła kroplę krwi ostrzem sztyletu. Te i inne zwiastuny kłęski lub zwycięstwa większe mają dla klanów znaczenie od błogosławieństwa, wyrzeczonego przez biskupa nad szkarłatnym sztandarem Młodego Pretendenta.

Ci Macdonaldowie, którzy urządzili zasadzkę na szkarłatne mundury koło Wielkiego Glenu, przyłączają się do Keppocha. Wszyscy im urządzają wielkie powitanie. Księżę im gratuluje. Ale Keppoch nie jest rad. Po co brali jeńców? To tylko mitrega w pochodzie!

— Gdybyście oddali parę strzałów więcej, zaoszczędzilibyście nam wszystkim mnóstwa mitregi!

Niezadowolenie Keppocha jeszcze wzrasta, gdy księżę traktuje angielskiego oficera z rycerską kurtuazją i każe go zwolnić na parol.

Przybywa stary Glenbucket, z trudem prostując pokręcone reumatyzmem ciało, dumny ze swoich czterystu Gordonów. I Macpherson z Cluny z dwustu ludźmi. Dziwna jest jego historia. Posłyszawszy, że księżę wylądował, Macpherson początkowo zaczął zwoływać swój klan, by bronić istniejącego ładu i rządu; ale gdy się dowiedział o podwójnej zdradzie Lorda Lovata, zmienił zdanie i pomaszerował w przeciwną stronę. Wyznaje to przed księciem i przysięga na obnażony miecz wierność i lojalność Jamesowi III. Gdyby złamał tę przysięgę, tylko zabijając go, jego klan oczyściłby swój honor.

Z pomniejszych wodzów niektórzy przyłączyli się z myślą o dobrze płatnej synekurze, o angielskich dobrach, nadawanych w nagrodę za dzielność, o sposobności wydania córki za mąż za bogatego angielskiego jakobitę. Jeszcze inni przyszli po prostu z ochoty do wojaczki, w nadziei łupów. I są tacy, których poruszyła odwaga — choć można to i inaczej nazwać — księcia, powierzającego się lojalności wiernych górali.

Jednakże faktem pozostaje, że gdyby wszystkich zdolnych do noszenia broni ich wodzowie zebrali pod sztandar Stuartów, książę rozporządzałby siłą ponad trzydziestu tysięcy żołnierzy — liczba, zdolna istotnie przerazić Anglię i króla Jerzego II. Tymczasem większość wodzów wolała pozostać w swoich dolinach i górach, wspominając, co się przytrafiło ich ziemiom i ich klanom, gdy ich ojcowie odpowiedzieli na apel Starego Pretendenta przed trzydziestu laty. Religijne waśnie, ambicje wodzów, obawa banicji lub konfiskaty ziem sprawiła, że niemożliwością jest zjednoczyć wszystkich szkockich górali dla wspólnej sprawy. Można rozprawiać o Mesjaszu, gdy Mesjasza nie ma w pobliżu; można wznosić toasty za zdrowie-„króla za morzami”, dopóki ten król i jego syn pozostają za morzami. Ale posłuchać wezwania Mesjasza do walki, ale bić się o odzyskanie tronu dla króla? Mesjasz powinien mieć na tyle rozsądku, by pozostać nierealnym tematem pieśni bardów. Nieładnie ze strony Mesjasza ryzykować ujawnienie glinianych nóg swoich domniemanych uczniów.

Książę maszeruje, pobrzękując dwiema złotymi monetami w swoim sporraniu — to całe jego bogactwo. Nadaje pochodowi ostre tempo, nie zwalnia na stromych, usianych skałami podejściach, przeskakuje strumienie górskie, śpieszy po dolinach. Niechaj słońce pali, niech deszcz zacina, on głowę trzyma wysoko, jakby wyzywał żywoły tak, jak wyzywał hanowerskiego uzurpatora i angielski rząd.

Po całodziennym marszu, po wieczornym posiłku, młodzi górale o gorącej krwi, nie zmęczeni pochodem, urządzają turnieje zapaśnicze, mocują się, biją. Karol Edward wyzywa na rękę jednego, który już pokonał sześciu przeciwników.

- Nie chcę żadnej konsyderacji dla mojej osoby — uprzedza.  
— Kto mnie położy na obie łopatki, nie popełni żadnej obrazy majestatu!

Książę i góral obchodzą siebie dookoła, doskakują i uskakują, wreszcie — chwyt. Mocują się. Wszyscy patrzą jak zaczarowani, z zapartym tchem, każdy tu sędzią.



- Położył go...
- Teraz go ma...
- Piękne zwycięstwo...
- Jest silny, zwinny...

Tak, książę zwycięża. Nie wszystek czas w Rzymie spędzał z damami dworu. W zapasach może pokonać każdego w klanie. Szacunek dla niego wzrasta. Zwinne, wyćwiczone mięśnie — to rozumieją, to potrafią docenić.

Gdy ciemność zapada, góry zdają się przybliżyć i otaczać wojsko, z dala słychać krzyki nocnych ptaków, płomienie ogniska skaczą wzwyż, a Karol Edward woła o pieśń, o balladę, o legendę. Starzec bard powstaje, bierze do rąk instrument. Głos ma niezwykle silny, donośny, jak wielki aktor, a skały zamykające kotlinę tworzą doskonałą akustykę.

— „...na jego ramieniu smukła strzelba, u pasa rożek z prochem i kule, przy nodze wierny pies... Żył wedle tradycji dawnych myśliwych. Nie przepędzał godzin czekania na łowy grając w karty, albo łykając dym tytoniowy, albo pijąc whisky... ale wzywał bardów, śpiewaków, zachęcał ich do układania ballad o słynnych łowach, o olbrzymach... słodkie były jego uszom ich pieśni, a lekka jego ręka na harfie...”

Nocą książę owija się w swój pled tak, jak go nauczył poeta na pokładzie „Doutelle”, aby w razie alarmu mógł zerwać się bez przeszkody, z szablą i pistoletem w dłoni. Stary Sir Thomas Sheridan układa się obok niego i zawsze ma przydzielone najwygodniejsze legowisko na mchu. A o parę kroków dalej, czujna jak kot, śpi Klementyna.

Przekonawszy się nareszcie, że nawet bez „przygotowań na jego przyjęcie” Młody Pretendent wylądował z zamiarem wzniecenia rebelii — władze w Edynburgu decydują, że Sir John Gope musi jak najspieszniej maszerować prosto na przeciwnika i pokonać go bez żadnej zwłoki. To łatwe zadanie, zapewniają go:

— Tacy awanturnicy, desperaci, łowcy fortuny jak ten zwariowany młokos mogą zebrać tylko bezładną bandę, która się rozpierzchnie od kilku regularnych salw.

Co więcej, zapewniają Cope'a, że po drodze przyłączy się do niego wiele setek górali. Władze w Edynburgu są równie zadufane, jak i sam książę. Ale nikt nie ma ku temu podstaw.

Cope przygotowuje się do wykurzenia rebeliantów. Nawet gdyby przyjąć, że pogarda dla „awanturników, desperatów,, łowców fortuny" jest uzasadniona, powzięty plan nie grzeszy rozważą. Ludzie Cope'a nie znają gór. Tabory i artyleria będą mogły się tam posuwać tylko z największymi trudnościami. Nieprzyjaciel zna każdą górską perć, każdą przełęcz, każde dogodnie miejsce na zasadzkę, każdą kryjówkę. W 1715 f. książę Argyll, dowodzący wojskami rządowymi, rozsądnie pozostał na niskim pogórzcu, strzegąc wejść do przełęczy, upewniając się, że bitwa musi być rozegrana na równinie. Ale Cope — dzielny, lecz obawiający się odpowiedzialności — słucha wydanych rozkazów.

Karol Edward zamierza nie dopuścić Anglików do gór. Cope chce wygnać rebeliantów z gór. Żąda, by dla obrony Edynburga ściągnięto wojska z pogranicza szkocko-angielskiego. Odpowiadają mu mniej więcej, by pilnował własnych spraw. Tak więc Cope maszeruje na północ z dwoma tysiącami ludzi, z taborem zapasowej broni i amunicji, czterema armatami, prowiantem na dwadzieścia jeden dni. Duncan Forbes udał się już poprzednio w góry, by nakazać wodzom i szeryfom wzdłuż trasy pochodu Cope, iż mają mu udzielać wszelkiej pomocy.

Po zgnieceniu powstania z 1715 r. wydano nakaz rozbrojenia klanów. Klany jakobickie, oczywiście, nie oddały broni. Nie było też sposobu wyegzekwowania tego nakazu. Tylko klany lojalne wobec rządu oddały broń. Więc jeżeli teraz mają dopomóc Sir Johnowi Cope, trzeba im dostarczyć broni. Nie takie to proste. Książę Argyll, którego ziemie obejmują całe po-

łudniowo-zachodnie góry, włącznie z Argyll i Kintyre, oraz dużymi wyspami Muli i Islay, a którego potencjalne wojsko liczy pięć tysięcy ludzi, opowiedział się za rządem, ale odmawia przyjęcia broni. To by było przeciwne prawu.

— Zdaję sobie sprawę z kłopotów, wynikających dla rządu i dla kraju — powiada — ale nie zamierzam narazić się na kary i później oczekiwać pardonu.

Argyll wie coś niecoś o rządach. W podłym strachu, w chwili krytycznej zachęcają do łamania praw, a gdy niebezpieczeństwo minie, będą karać za ich łamanie.

Marsz Cope'a zaczyna się na dobrych drogach. Kieruje się do Dalwhinnie, skąd zamierza skręcić w góry, gdzie za każdym załomem skalnym może czyhać wróg, do przełęczy Corrieayairack i do Fortu Augustus, o nielicznym garnizonie, którego komendantem jest stary i zniedołężniały do tego stopnia oficer, że jego córka musi pisać za niego rozkazy. Cope nie wie jeszcze, że książę i jego „banda awanturników” postanowili uprzedzić ich na przełęczy. Tak, Cope nie wie jeszcze wielu rzeczy. Ale się nauczy.

W Crieff, na drodze na północ, Atholl, brat banity, towarzyszącego Karolowi Edwardowi, spotyka Cope'a. Atholl powiedział poprzednio Duncanowi Forbesowi, że wezwie pod broń setki wojowników swego klanu Macgregorów. Teraz powiada, że podlegli mu wodzowie odmówili posłuszeństwa. Nie może przyprowadzić ani jednego człowieka. Ani też nie chce wziąć broni, którą mu wciska Cope. Powiada, że jeśli by przywiózł ze sobą do klanu broń, to wojownicy zabraliby ją i udali się do obozu Młodego Pretendenta. Bądź co bądź, rozbrojenie lojalnych klanów nie było zupełnie bezsensowne. Lord Glenorchy także pisał lojalnie i pełne obietnic listy do Edynburga, do Cope'a osobiście. A teraz wita generała z pełnym wozem — wymówek. Nie przyprowadził nikogo.

Wozy z zapasową bronią są nie tylko nieużyteczne: stają się ciężarem, kulą u nogi. Cope odsyła połowę z nich pod eskortą z powrotem do Sterling.

Jeszcze i inne kłopoty spadają na głowę angielskiego generała. Z każdą przebytą miłą przekonuje się coraz wyraźniej, że zapewnienia o poparciu klanów były bezpodstawne. Klany są czasem obojętne, czasem wyraźnie wrogie. Żadnych rekrutów. Żadnego transportu. I ciągle podstępne napaści: ktoś konie taborowe kradnie nocami, wbrew czujnym strażom; ktoś rozcina wory, z których ziarno wysypuje się bezpowrotnie; prowiant znika; ci z żołnierzy, którzy są Szkotami, dezertują, a każdy zabiera ze sobą broń dla kilku ludzi.

Książę miał trudności ze zwerbowaniem wojsk — Cope patrzy, jak jego wojska z każdym dniem topnieją.

W Dalwhinnie do obozu Cope'a zgłasza się angielski oficer, którego Macdonaldowie wzięli do niewoli w zasadzce przy Wielkim Glenie, a którego książę wypuścił na parol. Przynosi wiadomości, że rebelianci są już prawdopodobnie w posiadaniu przełęczy Corrieayrack i jeżeli tam będą czekali, znajdą się w pozycji nie do zdobycia. Atakowanie przełęczy musi się skończyć klęską atakujących i wielkimi stratami.

Cope decyduje zostawić własnemu losowi Fort Augustus i maszerować do Inverness. Co chciał tym osiągnąć — trudno pojąć.

— Pogórze i Edynburg pozostaną zupełnie bezbronne, panie generale — zwraca uwagę jeden z oficerów sztabu.

— Rebelianci nigdy nie poważą się wejść na pogórze, zostawiając na swoich tyłach niepokonaną armię nieprzyjacielską — odpowiada Cope.

Nie wie, co począć. Miał rozkaz maszerować na północ. Więc nadal maszeruje na północ. Jest pewien, że książę pójdzie za nim, że wyda mu bitwę na równinach koło Inverness — a na równinach zwycięży księcia. Klany wówczas zobaczą, że nie ma żadnej nadziei. Ci, którzy się jeszcze wahali, teraz zostaną w domach lub przyłączą się do wojsk rządowych. A ci, co już się opowiedzieli po stronie księcia — zdezerterują. Wszyscy, jak przypuszcza Cope, będą się stosowali do reguł gry według jego osobistego pojęcia.

Ale buntownicy nie chcą się stosować do „takich” reguł gry. Książę otrzymuje wiadomość o zmianie planów Cope'a od zaprzyjaźnionych górali. Rada wojenna. Musi teraz wysłuchać od swoich wodzów klanowych wszystkich argumentów tak niedawno wytaczanych przed Cope'a. I jeszcze nowych też.

Stary książę Atholl:

— Ja bym radził, mości książę, iść w ślad za Copem i wydać mu bitwę. Zwycięzimy go na pewno. Jego wojska są słabe, niewyćwiczone, na pewno wylężnione. Na obcej ziemi, gdzie żołnierz będzie oczekiwał, że każdy wznosi rękę przeciw niemu...

Keppoch:

— Niechaj górale sami o siebie się troszczą, moim zdaniem, mości książę! A my weźmy się za większą rzecz — Edynburg! Tam wasza książęca mość z łatwością uzyska pieniądze: przytrzymamy tych kupców z Dolnej Szkocji za portki i wytrząśniemy z nich złoto. A co by nam przyszło z pokonania Jasia Cope pod Inverness?

Lochiel:

— Z pokonania Cope'a w górach osiągnęlibyśmy wielką korzyść. Mackayowie, Munroeowie, Sutherlandowie, Macintoshowie — rozglądam się dookoła, gdzie oni są? A oni żyją na północ i na wschód i na zachód od Inverness. I czekają w tych niedostępnych górach, bacznie śledząc wydarzenia. Niechaj więc mają wydarzenie! Zwycięstwo wciągnie ich w nasze szeregi, przybędą zaraz, podwoją, potroją nasze siły!

O'Sullivan, teraz pułkownik, mówi z punktu widzenia kwatermistrza:

— Jego wysokość książę potrzebuje pieniędzy i zapasów. Tych nie znajdziemy w górach. Lojalność klanów jest mocno niepewna. I wiemy, że góral najpierw schowa worek ziarna, a potem przyjdzie ofiarować ci swoją krew.

— Ten Irlandczyk kłamie! — woła z oburzeniem Jennie Cameron, zazdrosna o reputację szkockich klanów. — Nasza gościnność jest przysłowiowa...

Jennie ma rację, ale ma ją również O'Sullivan. Ten sam góral szkocki, który wystawi dla swego gościa obfitą ucztę, by ten zabrał ze sobą co tylko się da, ale w brzuchu, nie ofiaruje mu nic do zabrania w plecaku.

Stary Glenbucket, skrzypiącym, starym głosem oświadcza:

— Na drodze, którą Sir John Morę maszeruje do Inverness, mości ksiązę, znajduje się przełęcz zwana Slochd Mor. Znam ją dobrze, każdą szczelinę, skałę, załom. Jeśli tam się udamy spiesznym marszem — to tylko trzydzieści mil stąd — a wasza ksiązęca mość pozwoli doradzić sobie co do rozstawienia naszych ludzi, możemy im urządzić taką zasadzkę, że ani jeden szkarłatny mundur nie wymknie się z życiem lub wolnością...

Clanranald mówi zwięźle:

— Maszerować na południe, mości ksiązę, zostawiając regularne wojsko, choćby i kiepskie, na naszych tyłach, jest strategicznym samobójstwem...

Podtrzymują bo: Boisdale, Kinlochmoidart i Sir John Macdonald. Natomiast Macpherson z Cluny i angielski jako-bita pułkownik Sheridan woleliby zwrócić się na południe i na Edynburg. Doradcy nie wojskowi — ojciec Kelly, Sir Thomas Sheridan, Eneas Macdonald — zachowali przezorne milczenie. Książę jest w rozterce, czeka na jakiś pizeważający jego decyzję głos. Teraz potrzebna mu zimna krew, zdrowy rozsądek.

Odzywa się Eneas — głos bankiera, nie dbającego o prawidła militarnej gry:

— Edynburg jest nie broniony, wasza ksiązęca mość. Możemy tam szybko dojść, wziąć miasto. Wasza ksiązęca mość będzie rezydować w Holyrood, siedzibie królów Szkocji. To wywrze wielkie wrażenie i w Szkocji, i w Anglii...

Holyrood, odwieczna rezydencja szkockich królów. Warto będzie wysłać specjalnego gońca do Rzymu, niech zanieśnie taką wiadomość królewskiemu ojcu. I oto głos, przeważający szalę decyzji.

Pościg za Copem odłożono. Bitwę odłożono. Nerwowa prze-zorność każe iść na północ, ale śmiałe lekceważenie prawideł zwraca się na południe.

Wodzowie, choćby i potrząsając głowami, muszą przyjąć decyzję księcia. Pochód idzie w kierunku południowo-wschodnim. Każdy wódz maszeruje na czele własnego klanu. Jeżeli jedzie konno, nosi obcisłe spodnie tartanowe. Jeżeli idzie pieszo, kilt i sporran. Długie włosy wiąże z tyłu wstążką, a orle pióro, zatknięte przy berecie, oznacza jego rangę. Kurtka tartano-wa, kamizelka z tartanu, pończochy i pled z tartanu, przytrzymywany na lewym ramieniu dużą *mocną* zapinką ze srebra i górskiego kryształu. Barwy: zieleń i żółć, błękit i szkarłat. Para pistoletów zatkniętych za pas, u jednego biodra sztylet, o pochwie cyzelowanej w srebrze, obok nóż i widelec.

Tuż za wodzem idzie jego najbliższy druh, brat mleczny, wykarmiony u tej samej piersi, bo żona wodza nie karmi swego dziecka. Obok kroczy bard, w którego pamięci są utrwalone dzieje klanu, wojenne czyny wodza. Za bardem kobziarz. Potrafi grać do tańca i do pieśni, potrafi zagrzewać ducha do marszu, a gdy jego wódz poprowadzi swoich ludzi do walki, dźwięki pibrochu wywołują bojowy nastrój całego klanu. Czwarty maszeruje Bładier, czyli główny mówca, człowiek świadom tradycji, precedensów, obrotny w języku, wypraktykowany w argumentach i komplementach. I w końcu — czterech pachółków przydzielonych do osobistej służby wodza: jeden niesie jego miecz i okrągłą tarczę z byczej skóry, nabijaną srebrnymi ćwiekami, drugi ma przynieść samego wodza przez brody, trzeci prowadzi jego wierzchowca na niebezpiecznych przejściach, czwarty niesie jego bagaże.

Członkowie klanu rozmaicie się ubierają i różną miewają broń: jedni strzelby i pistolety, inni stare obosieczne miecze, a niektórzy nic więcej prócz kos, osadzonych sztorcem i przyciętych. Ale każdy ma sztylet lub dwa za pasem. I wszyscy noszą zatknięte w berecie gałązki rośliny, która jest symbolem ich klanu: ma to mistyczne znaczenie, jak amulet chroniący przed

czarami i klęską: wrzos, oset, tarnina, dąb, woskownica, nawet wodorosty. I każdy ma w pogotowiu hasło, zawołanie rodowe, dzikie i okrutne wezwanie do boju, wyrzaskiwane w chwili ataku.

Tych ludzi należy się obawiać w każdej walce. Dzicy. Okrutni. Gwałtowni. Nic dziwnego, że na wieść o ich nadejściu bębny i trąby dźwięczą na alarm w Sterlingu, w Edynburgu. Nic dziwnego, że szczupłe garnizony angielskie ulegają panice tak samo, jak zwykli mieszkańcy. Gdy pewien angielski dragon wpadł przypadkiem do płytkiej studni i narobił wielkiego hałasu, cały szwadron z miejsca zawrócił i uciekł!

Camero nowie nadciągają! Macdonaldowie, Fraserowie, Gordonowie, Macphersonowie... Królewicz Stuart nadciąga!

A Jasio Gope z większością angielskiego wojska, jakie w ogóle jest w Szkocji, usadowił się o dwieście kilometrów od stolicy, koło Inverness.



## *Rozdział VII*

### ZMIANA WARTY W EDYNBURGU

To nie przygodny nocleg na wrzosowiskach pod gołym niebem. Książę ma być gościem Lorda Stormonta. Wyprawa dotarła i zajęła bez oporu miasto Perth. Droga do sukcesu!

Książę prowadził klany przez hrabstwo Perth, największe, środkowe hrabstwo Szkocji, o granicach zataczających prawie regularny krąg, a dotykających na zachód Argyllshire, na wschód Angusshire, na północ Invernessshire, na południe Sterling. Przeprawili się przez przełęcze w górach Grampian i Skidlaw. Okrążyli brzegi jezior Ericht, Rannoch i Tay. Szli po perciach, halach i dolinach, nad którymi górowały starożytne zamki o nazwach znanych z historii. Przewędrowali trzęsawiska, siedziby wypraw, wielkie ciemne puszcze, gdzie się kryją jelenie. Brodzili przez strumienie, rojne od łososi i pstrągów. A nikt nie sypiał krócej, nikt nie zrywał się wcześniej, by obmyć twarz w kryształowym źródle, nikt nie wyprzedził w marszu, nie widział zmęczonym księcia Karola Edwarda. Cieszył go każdy krok tego trudnego pochodu. Pod względem siły i wytrwałości okazał się godnym swoich stronników z gór. I powstawała wokół jego osoby legenda wśród tego ludu, który kochał się w sile i sprawności.

A teraz, w południowo-wschodnim krańcu hrabstwa, miasto Perth, leżące u ujścia rzeki Tay do Firth. Zwane „Pięknym Miastem”: od 1310 r. na prawach królewskich, od 1452 r. sto-

lica Szkocji, miejsce koronacji szkockich królów. Wmieszane w każde ważniejsze wydarzenie burzliwej historii kraju, zdobyte i bez litości potraktowane przez Olivera Cromwella w 1651 r., a w czasie powstania 1715 r. zajęte przez jakobitów. Znaczenie jego zmniejszało się w miarę rozwoju Edynburga i Glasgow. Ale w jego małym porcie nadal panuje ożywiony ruch, rojne targi odbywają się jak dawniej, powstaje przemysł farbiarski i destylarnie.

Tu krótki odpoczynek pochodu i dalej, do obecnej stolicy kraju.

W Pałacu Stormont witają księcia dwie stare siostry jego lordowskiej mości. Starsza mówi:

— Mój brat głęboko żałuje, że go tu nie ma. Wezwano go — hm, hm — przed kilku dniami do zachodnich okolic hrabstwa w sprawach związanych z jego majątkami.

Księżę marszczy brwi. Nieobecność jego lordowskiej mości jest wyraźną zniewagą, nawet chociaż Karol Edward nie wie, że Stormont wyjechał z domu zaledwie przed paru godzinami, nie chcąc być zmuszonym do jawnego zdeklarowania się; wolałby zaczekać, aż będzie pewniejsze, kto zatriumfuje: Stuartowie czy Hanowerczycy. Banda łotrów...

Opamiętawszy się szybko, księżę roztacza swój uwodzicielski czar przed starymi damami. Popatrują one trochę z ukosa na dziewczynę, która zwie się przybocznym gwardzistą i życzy sobie łóżka przed drzwiami sypialni ich królewskiego gościa. Klementyna mieszkała w domu swego stryja właśnie w Perth. Jednakże ani na jedną godzinę nie opuszcza swej służby. Idzie za Karolem Edwardem jak cień, nieodstępna, bystrym wzrokiem zawsze wypatrując czyhającego w ukryciu nieprzyjaciela.

Damy w Pałacu Stormont szybko ulegają czarowi swego urodziwego gościa o dwornych manierach. Goszczą go, częstują, raczą winem, komplementami, które odwzajemnia, piją za jego powodzenie, za zdrowie króla za morzami.

Diuk Perth, ten, który słał wiadomości do księcia do Pary-

za, że powstanie uda się nawet bez pomocy Francuzów, nadciąga z dwustu ludźmi, by się przyłączyć do klanów. Jest odważny i lojalny, ale zbyt mało posiada talentów wojskowych, by go mianować generałem, co książę właśnie czyni. Przybywają też lordowie Strathallan, Oliphant z Gask i kilku innych panów, każdy ze zbrojnym pocztem. Zjawia się wreszcie Jöhn Murray z Broughton. Przyprawdza ze sobą kawalera Jamesa Johnstona, syna bogatego kupca edynburskiego, który przywozi hojną kontrybucję pieniężną, dzięki czemu zostaje mianowany adiutantem.

Jest jeszcze jeden, którego przybycie jest w sensie wartości militarnych ważniejsze od wszystkich pozostałych, razem wziętych: Lord George Murray, krewniak Johna Murraya z Broughton. Bardzo zdolny żołnierz, weteran powstania z 1715 r. Wysoki, barczysty mężczyzna o wydatnych rysach twarzy. Wytrwały, czujny, energiczny, pilny, o przysłowiowej odwadze. Ma zwyczaj mawiać do swego klanu:

— Nie chcę, byście szli przede mną, moi chłopcy, ale zawsze tuż za mną!

Lord George dostarcza powstańczej armii to, czego jej bardzo brak: zdolności i doświadczenia wytrawnego żołnierza. Niestety, cechuje go wyniosła wzdargliwość w stosunku do ludzi mniej zdolnych, mniej doświadczonych. Mianowany generałem, odmawia przyjęcia rangi, dowiedziawszy się, że ten sam stopień przyznano diukowi Perth. Lochiel „Łagodny” zdoła go w końcu przekonać, by cofnął rezygnację i przyjął rangę, ale incydent podważa zaufanie, jakie książę w nim pokładał.

— To zbiegowisko klanów — powiada Lord George z przekąsem — dobrze by się nadawało, gdybyśmy chcieli urządzić polowanie na jelenia. Ale do walki z regularnym wojskiem angielskim potrzeba nam bardziej militarnej organizacji, większej dyscypliny, ładu i ordynku. Proszę waszą książęcą mość, by zechciał mnie zatrudnić podczas tego kilkudniowego postoju w Perth, sprawami musztry. Niewiele tego będzie, bo czas nagli. Ale zawsze coś.

— Chętnie przyjmuję propozycję i waszą pomoc — odpowiada książę. — Ale proszę dyscypliną i formalnościami nie zabić w tych ludziach ich dobrej woli i zapału.

— Te zalety są bardzo cenne, mości książę. Ale powinny być użyte dla wspólnego dobra, a nie w pojedynczych wyczynach, jak to zwykle z klanami bywa. To jest poważne przedsięwzięcie, nie zajazd na bydło!

— Zostawiam to w waszych rękach — mówi książę, które mu wyniosłość i wzdargliwość Lorda George'a nie bardzo przypadają do gustu. — Ja mam na razie wiele innych spraw, którym muszę poświęcić swój czas i uwagę.

Inne sprawy. Kawaler Johnstone przywiózł gotówkę, bardzo mało w porównaniu z potrzebami. Prowiant, odzież, amunicja dla armii, liczącej teraz ponad pięć tysięcy ludzi — to nie drobiazg! Karol Edward i jego kwatermistrz głowią się nad sposobami zapełnienia królewskiego mieszka. Zabierają się do tego uświęconym sposobem wszystkich wojsk okupacyjnych. Nakładają na miasto Perth kontrybucję w wysokości pięciuset funtów szterlingów i proporcjonalne sumy na inne miasta w hrabstwie. Dostają też prywatnie fundusze od poddanych, którzy doszli do przekonania, że jeśli nie złożą dobrowolnej kontrybucji, mogą być narażeni na nie zawsze łagodne obyczaje „dzikich” górali.

Malowniczo przedstawiają się klany w pochodzie — temu nikt nie zaprzeczy. Ale mieszkańcy nizin Szkocji znają dzikie okrucieństwo, jakie się nierzadko kryje za malowniczym wyglądem. Szkot z gór i Szkot z nizin należą formalnie do jednego narodu, jednakże prowadzą bardzo odmienny tryb życia. Górale zachowują jeszcze ustrój plemienny, a utrzymują się po większej części z tego, co im dają lasy, hale i strumienie. Od pokoleń terroryzowali niziny częstymi wypadami na gospodarstwa i dwory, by łupić, rabować, zabijać w razie oporu i zaraz uciekać, unosząc bogatą zdobycz.

Organizacja społeczna nizinnej Szkocji, wyjąwszy parę większych miast, ma charakter feudalny i patriarcalny.

„Laird” na nizinach, odziany w samodział, w niebieskiej czapce na głowie, rządzi rodziną, służbą, parobkami i dzierżawcami z ojcowskim despotyzmem, ale bez surowości jakiegoś Clanranalda. Prowadzi dom otwarty, chętnie przyjmuje podróżnych, wspomaga ubogich. Do swoich ludzi zwraca się, nazywając ich imieniem folwarków; oni do niego mówią imieniem jego majątku. Gdy podróżuje, na przedzie biegną dwaj słudzy, odziani na biało, w czarnych czapkach, z długimi halabardami. Następnie pół tuzina konnych, potem powóz „lairda” i znowu konni. Dzierżawcom i służbie wydaje się, że to królewska kawalkada z Londynu. Każdy na drodze czy na polu przystaje, by popatrzeć. Pożądane urozmaicenie codziennej monotonii.

Niektórzy „lairdowie” są zaprzyjaźnieni z naczelnikami klanowymi, wyprawiają się w góry na łowy; niektórzy noszą też kilty. Przepaść, dzieląca mieszkańców nizin od górali nie jest nieprzebyta; ale klany żywią rodzaj pogardy w stosunku do zasiedziałego, spokojnego, zapobiegliwego trybu życia na nizinach; u mieszkańców nizin nad każdym uczuciem dominuje strach.

W 1707 r. politycy Anglii i Szkocji obmyślili i uchwalili Akt Unii, według której dwa kraje stały się jednym państwem, całością ekonomiczną, rządzoną przez parlament, chociaż w niejednakowej liczbie posłów; Anglii przysługuje większość. Postanowienia Unii poświęciły polityczną niepodległość Szkocji na rzecz rozwoju ekonomicznego. Górale z małymi wyjątkami, sprzeciwiali się Unii. Obawiali się, i nie bez racji, angielskiej penetracji w ich góry i gleny, podważenia ich tradycyjnego trybu życia. Mieszkańcy nizin mieli inne poglądy, uwarunkowane innymi okolicznościami, odmiennym stadium rozwoju. Dostrzegli, że granica między obu krajami nie będzie więcej przeszkodą, lecz raczej ogniwem w handlu. Przewidywali możliwość wzbogacenia się, szybki rozwój gospodarczy.

W przeciwieństwie do górali, prawie wyłącznie katolików, większość mieszkańców szkockich nizin należy do sekty prezb-

terianów. W XVII wieku z rąk angielskich królów z dynastii Stuartów — którzy oficjalnie należeli do kościoła protestanckiego, ale potajemnie, a nawet nie zawsze potajemnie, skłaniali się ku papizmowi — presbiterianie wiele wycierpieli. Trudno się spodziewać, aby ich potomkowie z entuzjazmem witali katolickiego pretendenta, którego ukoronowanie z całą pewnością doprowadzi znowu do prześladowań innowierców.

Toteż teraz szlachta i kupiectwo na nizinach szkockich są, jeśli nie wrogo nastawieni, to najwyżej obojętni wobec księcia i jego wyprawy. Wszyscy oni wygodnie się urządzili, mają posiadłości ziemskie, folwarki, urzędy, sklepy, warsztaty. Jeśli Karol Edward zwycięży, niewiele im z tego przyjdzie. Jeśli poniesie klęskę, cały kraj zaleją szkarłatne mundury, będą rekwirować bydło, opróżniać ich stodoły i spichrze. Mają wiele do stracenia. A brak im wygodnych kryjówek w niedostępnych górskich zakamarkach. Nie zdradzają ochoty zaryzykowania dobrobytu i pokoju dla wątpliwej zmiany.

Karol Edward nie może liczyć na poparcie nizin. Ale jego optymizm wcale się nie zmniejsza. Gdy jego podjazdy w hrabstwie Perthshire zajmują się zdobywaniem gotówki starą metodą Stuartów, która zaprowadziła Karola Pierwszego na szafot, to znaczy wymuszonymi kontrybucjami, w Perth odbywa się wielki jarmark. Książę kazał wydać glejty angielskim kupcom i handlarzom i chępliwie ich zapewnia:

— Powiedzcie swoim rodakom, że za dwa miesiące będę ich oczekiwał w Pałacu St. James w Londynie.

Tymczasem kilku księży katolickich zajęło się werbowaniem rekruta do wojsk powstańczych. Ojciec Duthie, przełożony w Seminarium Scalan, śle entuzjastyczne wezwanie do wszystkich katolików w górach, nakazując im przyłączyć się do księcia. Inni duchowni przypasują szerokie miecze szkockie, zatykają sztylety za pas i idą wraz z klanami, jako kapelani z rangą kapitanów. Dwaj księża ze Strathaven w nizinnym hrabstwie Lanark, ojciec Grant i ojciec John Tyrie, rzucają losy: który z nich będzie miał zaszczyt przelewać krew, a który za-

zna rozczarowania i będzie musiał pozostać na plebanii. Wygrywa ojciec Tyrie, o którym będzie głośno wszędzie, gdzie tylko biją się wojska powstańcze. Kazanie na Górze zostało zapomniane, gdy można angielskich heretyków karać mieczem i ogniem.

Karol Edward z niechęcią, chociaż i z satysfakcją przyglądał się wysiłkom Lorda George'a Murraya w zaprowadzaniu dyscypliny i stworzenia czegoś przypominającego regularną armię z wojowniczych klanów. Militarne talenty Murraya budzą zawiść innych. Księżę Perth, pułkownik O'Sullivan i Kep-poch oblegają wciąż księcia skargami:

- Lord George robi wszystko na własną rękę...
- Niczyjej rady nie chce słuchać...
- Doprawdy, tak sobie poczyyna, jakby to on, a nie księżę był wodzem naczelnym.

Zaufanie Karola Edwarda do tego najzdolniejszego ze wszystkich jego dowódców zmniejsza się z każdym dniem. Do zalet księcia nie należy trafna ocena ludzi, ani też umiejętność odrzucania insynuacji zawistnych doradców.

Targ w Perth skończony. Podjazdy przywiozły ściągnięte w hrabstwie kontrybucje i napełniły skarbczyk pułkownika O'Sullivana. Dosyć tego jest, by umożliwić księciu poprowadzenie swoich stronników dalej na południe — do Edynburga.

Tego samego dnia, kiedy Karol Edward dotarł do Perth, Sir John Cope, pojawiwszy, że zostawiono go bezczynnie w górach, a Edynburg znalazł się w niebezpieczeństwie, wyrusza z Inverness. Maszeruje do Nairn, nad zatoką Moray, trzydzieści kilometrów na północny wschód, po czym skręca na południowy wschód przez hrabstwa Moray i Banff. I gdy Młody Pretendent opuszcza Perth, Cope dociera do Aberdeen z wojskiem zdrożonym, ale szczęśliwie zaokrętowanym na statki transportowe. Cope pragnie dostać się do Leith, portu Edynburga, za-

nim Karol Edward obejmie w posiadanie stolicę. To wyścig między wiatrami w ręku Boga, a silnymi nogami szkockich klanów.

Teraz, w czasie tego pochodu można docenić korzyści, wynikłe z wysiłków Lorda George'a Murraya wpojenia dyscypliny i ładu w niesubordynowane szeregi klanów. Górale przejawiają niezwykłą wstrzemięźliwość. Maszerują w szeregach. Słuchają rozkazów. Oficerowie i sierżanci pilnują, aby nikt nie oddalał się z szeregów w celach rabunku.

Firth of Forth wcina się głęboką zatoką w szkockie niziny. Karol Edward musi więc maszerować na południowy zachód do Dunblane, a później prosto na południe do Stirling, zanim znajdzie się znowu na drodze na wschód, drodze do stolicy. Pochód dociera do brodu na rzece Forth. Na przeciwległym brzegu stoją dragoni pułkownika Gardinera. Po raz pierwszy książę widzi nieprzyjaciela. Tylko z dala. Dragoni zawracają i odjeżdżają, by zawiadomić o nadciąganiu buntowników. Książę pierwszy wskazuje do wody.

W Sterling znajduje się potężny zamek. Lord George Murray doradza:

— Zostawmy go, mości książę! Garnizon tam zbyt nieliczny, żeby odważyli się wyjść za mury. A niczego nie wskóramy, narażając ludzi na ogień armatni.

Działa forteczne oddały salwę, gdy klany przechodziły, na bezpieczną odległość. Książę odpowiada, wymachując beretem. Do jadącego konno starego Atholla, obok którego właśnie idzie, powiada:

— Psy szczekają, ale nie ośmielią się kąsać!

Książę jest w wybornym humorze, pełen wigoru. Może za wcześnie na taką radosną pewność siebie, ale gdy terier atakuje mastyfa, musi się zdobyć na ufność we własne siły.

Na razie więcej jest powodów do radości, aniżeli nawet księciu wiadomo. Dragoni Gardinera nie zostali w Stirling:



uciekli do Edynburga. Ani nawet tam się nie zatrzymali. Wydaje im się bezpieczniej po tamtej stronie miasta. A przyniesiona przez nich wieść o naddziękaniu „dzikich hord mężów z gór” budzi popłoch w Radzie Szkockiej, przeraża Duncana Forbesa. Oni również wybierają raczej rozwagę, niż odwagę. Pozostawiają Edynburg pod opieką burmistrza; a gdy ten dygnitarz wzywa ochotników do obrony miasta — zaledwie siedmiuset się zgłasza. Mieszkańcy Edynburga kalkulują, że niewiele zyskają w walce, w której nie mają szansy zwycięstwa, a ci, co przeżyją, będą traktowani jak zdrajcy dynastii Stuartów. Lepiej spokojnie siedzieć w domu i czekać, co będzie dalej!

O jakieś cztery kilometry na południe od Stirling klany dotarły do miejsca, które było sceną szkockiej chwały — pole bitwy pod Bannockburn. Tu w 1314 r. Robert Bruce, król Szkocji, wywalczył niepodległość dla swego kraju. Jego wojsko, na które składali się wyłącznie piesi wojownicy, zbrojni w oszczepy, zwyciężyło w krwawej bitwie o wiele potężniejszą armię, włącznie z tysiącem jazdy, pod wodzą króla angielskiego Edwarda Drugiego. Wspomnienie tego chlubnego zwycięstwa może zaiste rozpalic serca ludzi, skłonnych do romantyzmu.

Nieco później księżę spotyka na gościńcu Lorda Elcho, którego nie widział od chwili rozstania w Gravelines. I znowu powód do satysfakcji, powód realny, solidny, brzęczący.

— Przyłączam się do waszej wysokości nieco spóźniony — powiada Elcho. — Ale nie zmarnowałem tego czasu. Nie przychodzę z próżnymi rękoma.

Zwraca się do kwatermistrza O'Sullivan, towarzyszącego księciu i wskazuje konia, obładowanego ciężkimi workami.

— Proszę przeliczyć, pułkowniku! Zebrałem dla naszej sprawy tysiąc pięćset gwinei!

W Edynburgu — panika! Żyłaste nogi górali okazały się szybsze od wiatrów w rękę Boga. Na oknach sklepowych po-

zakładano żaluzje. Kobiety siedzą zamknięte w pokojach. Tłum mężczyzn gromadzi się wokół Domu Złotników, gdzie rajcy miejscy mają postanowić, czy bronić się przed rebeliantami, czy też dojść z nimi do ugody. Ledwie zegary wybiły południe, gdy rozlega się tętent kopyt końskich na ulicznym bruku. Nadjeżdża szlachcic z gór, strojny w barwną kratę swego klanu. Tłum rozstępuje się przed nim w milczeniu. Szlachcic wstępuje po schodach:

— W imieniu Regenta Szkocji i Anglii żądam, by mnie wpuszczono!

Wręcza burmistrzowi list. Drżącymi rękoma dygnitarz przełamuje pieczęcie.

„Jeszcze teraz gotowi jesteśmy wkroczyć przyjaźnie do ukochanej stolicy naszego starożytnego królestwa Szkocji... żądamy przyjęcia nas tak, jak to nakazuje wasz obowiązek... przyrzekamy przestrzegać wszelkich swobód i przywilejów miasta, uszanować własność każdego z naszych poddanych. Ale jeżeli spotkamy się z jakimkolwiek oporem, nie możemy odpowiadać za konsekwencje...”

Krótko mówiąc, zwykle dwuznaczne deklaracje najeźdźcy. Kładź się potulnie i pozwól, bym cię podeptał, a wszystko będzie dobrze, w każdym razie dla mnie. Spróbuj się opierać, a mój palec naciśnie cyngiel, nie z mojej winy.

Poseł odchodzi do sąsiedniej sali, by czekać odpowiedzi. Któryś biuralista, by zasłużyć sobie na względy, przynosi mu flaszkę wina.

Rajcy dyskutują gorąco.

— Bronić się! Dowieść, żeśmy nie tchórze...

— Bronić się? Jak, czym? Nasze wały i mury są zniszczone. Posiadamy ledwie parę armat, i to starych, nic nie wartych, które prędzej zabijają własnych kanonierów, niż wroga...

— Brak nam żołnierzy...

— Brak zapasów żywności...

— Sir John Gope z pewnością jest już niedaleko. Naciągnie z odsieczą, może nawet za parę godzin...

Gope jest dalej, niżby sobie życzyli.

Poseł wraca do księcia z prośbą o odłożenie chwili wkroczenia, żeby można było przygotować się należycie do przyjęcia. Siedmiuset ochotników czuwa przez całą noc na wyznaczonych posterunkach. Rankiem poseł nadjeżdża znowu. Księżę nie zgadza się na odkładanie wjazdu do miasta. Jakież to-„przyjęcie” chcą przygotować?

— „Żądamy natychmiastowego poddania miasta. Jeżeli nie...”

Znowu debaty. Znowu brak zgody. Do tłumów, zebranych wokół Domu Złotników podjeżdża jeździec na siwym koniu.

— Tysiąc sześćset górali maszeruje! — krzyczy i odjeżdża galopem.

Dwuznaczność jest narzędziem propagandy.

Mieszczanie zaczynają wołać:

— Ugoda! Żądamy ugody!

— Pozarzynamy nas w łózkach...

— Nasze żony... nasze córki!

Wielu z nich, gdy znajdują się we własnych domach, nie zdradza takiej znowu wielkiej paniki. Dziewczęta są zdania, że jest ich i tak za wiele w Edynburgu. Mężatki często narzekają na indolencję swoich małżonków. A ci górale nie są tak wstrzemięźliwi... i te krótkie spódniczki!

Cztery kompanie ochotników składają broń i roztapiają się w ciemnych zaułkach. Dwa banki przewożą swoje zapasy pieniędzy do zamku. A wśród rajców nadal niezgoda. Burmistrz nie może powziąć decyzji. Poseł odjeżdża, zniecierpliwiony czekaniem. Mieszczanie, którzy wołali: „Żądamy ugody!” — poszli do domów. Bramy miasta pozostają zamknięte. Druga noc zwątpienia, a w niektórych sercach kobiecych — nadziei.

Lord George wysłał dziewięciuset ludzi pod wodzą Lochiela, by wysadzić w powietrze jedną z bram i zająć miasto siłą.

— Unikać rozlewu krwi, o ile się da. Ci mieszczanie winni stać się naszymi przyjaciółmi, a nie wrogami — przykazuje księżę.

Gdyby doprawdy tak mu zależało na unikaniu rozlewu krwi, powinien by zostać w Rzymie. Wzniciając rebelie, nie można uniknąć przelewu krwi, prędzej czy później.

Lochiel próbuje różnych środków, ale bezskutecznie. Myśli już o odstąpieniu, gdy około północy przekupiony strażnik otwiera bramę miejską, by wypuścić jakiegoś spłoszonego kupca, uciekającego z miasta.

Niejaki kapitan Ewan Macgregor podchwytuje sposobność. Nim zdołano zamknąć bramę, wpada do wewnątrz, a tuż za nim paruset górali. Z obnażonymi szablami, z tarczami na lewym ramieniu, klany maszerują spieszenie po opustoszałych, ciemnych ulicach. Macgregor wysyła jeden oddział, by zdobył wartownię, gdzie kilkunastu ochotników kryje się w przerażeniu. Resztę swoich ludzi, nakazując im milczenie, prowadzi do parlamentu, a poszczególne oddziały wysyła, by opanować dalsze bramy miejskie. Ochotnicy przeważnie już poznikali. Najodważniejsi przyłączyli się do szczupłego angielskiego garnizonu, stacjonującego na zamku.

Kapitan Macgregor dokonał swego udanego zamachu nocą, bez zamieszania, bez hałasu. Wysyła wiadomość do Lochie-la, otrzymuje posiłki, które nadchodzą równie sprawnie, w zupełnym porządku i ciszy, tak dalece, że później ich oficerowie i sierżanci mówili: „Zachowywali się, jak niewinne dziecięta, ponad wszelkie spodziewanie ich najlepszych przyjaciół!”

Tymczasem Edynburg śpi, aczkolwiek snem trochę niespokojnym. Wczesnym rankiem pewien mieszczanin, wyszedłszy na ulicę, ze zdumieniem spostrzega górala obok działa.

— Nie należycie do wczorajszej warty! — mówi niespokojnie, przypatrując się spódnicze i przerzuconemu przez ramię pledowi.

— A nie — brzmi lakoniczna odpowiedź. — Zmieniono wartę od wczoraj.

## *Rozdział VIII*

### **ZWYCIĘZCA SPOD PRESTONPANS**

W każdym oknie twarze: wystraszone, ciekawe, pełne nadziei, niespokojne. Na każdym murze, każdym podwyższeniu gapie. Każdy pomnik oblepiony zwinnymi młodzikami. Na ulicach tłoczno, głowa przy głowie. Mężczyźni, kobiety, dzieci wszystkich klas, każdego wieku.

Lochiel Łagodny jest w Edynburgu. Kapitan Macgregor jest w Edynburgu. Dziewięciuset górali z klanów zawładnęło miastem o stu tysiącach mieszkańców. Cała stolica Szkocji oczekuje przybycia jednego człowieka — Pięknego Księcia Charlie. Przezorność edynburczyków wobec dynastycznych zmian wcale nie tłumi ich ciekawości, ani nie psuje im apetytu na widowisko, królewskie widowisko, chociażby nawet ta królewskość była dość uboga. Wyobraźnię romantycznych mieszkańców rozpałała odwaga Karola Edwarda. Prócz tego, książę ponoć słynie z urody. I nosi kilt...

Południe. Pięć tysięcy górali o marsowym wyglądzie, równymi szeregami podchodzi do Królewskiego Parku, gdzie w zamku nadal jeszcze przycupnął w trwodze angielski garnizon. Prawe skrzydło górali prowadzi diuk Perth. Lewe Lord Elcho. W środku maszeruje na czele Młody Pretendent. Tuż za nim szczupła chłopięca sylwetka z obnażoną szablą. Dalej nieliczny oddział jazdy, mężczyźni w tartanowych spodniach na drobnych górskich konikach, ale silnych i wytrwałych. Za

nimi główne siły piechoty pod wodzą Lorda George'a Murraya: kobzy grają, kilty powiewają rytmicznie, tarcze na lewym ramieniu, miecze, pistolety, strzelby, kordelasy, kosy sztorcem osadzone.

Książę nie zawiódł oczekiwań. Wszystkie oczy wpatrzone w niego. Gwiazda przewodnia! Gwiazda zwodnicza! Wśród kobiet szepty:

— Urodziwy zaiste...

— Wysoki, piękny...

— Ten spiczasty podbródek i drobne usta są trochę zniewieściale...

— Ale ciało muskularne, silne...

— A to chyba najważniejsze!

Chichoty.

Karol Edward nie szczędził wysiłków, by wyrzeć odpowiednie wrażenie. W Perth zaopatrzył się na tę okazję w strój, który cokolwiek przypominał barwne upierzenie koguta, dumnie przechadzającego się przed oczyma samiczek swego stada, ale jednocześnie taktownie podkreślał jego szkockie pochodzenie. Ponad łukami brwi, pięknie zarysowanymi na wysokim czole, jaśniała bujna peruka pod błękitną aksamitną czapką, opasaną złotą koronką i uwieńczoną białą kokardą jakobitów. Pierś muskularną, a po młodzieńczemu zwinną, opinał krótki kraciasty kaftan z orderem św. Andrzeja. Pas błękitny, przetykany złotem. Spodnie obcisłe z tartanu i wysokie wojskowe buty. Szpada w pochwie ze srebra. Romantyczny młody książę. Za wcześniej jeszcze, by orzec, czy dobrze zagra swoją rolę. Ale na pewno wie, jak się do tej roli przystroić.

Przenikliwe wiwaty, okrzyki na cześć księcia i jego dzielnych druhów. Zatrzymuje się przed St. Anthony's Well, zsiada z konia. Kobiety cisną się dookoła, całują jego rękę, dotykają królewskich szat. Mężczyźni spoglądają w milczeniu. Ich obecność może być przez rebeliantów przyjmowana jako poparcie; ich milczenie będzie wyjaśnione przez legalne władze jako milczący sprzeciw. Jutro, w przyszłym tygodniu, w przyszłym mie-

siącu Anglicy mogą powrócić. Lepiej się nie narażać żadnej ze stron.

Kobiety wciskają się w szeregi maszerujących klanów. Mniej ufni we własne siły, spośród ich małżonków i kochanków, czują dziwne swędzenie nad czołem, w miejscach, gdzie mogłyby wyrastać rogi.

Książę znowu dosiada wierzchowca, prowadzi swoje oddziały na wschód, ku siedzibie szkockich królów: to przynęta, w którą go zwabił Eneas Macdonald, zaćmiewając rozsądek wojskowej strategii.

Ludność towarzyszy wojsku do Holyrood. Gdy książę wstępuje na schody przed pałacem, z tłumu wychodzi poważny szlachcic i wznosi do góry obnażony miecz. Drobną ręką Klementyny chwyta za rękojeść szabli. Książę Perth kładzie po ojcowsku dłoń na jej ramieniu i szepce:

— Przywilej jego rodu! To Hepburn z Keith. Zgodnie z tradycją głowa tego rodu wprowadza monarchę do Holyrood.

James Hepburn wstępuje tyłem po schodach, prowadząc księcia krok po kroku.

Na balkonie książę Atholl odczytuje proklamację, tę samą, którą po raz pierwszy ogłoszono w Glen Finnan. Wśród zebranych tłumów jeździ konno kobieta, rozdzielając stuartowskie białe kokardy. Żona Johna Murraya z Broughton. W chwili, gdy Atholl zwija pergamin z proklamacją, rozlega się salut artyleryjski. Ale to nie armaty księcia przemówiły: książę właściwie artylerii nie posiada. To garnizon zamkowy strzela, a tak szczęśliwie, że dosięga północno-zachodniej wieży Pałacu Holyrood, zasypując odłamkami tynku i cegieł dziedziniec. Daremny gest? Czy ostrzeżenie?

W Holyrood książę przyjmuje uroczysty hołd wodzów klanowych, a także tych kilku panów z niższego pogórza, których strach obleciał i nie ośmielili się nie przyłączyć do księcia. Każdy składa przysięgę.

— ... Jak pragnę miłosierdzia boskiego, tak przyrzekam lo-

jalność i wierność waszej wysokości i jego ojcu, najjaśniejszemu panu, ... zawsze w gotowości, by poświęcić moje życie i moje mienie dla obrony świętej osoby pomazańca i korony Szkocji... służyć ci jako wasal, żyć i umrzeć w twojej służbie, walcząc przeciw każdemu nieprzyjacielowi. Tak mi dopomóż Bóg!

Tak mi dopomóż Bóg!

Romantyczna, hazardowa wyprawa Klementyny Sobieskiej z Zamku Ambros osiągnęła swój pierwszy bezpośredni cel: tytuł królowej. Romantyczna, hazardowa wyprawa jej syna także osiągnęła pierwszy cel: proklamowanie z balkonów pałacu Holyrood w Edynburgu ojca królem, jego samego regentem. Czy powiedzie mu się lepiej niż jego matce? Czy wkroczy do Pałacu St. James w Londynie? Czy sięgnie po koronę Anglii?

Księżę zwiedza starożytną siedzibę swoich przodków. Pałac Holyrood został zbudowany przez Jamesa IV króla szkockiego, protoplastę Karola Edwarda, z początkiem XVI wieku. Spalono go i odbudowano w 1544 r. Niezbyt imponująca budowla w stylu francuskim, otaczająca kwadratowy dziedziniec.

Ale pałac oddycha atmosferą romantycznej tragedii — dziedzictwo sześciu lat, w ciągu których zamieszkiwała tutaj królowa Maria Stuart. W tej oto kaplicy jej włoski sekretarz i domniemany kochanek, Dawid Rizzio, został zamordowany w jej obecności: zbrodnia, w której współuczestniczył jej mąż, Lord Darnley. Księżu pokazują brązową tablicę, wprawioną w podłogę w miejscu, gdzie krwawiące ciało Rizzia rzucono pod nogi królowej. W podziemiach Opactwa Holyrood spoczywają doczesne szczątki Davida Rizzia obok grobowców szkockich królów, w niespokojnym sąsiedztwie Lorda Darnleya, którego z kolei zamordowano w okolicznościach, wskazujących na współudział jego żony, królowej. I również w Pałacu Holyrood Maria Stuart w trzy miesiące po tragicznej śmierci Lorda Darnleya, poślubiła swego trzeciego męża, jedyne go człowieka, którego naprawdę kochała, hrabiego Bothwella.



O wszystkich szczegółach opowiada szambelan pałacowy, który obdarza swą lojalnością i wiernością nie Jerzego II z dynastii hanowerskiej, ani też pretendenta z dynastii Stuartów, lecz sam Pałac Holyrood. Na żądanie oprowadzałby po nim z należą kurtuazją i formalnymi ceremoniami nawet samego diabła.

Mniej posępna od kaplicy i podziemi pałacowych jest Galeria Obrazów, szczerze mówiąc, traktowana raczej jako żart, gdzie wiszą portrety królów szkockich tak dawnych, że chyba prehistorycznych.

— Z połowy XVII wieku, wasza książęca mość — objaśnia niewzruszony szambelan — pędzla malarza nazwiskiem De Witt, który podjął się namalować sto dziesięć portretów w ciągu dwu lat, i dotrzymał obietnicy. — Szambelan dodaje sucho: — Wypadło mu mniej niż tydzień na jeden, a przy takim tempie trudno oczekiwać arcydzieł sztuki malarskiej.

Książę nie jest może wybitnym znawcą, ale nawet on spostrzega, że szambelan i tak dość powściągliwie określił te obrazy.

W sali tronowej, o bardzo ozdobnym plafonie, książę staje na dłużej przed obrazem, który jest rzeczywiście arcydziełem sztuki — wspaniałym portretem monarchy na koniu, Karola I. Malarz — Van Dyck. Czy książę przypomina sobie może, że gdy ten jego pradziad, zwyciężony w wojnie domowej, szukał schronienia u Szkotów, ci sprzedali go jego wrogom na pewną śmierć za sumę dwustu tysięcy funtów szterlingów? Tak, ta olbrzymia suma rozeszła się po kieszeniach szkockiej arystokracji i duchowieństwa. „Banda łotrów w narodzie...”

Nie widać wcale po zachowaniu Karola Edwarda, by mu uwagę takie posępne myśli zaprzętały. Tymczasem wszystko, co w Edynburgu należy do wielkiego i możnego świata, śpieszy go witać w nadziei otrzymania zaproszenia do Holyrood. Książę zanurza się w potokach komplementów i pochlebstw, uważając zresztą, że mu się słusznie, jako krwi królewskiej, należą. Rzeczywiście, gdyby tak nie sądził, musiałby chyba śmiać

się w twarz tym samozwańczym adoratorom, romantycznym półgłówkom, amatorkom jego objęć, niedoszłym ale entuzjastycznym kochankom, pochlebcom o niespokojnym wzroku, sykofantom i pieczeniarczom.

Tego pierwszego wieczoru po zajęciu Edynburga, gdy klany roztasowały się obozowiskiem tuż pod murami miasta, w Pałacu Holyrood odbywa się wielki bal.

Olbrzymie kandelabry rzucają jaskrawe blaski na tuzin sal o ścianach wykładanych dębowymi boazeriami. Stoły uginają się pod wielkimi półmiskami z dziczyzną, łososiem, drobiem wszelakiego rodzaju, olbrzymimi płatami wołowej pieczeni, pomysłowymi wytworami wybornych kucharzy, wspaniałymi słodyczami, stosami owoców w cukrze. Kryształowe karafki połyskują wystawionym winem, czerwonym i białym, migoce szkocka whisky i francuskie koniaki. Tłumy wygalowanych lokai stoi w pogotowiu, by obsługiwać gości. Taka hojna gościnność też nie mało kosztowała, a kwatermistrz Sullivan na wszystko musiał być przygotowany. Ale hojności spodziewano się po księciu. Nie śmiał okazać się skąpcem, aby ci, których namawiano by przyczyniali się kontrybucjami do powstania, nie poszli za jego przykładem.

Karety podjeżdżają do stopni pałacu. Piękne panie, Jennie Cameron między innymi, w głęboko wydekoltowanych sukniach, w krynolinach i panierach, eskortowane przez kawalerów młodych i starszych, wystrojonych według mody szkockiej, angielskiej. Kobziarze jeszcze milczą, w oczekiwaniu...

Książę wychodzi ze swoich osobistych apartamentów, cały jaśniejący we wspaniałym stroju francuskiego dworu: biała kamizelka, haftowana złotem, długi, z jasnoblękitnego jedwabiu kaftan, szkarłatne, obcisłe spodnie dworskie, biała peruka. Jego przyboczny gwardzista stoi na posterunku. Książę się uśmiecha. Bawi go nadał fakt, że jego, silnego mężczyznę strzeże słaba dziewczyna! Ale jednak nie gardzi swoim gwardzistą. W marszu z Glen Finnan dowiodła niezwykłej wytrzymałości.

I widział ją w pojedynkach ze słynnymi ze swych sił góralami, którym wytrącała szable z ręki jednym zręcznym pchnięciem własnej broni.

— Klementyno! Nie wybierasz się na bal?

Dziewczyna spogląda z żalem na swoją męską odzież, zniszczoną na dokładkę, tę samą, którą nosiła, gdy po raz pierwszy spotkała księcia w Kinlochmoidart.

— Czy nie mogłaś tu, w Edynburgu, dostać dla siebie sukni?...

— Nie śmiałam bez pozwolenia opuścić mego posterunku, wasza wysokość!

Księżę się broni:

— Nie pytałaś... — Przerywa sobie, uderza się dłonią w czoło. — Co za samolub i niedbalec ze mnie! A teraz za późno.

Wymyka się jej westchnienie szczerego żalu czy kobiecej chytrkości. któż to wie?

Księżę składa jej niski ukłon dworski, jedna noga cofnięta, prawą ręką zataczając łuk, lewa złożona na sercu.

— Madame, proszę o zaszczyt...

Nuci melodię menueta i tańczy z Klementyną wzdłuż galerii i z powrotem. Z galanterią całuje jej rękę. Ona składa głęboki dyg, dziwne czyniący wrażenie z powodu jej męskiego, kraciastego stroju. Gdy podnosi się z głębokiego ukłonu, księżę niespodziewanie schyla się ku niej i wyciska mocny, śmiały pocałunek na jej ustach. Klementyna odstępkuje o krok, chwytając oddech, cała spłoniona, z błyszczącymi oczyma.

— Taki jest zwyczaj przy tańczeniu menueta we Francji — powiada księżę i ująwszy jej rękę, podnosi ją wysoko i pro wadzi swą partnerkę tanecznym krokiem z dworską galanterią wzdłuż galerii, w dół po schodach. Zatrzymuje się o trzy stopnie od dołu przed salą balową. Wszystkie oczy są zwrócone na tę niedobraną parę.

— Mili przyjaciele! — powiada księżę. — Mój gwardzista przyboczny prosi o wybaczenie za swój ubiór, który się mo-

że wydawać niestosowny, ale tak nie jest. Panna Klementyna Walkinshaw jest na służbie.

Składa znowu niski ukłon, znowu całuje jej rękę. Szepty uznania, zachwytu. Tak się rodzą legendy.

Księżę idzie przez salę, by zaprosić do pierwszego tańca Jennie Cameron. Klementyna szeroko rozwartymi oczyma śledzi ich ze schodów, na których stoi. Pawana się kończy. Księżę odprowadza Jennie do boku Lochiela. Klementynie znowu wymyka się westchnienie. Pocałunek w usta nie jest zwyczajem przy tańczeniu pawany we Francji.

Następnego ranka spieniony wierzchowiec galopuje do stopni Pałacu Holyrood. Jeździec rzuca cugle służbie, biegnie po dwa stopnie na raz. W wielkiej sieni pałacowej spotyka Lorda Elcho.

— Milordzie, pilne wieści dla jego księżęcej mości...

Elcho śpieszy do księcia.

— Sir John Cope wylądował w Dunbar! Maszeruje na Edynburg!

— Doprawdy! Więc pośpieszmy mu naprzeciw — odpowiada księżę. — Oczekuję tego spotkania z prawdziwą niecierpliwością!

Wobec tego, że księżę miał w swoim ręku Edynburg, Sir John Cope nie mógł wylądować w przyległym Leith, jak poprzednio zamierzał. Podczas czterdziestokilometrowego marszu z Dunbar mówi swoim ludziom, że żadnej bitwy nie będzie. Zapewne nie wierzy własnym słowom, ale chce w jakiś sposób dodać nieco otuchy swoim niespokojnym, strwożonym, niedoświadczonym żołnierzom.

— Klany nie poważą się czekać na połączone siły angielskiej jazdy i piechoty — dowodzi Cope.

Rzeczywiście, klany nie czekają. Około trzech tysięcy górali maszeruje na wschód, by jak najprędzej spotkać się z nieprzyjacielem.

Tuż przed zapadnięciem zmroku, dwa nieprzyjacielskie wojska stoją naprzeciwko siebie, przedzielone głębokimi bagnami koło Prestonpans, na wybrzeżach zatoki Perth. Bagna stanowią dobrą pozycję defensywną. Ale albo Anglicy, albo Szkoci muszą je przekroczyć.

Cope rozmieszcza dwa i pół tysiąca Anglików w ten sposób, że czoło wojsk opiera się o gościniec, biegnący ze wschodu na zachód skrajem bagien, a zaplecze o brzeg morski. Piechotę Cope umieścił w środku, a na skrzydłach regiment dragonu i trzy armaty. Na pozór bardzo silna pozycja. Tylko, że żadna pozycja nie była silniejsza od odwagi tych, którzy tej pozycji mają bronić. A żołnierze Cope'a boją się spotkania z ludźmi z gór, o reputacji krwiożerczych, a teraz jeszcze w dodatku rozgnionych bezkrawawym zwycięstwem. Bynajmniej otuchy im nie dodaje perspektywa przepędzenia nocy w szyku bitewnym, pod gołym niebem.

Klany stanęły na wzgórzu zwanym Fawside, wybranym przez Lorda George'a, aby mieć awantaże podwyższonego gruntu w obronie, a dodatkowy impet zbiegania ze wzgórza w razie, gdyby atakowali. Liczebnie górale mają pewną, acz nieznaczną przewagę. Ale posiadają jedną jedyną armatę, nadającą się tylko do sygnalizowania wystrzałem rozkazu do natarcia. A jazda składa się raptem z pięćdziesięciu szlachty z pachołkami, na przeważnie dosyć kiepskich wierzchowcach.. Wielu z piechoty za całą broń posiada kosę. Jednakże górale, chociaż jeszcze nie brali udziału w bitwie, są w nastroju zdobywców: zajęli Perth, zajęli stolicę.

W skromnej oberży we wsi Tranent, o kilometr mniej więcej na południe od bagien, Karol Edward siada do obiadu z księciem Perth i księciem Atholl. Jedynym daniem jest zupa na mięsie, jaką zwykle się posilają tutejsi wieśniacy. Trzej biesiadnicy mają tylko dwie drewniane łyżki do dyspozycji i jeden nóż, którym mogą odcinać kawałki mięsa od kości. Oberżystka, znając reputację górali jako złodziei, pochowała swoje sztuce!

Po posiłku książę wyszedł na pole przyszłej bitwy, gdzie zastał już coś w rodzaju toczącej się walki, ale między własnymi wodzami klanowymi. Wszyscy nacierają na Lorda George'a. Clanranald, Keppoch, Kinlochmoidart, Boisdale hałaśliwie dowodzą, że według tradycji, sięgającej czasów Roberta Bruce, przywilej walczenia na prawym skrzydle jest prawem Macdonaldów. Natomiast Lochiel „Łagodny” wraz z Jennie upominają się o ten przywilej dla Cameronów, a Karol z Ardshiel dla klanu Stewartów. I trzeba całego autorytetu i całej siły wymowy, jaką dysponuje Karol Edward, by w końcu namówić Cameronów i Stewartów do zajęcia stanowisk na lewym skrzydle.

Lord George, owinięty w swój pled, zapadł już w lekki sen, gdy budzi go sierżant z nocnej warty:

— Milordzie, człowiek jakiś się zgłosił, który pilnie chce się widzieć z waszą lordowską mością.

— Gdzie on jest?

— Warta go pilnuje, milordzie. Czy mam go przyprowadzić?

— Nie, ja pójdę. To może być nieprzyjaciel. Lepiej go nie wprowadzać do środka naszego obozu.

Przybysz, który się przedstawia jako Jock Anderson z Whitburga, jest człowiekiem małymównym.

— Zwykłem strzelać słonki w tych okolicach, które widać wybraliście sobie na pole przyszłej bitwy. Mogę wam wskazać drogę, którą obchodzi się bagna, i to tak, że Anglicy nie będą was widzieć.

— Czemu chcesz nam dopomóc? — pyta Lord George przezornie.

— Mego ojca Anglicy zabili w 1715 r.

— Nie zdradzisz nas?

— Będę szedł przed tobą, milordzie — odpowiada Anderson.

— Możecie trzymać pistolet, wycelowany we mnie.

Naczelnny wódz zostawia przybysza pod swoją strażą i idzie do księcia, który śpi na legowisku, wymoszczonym grochowinami.

— Poślij po Lochiela i innych wodzów — rozkazuje Karol Edward.

Wszyscy chętnie się zgadzają na propozycję przybysza. Klany ostrzeżono, nakazano zachowanie ciszy. Gęsiego maszerują za Andersonem i Lordem Georgem w ciemnościach, czasem potykając się, czasem zapadając aż po kostki w błoto.

Klementynie przyznano zaszczyt niesienia królewskiego sztandaru Stuartów, na razie jeszcze zwiniętego i okrytego pokrowcem.

O świcie górale przeprawili się już przez bagna, ale przed oczyma nieprzyjaciół skrywa ich wciąż jeszcze gęsta i zimna mgła. Lord George postanawia w pełni wykorzystać zaskoczenie.

Jeszcze przedtem książę oznajmił o swojej intencji poprowadzenia osobiście wojsk do ataku. Trochę to chłopięcy, niedojrzały gest. Na szczęście są między wodzami ludzie o tęższych głowach. Zapowiadają, że jeśli książę będzie się upierał przy takim głupim narażaniu własnej osoby, bez której całe przedsięwzięcie od razu się załamie, to opuszczą go i powrócą do domów. Książę nie ma wyboru: musi poddać się ich woli i objąć dowództwo nad drugą linią ataku. Tak więc Lordowi George'owi przypada wydanie rozkazu:

— Górale! Do ataku! I nie znajcie litości!

W tej samej chwili książę dobywa swej szpady, odpina pochwę, rzuca ją na środek bagien, wołając:

— Odrzuciłem pochwę! Nie mogę więcej schować mojej szpady!

Jakiś sceptyk się znalazł, który mruczy:

— Oby nie nadszedł czas, kiedy będziesz musiał odrzucić również szpadę!

Góralskie berety wylatują w górę... zawołania klanowe krzyżują się w porannej mgle... wreszcie łączą się w jeden ści-

nający krew w żyłach wrzask bojowy... ludzie Cope'a zrywają; się na równe nogi... góralskie berety znowu nakładane na głowy... kobzy piszczą i skrzypią pibroch, bojową melodię klanów... wciąż wrzeszcząc przerażająco, pierwsze szeregi górali rzucają, się do ataku...

Pierwszy dopadł Anglików klan Cameronów. Oddawszy salwę, rzucają strzelby na ziemię. Szable w prawej ręce, kordelasy w lewej, tarcze na lewym ramieniu. Prą naprzód niepowstrzymanie. I artylerzyści Cope'a uciekają przed nimi...

— Dragonia, naprzód! — rozkazuje angielski generał.

Górali pouczone, aby uderzali konie w nozdrza, by zmusić je do cofania się i zawracania, co wywoła zamieszanie. Tak się też dzieje. Zamieszanie, chaos. Dragoni zawracają i uciekają na wschód, tam skąd nadjechali.

Na krótki czas piechota angielska wytrzymuje napór. Oddaje regularne salwy. Ale po ucieczce artylerii i jazdy panika ogarnia również i piechotę.

Nadchodzi kolej na księcia i klany drugiej linii.

— Za mną, panowie! Za łaską boską w tym dniu uczynię was wolnym i szczęśliwym narodem!

Czy aby nie oczekuje zbyt wiele od jednego dnia?

Gdy książę prowadzi klany do bitwy — sztandar królewski powiewa teraz ponad kasztanową głową Klementyny — Anglicy rzucają broń i uciekają, a Sir John Cope galopuje co sił na czele uciekających, pozostawiając swoją reputację odwagi i dzielności bezpowrotnie na polach Prestonpans...

*Gdy do Dunbaru przybył Johnnie Cope.*

*Pytali go: Gdzie zgubił ludzi?*

*A licho ich wie! Licho wie!*

*Zostali wczesnym rankiem...*

*Gdy do Dunbaru przybył Johnnie Cope,*

*Wołali doń: Hej, Johnnie, hańba!*

*Przynosić wieść o klęsce swej*

*Samemu wczesnym rankiem!*



Górale dokonują strasznej masakry. Wielu, bardzo wielu Anglików ginie od ran, zadanych w plecy. Pewien czternastoletni góralczyk zabija sam jeden czternastu wrogów, tyłu, ile lat sobie liczy. Inny góral bierze do niewoli dziesięciu nieprzyjaciół, krzyknąwszy na nich:

— Broń rzucić na dół, ręce podnieść do góry!

Brzęk żelaza, zgiełk, wrzawa bitwy... jęki rannych., krzyki umierających...

Tylko jeden angielski oficer, pułkownik Gardiner, chociaż ranny na samym początku bitwy, usiłował ocalić od niesławy dobre imię swych rodaków. Po ucieczce dragonu sam stawia czoła góralom, rani, zabija, rozprasza nieprzyjaciół. Gromadzi wokół siebie kilkunastu żołnierzy. W końcu ściąga go z konia góral potężnym zamachem kosy. A gdy pada, Keppoch rozbija mu głowę uderzeniem pałasza. Gdy później służba dzielnego oficera przychodzi na pobojowisko po ciało swego pana, znajdują je ograbione z wszelkich kosztowności, nawet bez odzieży i butów.

Prawie tak samo łatwo wydaje się walczyć, jak wtedy, gdy w dzieciennych latach w Rzymie „wrogowie” Karola Edwarda zgadzali się ponosić klęskę na niby i uciekać. W kwadrans jest po wszystkim. Tak rodzi się legenda... Wzięto wszystkie sztandary angielskie, całą artylerię Cope'a, przestarzałą, ale jeszcze »użyteczną. I skarbczyk wojskowy z dwoma i pół tysiącami funtów szterlingów jest bardzo przydatny. Czterystu Anglików leży na polu bitwy. Kilkuset wzięto do niewoli. Zaledwie półto-rasta żołnierzy piechoty Cope'a zdołało się ocalić ucieczką w bezpieczne miejsce.

Jeńcy pod silną strażą maszerują w daleką drogę z powrotem do Glen Finnan, gdzie mają się połączyć ze współtowarzyszami, wziętymi do niewoli w utarczce koło Wielkiego Gle-nu. Tu i ówdzie odzywają się narzekania, ponieważ trzeba jeszcze uszczuplić nieliczne wojska powstańcze, by dostarczyć straży dla jeńców. Nie wszyscy książęta z domu Stuartów cofnęliby się przed alternatywą. Bezwzględności i okrucieństwa im

nie brakowało. Nim dziad Karola Edwarda, James II, wstąpił na tron angielski, jeszcze jako książę Yorku był głównym zarządcą Szkocji. W tym charakterze nie tylko nakazywał torturować więźniów stanu, ale zwykł przypatrywać się ich męczarniom. Na szczęście, jego wnuka cechuje więcej rycerskości.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami — powiada. Co prawda, niekoniecznie odnosi się to do wszystkich jego stronników, ani też, jak się później okaże, do wszystkich jego angielskich przeciwników. — Nie mordujemy bezbronnych!

Lochiel i Lord George Murray popierają go, ze względów przynajmniej praktycznych, jeżeli nie żadnych innych:

— Jeśli będziemy zabijać jeńców, to później nieprzyjacieli mógłby w ten sam sposób potraktować naszych ludzi wziętych do niewoli.

Szkoccy górale ponieśli minimalne straty: stracili tylko trzech oficerów i trzydziestu żołnierzy zabitych, a osiemdziesięciu rannych.

Prawnuk Jana Sobieskiego odniósł dnia 20 września 1745 r. swoje pierwsze walne zwycięstwo — rozgromił nieprzyjaciela bez reszty. Niewielu może było wmieszanych w bitwę żołnierzy, ale triumf jest wielki. Jako naczelny wódz, bez którego upartej wytrwałości w ogóle nie byłoby ani powstania, ani bitwy pod Prestonpans, książę przyczynił się znacznie do tego zwycięstwa. Ale z hojną wielkodusznością Karol Edward wszelkie zasługi przypisuje Lordowi George'owi Murray, innym wodzom i wszystkim klanom. A najprawdziwszym zwycięzcą spod Prestonpans jest ów polujący na słonki myśliwy, Jock Anderson z Whitburga, który znikł, nie czekając na słowa książęcej wdzięczności. Nie było go już w chwili pierwszego ataku, może nie chciał ryzykować śmierci zdrajcy, gdyby przypadkiem Anglicy odnieśli jednak zwycięstwo. Ale stało się inaczej: wciągnięcie do powstania wodzów klanowych nad brzegami Loch nan Uamh; opanowanie wodzów pod Corrieyairack; zajęcie Perth i Edynburga bez przelewu krwi; Cope wzgardliwie zwy-

ciężony w otwartej bitwie; żadnych wojsk angielskich nie ma w Szkocji.

Karol Edward objął w niekwestionowane władanie kraj swoich przodków. Młodzieńcza śmiałość, książęca śmiałość zawstydzają, jak się zdaje, przezorną rozważę i niechęć wieku dojrzałego.

## *Rozdział IX*

### **WESOŁO BYŁO**

Od sześciu już tygodni książę oddaje się rozkoszom dworskiego życia w Holyrood. Jego górale — a w każdym razie ci z nich, którzy nie znaleźli sobie cieplejszych objęć — śpiją w twardych i surowych warunkach obozowiska w Dunningstone, wioski położonej opodal miasta.

Nawet walory propagandowe zwycięstwa pod Prestonpans nie zwiększają napływu ochotników do pomocy klanom. Wprawdzie z północy napływają drobne grupki górali, zwerbowanych przez pomniejszych wodzów, ale mieszkańcy Edynburga są przezorni. Ojciec George Kelly, zbierający datki i sierżanci, zajmujący się werbunkiem, przekonują się o tym rychło...

Stolica Szkocji jest miastem poszarpanych skał granitowych. W samym środku wyniosłą skałę wieńczy zamek ponad przepaścią. Na południowy wschód jest siedziba Artusa, skaliste wzniesienie na jakieś 300 m wysokości. Na południe, góry Braid i góry Graiglockhart, razem z Pentlandami, odległymi o parę kilometrów, wznoszącymi się do blisko tysiąc\* metrów. Klimat chłodny, o czym świadczą wąskie okna, małe drzwiczki, wysokie kominy. Miasto jeszcze nie bogate, ale szybko porastające w dostatki. Wzdłuż wybrzeży zatoki Forth rozrastają się saliny, których produkty używane są do solenia śledzi, tej podstawowej diety ubogich warstw społeczeństwa zimą. Po

obu stronach zatoki coraz głębiej sięgają odkrywkowe kopalnie węgla; mężczyźni kopią kilofami, kobiety wynoszą urobek w koszykach. Są już w mieście drukarnie, destylarnie i browary, piekarnie i wytwórnie sucharów. Na giełdzie zbożowej panuje zawsze ruch. Handel zagraniczny — wymiana płodów rolniczych za manufakturę, głównie z Anglią — koncentruje się w porcie Leith. Ulicami idą stada bydła i owiec w drodze do wielkich rzeźni. Na targowisko, zwane Grassmarket, wjeżdżają furgony wyładowane płodami rolnymi, drabiniaste wozy z sianem na potrzeby miasta: ciężkie perszerony ciągnące platformy połyskują ogromnymi ładami i krzeszą iskry podkowami po kocich łbach bruku.

Strome są też ulice dzielnic mieszkalnych. W Edynburgu im więcej ktoś ma pieniędzy i im lepszym szczyci się pochodzeniem, tym bliżej nieba mieszka. Może dlatego, że niewiele mają nadziei na to niebo w przyszłym życiu? Miasto wybudowano na dwóch wyraźnie wyodrębnionych tarasach, uwarunkowanych topograficznie. Mieszkańcy z lepszych sfer zajmują wyższy taras, mieszkają powyżej skarpy, oddzieleni od niższego tarasu skalistymi wysokościami. Kamienice z przyczółkami, dobudówkami, wieżyczkami, sterczącymi przy każdym narożniku. Wąziutkie ulice, jakby im poskąpiono miejsca. Mieszkania skupione, piętro nagromadzone na piętrze. Nie bez przyczyny; Im wyżej tym słabszy jest nieunikniony odór moczu, ekskrementów i gnijących odpadków. A zarazem, gdy budowano te domy, ich wysokość świadczyła o obawie przed angielskimi najeźdźcami, którzy wybijali niższe okna, wyważali drzwi, przebijali szablami bez różnicy mężczyzn, kobiety i dzieci.

Na szczycie tych „gawronich gniazd”, jak je nazwał pewien podróżnik, zamieszkują patrycjusze i bogaci kupcy. Na parterach i niższych piętrach mieszczą się rzemieślnicy — introligatorzy, metalowcy, siodlarze, złotnicy. W innych europejskich miastach klasy niższe starają się naśladować styl życia „lepszych od siebie”. W Edynburgu, jak się zdaje, zamożni mieszkańcy

imitują warunki życia gminu. Gdyż życie w tej wyższej topograficznie dzielnicy także jest prymitywne, chociaż to dzielnica arystokracji. Ze wszystkich pięter pomyje i nieczystości wylewa się oknami wprost na środek ulicy. Wspólne klatki schodowe, za których czystość nikt nie ponosi żadnej odpowiedzialności. są tak brudne, że kobiety muszą wysoko unosić spódnice, idąc po schodach.

Te mieszkania arystokracji tak są zatłoczone, że najczęściej podejmuje się przyjaciół w lepszych oberżach, słynących z rzeczywiście doskonałej kuchni, gdzie można zjeść świeże ostrygi, wybornie upieczoną baraninę, pić bogate stare wina. Do takich oberż zagląda teraz często ojciec Kelly, namawiając swą złoto-ustą wymową do ofiarowywania datków na rzecz powstania. (Według złośliwej anegdoty pewien edynburski mieszczanin, ulegając naprzykrzającemu się księdzu, rozwiązał swój mieszek i o dziwo, wyleciał z niego mól!) Wymowny Irlandczyk wygłasza całe kazania, gdy tylko trafi się sposobność. A kiedy indziej bierze na stronę upatrzoną ofiarę, puka w pierś swym długim palcem, przysuwa blisko smagłą twarz, namawia i grozi:

— Obecna sytuacja ulegnie wkrótce zmianie. Książę jest Szkotem. On i jego ojciec dopilnują już tego, aby inni Szkoci bogacili się kosztem Anglików, a nie odwrotnie, jak teraz. A ciebie się pozostawi bez korzyści, bo będzie się pamiętać, żeś nie chciał pomóc teraz...

Czasem mu się udaje. Słuchacze ojca Kelly obliczają, kalkulują. Nie wszyscy należą do „bandy łotrów”. Niektórzy się uważają za patriotów, chociaż tak starannie ważą wszystkie pro i contra. I żądają czegoś więcej od przywódcy rebelii, nie tylko zuchwałego awanturnictwa. Odwaga. Determinacja. Talenty militarne. Zimna krew. Zdrowy rozsądek. Bitwa pod Prestonpans przekonała niektórych, że książę potrafi ukoronować swe powstanie — i swego ojca — w Londynie. Inni są przezorniejsi. Angielskie wojska pod Prestonpans były nieliczne, źle dowodzone. Więc czy nie byłoby najlepiej naśladować

przykład Lorda Lovata, który jedną ręką przysięgał na wierność Jerzemu Drugiemu, a drugą wskazywał swemu synowi i klanom drogę do obozowiska Stuartów? Żeby tak po trochu być po każdej stronie i wygrać z wygrywającą? Do angielskich przyjaciół pisać pogardliwie o rebelii, jako o zwykłym sąsiedzkim zajeździe, który prawdziwa angielska armia pod generałem z prawdziwego zdarzenia skruszy z łatwością. A tymczasem w pałacu Holyrood wznosić właściwe toasty, ukradkiem wręczać odpowiednie datki...

Niektóre damy sprzedają nawet klejnoty, powierzone im przez mężów „na czarną godzinę” i oddają pieniądze na „sprawę”. Ale ich hojność nie była wywołana ani patriotyzmem, ani przezornością. Ach, te kilty!

Niższa dzielnica miasta, niższa w sensie dosłownym, wybudowana poniżej stromej skarpy, zajętej przez „gawronie gniazda” — przypomina królikarnię, wkopana głęboko w ziemię pracą robotników destylarni i browarów, karczmarzy, stangretów, tragarzy i różnorakich wyrobników. Jest tu też zbiegowisko włóczęgów i wyrzutków społeczeństwa, nawiedzających prymitywne, hałaśliwe zajazdy. Więcej brudu, odory wstrętniejsze, zastarzałe, bo bez przewiewu, jeszcze większe stłoczenie nie domytych ciał; pod innymi względami dzielnica niższa niewiele się różni od wyższej.

Strome i brudne schody kamienne wiodą w górę między dwoma czarnymi, ślepyimi ścianami, wąskim przejściem, którego drugi kraniec niknie w ciemnościach. Dwaj Macdonaldowie, sprawujący wartę, wstępują po stopniach. Nieco dalej dymiący kaganek rzuca słabe światło. Pod nim trzech mężczyzn kłóci się zażarcie, wymyślając sobie ochryplymi, zapijaczonymi głosami, niewyraźnie, nie kończąc nawet zdań, które giną w pomroce alkoholu. Jeszcze jeden mężczyzna, z głową opadającą na piersi, przymkniętymi oczyma, opiera się o mur, jakby miał lada chwila osunąć się na schody. Dalej

latarnia oznacza drzwi, zza których dolatują jakieś niewyraźne odgłosy hałasów, sprzeczek, sprośnych piosenek. Nad drzwiami otwiera się małe okienko i gniewny głos kobiety piskliwie krzyczy:

— Wynosić mi się, i to już! Mielicie już wszystko, za coście zapłacili!

Wartownicy przepychają się przez kłótliwą trójkę do środka karczmy. Powietrze gęste od dymu tytoniowego, zapachów tabaki i piwa. Jest to jedna z tawern o najgorszej reputacji w mieście. Zamożniejsi mieszczenie tu nie zachodzą; jedynie męty uliczne, wyrzutki społeczeństwa. Ubogo odziani mężczyźni zbili się w grupki, wołają o piwo, gadają, narzekają, śpiewają posępnie. Silnie zbudowany młodzik obejmuje ramieniem kibić pulchnej kobiety, niezbyt już młodej, z rozpuszczonymi nieporządnie włosami, porozpinanym stanikiem, odsłaniającym zwisłe piersi. Ta para przystaje przed ladą, na którą młodzieniec rzuca monetę. Jeden z sierżantów kładzie mu rękę na ramieniu:

— Lepiej byś swych sił używał do lepszych celów! — po wiada.

Młody mężczyzna śmieje się:

— Jeszcze nie znalazł lepszego. Mam tylko jedną wadę, ale też daje mi więcej przyjemności, niż wszystkie moje cnoty!

— Chodź! — nalega niecierpliwie rozchełstana kobieta. — Marnujesz czas!

Ale silna dłoń sierżanta nie puszcza ramienia mężczyzny. —

Powinieneś być pod Prestonpans — powiada.

— Gdybym tam był, może bym już nie miał nigdy więcej kobiety!

— Ja byłem, a kobiety będę miał — odpowiada sierżant. — Cóż, mój dzielny chłopcze, może przyłączysz się do nas i pomożesz zdobyć tron?

— Nie ciekawią mnie trony — mruczy młody mężczyzna.

Wokół zbierają się gapie. Piwo płynie strumieniem, koń by utonął. Ladaczniczka wrusza beznadziejnie ramionami i odcho-



dzi. Gdy mężczyźni zaczynają gadać o polityce, ona musi czekać. Wie już o tym. Jeden z sierżantów powiada:

— Jego książęca wysokość ryzykuje swoją osobą za ciebie, a ty nie zaryzykujesz siebie za niego?

Inny młody mężczyzna, niższy, zezowaty, wtrąca się:

— Jeśli jego książęca mość ma taką chęć, to proszę, ale co do mnie, to nie!

Drugi z sierżantów zaczyna się złościć:

— Posłuchajcie mnie, wy, baranie gnidy! Walka księcia, nasza walka, jest twoją walką...

— A jeśli książę pan taką ma chęć panować w Anglii, to czemu nie maszeruje na Londyn, zamiast tutaj ucztować i dobroci zażywać?

— I zaznawać łask pięknych dam!

— Książę pójdzie na południe, gdy będzie gotów. Czekaj na posiłki z Francji, przyobiecane na koniec października, skoro wy, którzy moglibyście z nim pójść, nie idziecie...

— Jeżeli chce zasiąść na udzielnym tronie szkockim, to i dobrze. Ale jeśli chce zdobyć również tron angielski, to niech się bierze do roboty. Anglicy się przygotowują, gdy on tańczy i poluje...

Wybuch głośnego śmiechu na krańcu rozgadanej grupy.

— Poluje? Istne kpiny! Poszedłem jako naganiacz na kiego jego polowanie tamtego tygodnia. Książę stąpa jak grenadier na paradzie, kruszy gałęzie, aż trzeszcza, nieomal ziemia się trzęsie pod jego stopami. Każde stadko cietrzewi podrywało się i ulatywało. I jeleń z rogami tak wielkimi, jak drzewo podniósł się i pokłusował pomalutku poza zasięg strzelb... Poluje! Ufam tylko, że wojuje lepiej...

Teraz wszyscy zaczynają gadać naraz. Większość jest przeciwna rebelii. Nieliczni zwolennicy, nawet przy pomocy sierżantów werbunkowych, nie mogą odpowiedzieć na wszystkie przytaczane argumenty.

— Co nam z tego przyjdzie, że zamienimy Hanowerczyka na Stuarta?

. — Wolność i niepodległość Szkocji i każdego jej obywatela!

. — Tak samo będę musiał harować dla mego pana, tego samego pana. I ten pan będzie wyciskał ostatni pot ze mnie, wszystko jedno, kto tam siądzie na tronie. I ty to nazywasz wolnością i niepodległością?

— Jeszcze żaden Stuart na angielskim tronie nie troszczył się o dobrobyt takich, jak my!

— Poszedłbym walczyć za Stuarta na tronie Szkocji, niech by nami rządził jako niepodległym królestwem, ale nie pójdę walczyć za Stuarta na tronie angielskim...

— Rozdzielcie Anglię od Szkocji, a stracimy wszystkie korzyści, jakieśmy mieli z Unii...

— Korzyści z Unii? Jakie korzyści? Tylko kupcy na tym zyskiwali. I zmusili nas do obniżenia cen produktów rolnych, powiadając, że mogą je taniej kupić w Anglii. A nam sprzedają angielską manufakturę za wyższe ceny, niż by im Anglik zapłacił! Gdzie tu korzyści dla takich, jak my?

Starczy głos zaskrzeczał:

— Bo wy, młodzi, nie znacie, czegoście nie posmakowali! Tutaj płacicie tym starym wiedźmom — ruch ręki w stronę ladacznic — a my w Anglii, kiedyśmy wracali spod Preston w 1715 r., tośmy po wsiach żadnej ładniejszej dziewczynie nie przepuścili. Dwóch przytrzymało, żeby nie wrzeszczała, a reszta... — Stary człowiek chichocze.

— I warto było za tyłu, ilu was wtedy poległo, za wstyd i hańbę kłęski?

— Et, pusta gadanina, do niczego nie doprowadzi...

— A wierzę, że trzeba więcej niż gadaniny, by tego starego doprowadzić tam, gdzie chciałby być...

— Gzy słyszeliście o jednym prezbiteriańskim pastorze, który w modlitwach, jakie mu kazano odprawiać za Karola Edwarda, powiedział: „Młodemu księciu, który tu przybył w poszukiwaniu doczesnej korony, daj, o. miłosierny Panie, jak najprędzej koronę niebieską”?

— Miał szczęście, że mu góralski sztylet gardła nie podciął!

— Może i to go nie minie. Na razie potrzeba im przyjaciół, wrogów mają pod dostatkiem.

— A ja powiadam, że to hańba, aby Anglia rządziła Szkocją. I wariatwo, żeby Szkoci próbowali rządzić Anglią. Czyż to właśnie nie doprowadziło do zguby Marii Stuart?

— Niejedno się przyczyniło do zguby Marii Stuart, i niejeden.

Śmiech, sprośne żarty. Klepanie po plecach. Jeden z sierżantów przysuwa gniewną twarz tuż do twarzy niewczesnego żartownisia;

— Pytlujesz jęzorem, a sensu w głowie za grosz! Gdzie twój patriotyzm?

Słowo „patriotyzm” pada, jak iskra na beczułkę z prochem. Ogólna wrzawa. Ktoś chwyta sierżanta za gardło. Drugi sierżant zamierza się w obronie towarzysza. Wrzaski:

— Nie gorsi z nas patrioci od was!

— Tylko nie tacy durnie...

Jeden z sierżantów rozciągnął się jak długi od porządnego ciosu. Tuzin mężczyzn się z nim mocuje. Inni biegną na pomoc. Wszyscy nadal krzyczą:

— Szkocja dla Szkotów!

— To głupie mrzonki!

— Londyn nie będzie nami rządził...

Wolność dla Szkocji...

— Gadacie o wolności, gdyście trzeźwi, i śnicie o niej po pijanemu, ale żaden ani palcem nie ruszy, by wolność zdo być! — woła drugi sierżant.

Ale teraz już słowa zagłusza walka, padają ciosy, lecą naczynia, połamane stołki, stoły... Opuszczona ladacznica, po swemu uczciwa, wyciąga z rozgardiaszu młodego mężczyznę, który przed pół godziną zapłacił jej za usługi...

Z podbitymi oczyma, guzami na głowie, krwawiącymi nosami, czasem kulejąc albo pocierając sobie ramię, adwersarze

wychodzą z tawerny na ciemny zaułek... Po dwóch, trzech, pomagając sobie nawzajem, teraz już zupełnie nie wiedząc, kto był za, a kto przeciw, i nie dbając o to... Wesoło było, wszyscy sobie użyli w takiej bijatyce, starzy i młodzi, górale i edynburszczyki.

Tylko karczmarz wzdycha, popatrując na swoją izbę: podłoga z rozbitymi naczyniami, połamanymi stołkami, zgubionymi fajkami, beretami, strzępami odzieży, wszystko pokrwawione i zalane piwem. Potrząsa głową:

— I większość z nich dowodziła, że nie chcą walki — mruzczy. — Już by lepiej poszli się bić na pole...

Jak echo przypominają się słowa Lochiela Łagodnego nad Loch nan Uamh:

„Wątpię, czy nie zabraknie nam mężczyzn, korzy...”

„Anglicy się przygotowują, gdy on tańczy i poluje...” W rzeczywistości rząd angielski jakby postanowił współzawodniczyć z Karolem Edwardem własną niekompetencją i niezdecydowaniem. Skarbnik koronny Henry Pelham powiedział po bitwie pod Prestonpans:

— Gdyby pięć tysięcy Francuzów wylądowało przed tygodniem gdziekolwiek na tej wyspie, jestem doprawdy przekonany, że podbicie całego kraju nie kosztowałoby ich ani jednej bitwy...

Szczyściem dla Anglii, Francuzi są zajęci gdzie indziej.

Jedynę posunięcie, na które do tej pory rząd się zdobył, by przeciwdziałać rebelii, to sprowadzenie około sześciu tysięcy heskich jurgieltników. Wyprawiono też posłów do Niderlandów z żądaniem przysłania pomocy wojskowej, by pokonać Młodego Pretendenta.

W październiku w Izbie Gmin toczy się debata nad ustawą, zmierzającą do powściągnięcia przekupstwa, pieniącego się podczas wyborów, oraz zlikwidowania presji, wywieranej na posłów przez możnych patronów. Z ław opozycji Wiliam Pitt,

gani rząd w płomiennym przemówieniu za to, że „jak Neron, zabawia się grą na skrzypcach, gdy Rzym płonie”.

— Będę zawsze rzetelnym zwolennikiem każdego zarządzenia (...) które by hamowało fatalne przekupstwo; ale (...) rebelianci już osiągnęli zwycięstwo nad regularnymi wojskami jego królewskiej mości, co dało im władanie nad jedną częścią Zjednoczonego Królestwa. Czy w takich okolicznościach mamy przepędzać czas na projektach ochrony naszych swobód przed korupcją, gdy tym swobodom grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo zdeptania siłą?

Upominając się o podjęcie zdecydowanych kroków, Pitt w dalszym ciągu dowodzi, że można polegać na angielskim narodzie, iż „będzie bronić swego suwerena i siebie przeciwko tym, którzy zdradziecko spiskowali, by jego pozbawić korony, a ich samych — - swobód, własności i religii”. W dalszym ciągu żąda, aby zamiast polegać na sile najemnej Hesjan i Ni-derlandczyków, sprowadzić do kraju przeciw Karolowi Edwardowi angielskie wojska z Flandrii.

Pitt jest nie tylko najszynniejszym z angielskich oratorów, ale też najpopularniejszym politykiem w całym kraju, choćby dlatego, że wciąż uparcie wyraża swoje przekonanie o rozsądku i dobrej woli obywateli. Jego przemówienie rozbrzmiewa echem od kanału La Manche aż do szkockiej granicy. Książę Adam Czartoryski, bardzo uważnie wysłuchawszy jednego z przemówień Pitta powiada — z pewną pogardą — że nie jest to mowa męża stanu, lecz trybuna ludowego. A powieściopisarz Tobiasz Smollett pisze, że Pitt „zabłysnął jak piorun na ministrów i synów korupcji, porażając swym ogniem opozycje...”

Rząd zmuszony jest zastosować się do zaleceń Pitta. Pod koniec października niewielka armia, złożona głównie z milicji obywatelskiej, nie obytej z wojną, pod dowództwem siedemdziesięciodwuletniego generała George'a Wade'a ściga do Newcastle na północy, a druga, z hrabstw środkowych, do Lichfield. Tym będzie przewodził Sir John Ligonier. Książę

Cumberland otrzymał rozkaz przyprowadzenia do kraju z Niderlandów znaczniejszych sił pod własną komendą.

Czy Karol Edward stracił już swoją jedyną szansę ostatecznego zwycięstwa wówczas, gdy Anglia była, praktycznie biorąc, bezbronna?

Karol Edward tak nie sądzi. Ma w kieszeni list, który mógłby go przekonać. Ale jego niełatwo przekonać.

Lord George Murray unikał, o ile mógł, trwonienia czasu na zabawy w Holyrood. Tygodnie czekania poświęcił na musztrę i na manewry, których celem było wprowadzenie w błąd Anglików. Pewnego dnia Londyn otrzymał wiadomość, że w punkcie X znajduje się pięciuset zbrojnych rebeliantów. Następnego dnia — w punkcie Y. Trzeciego dnia — w punkcie Z. W rzeczywistości ten sam oddział przierzucano z miejscowości do miejscowości tak, by sprawić wrażenie znacznie większych sił, szeroko rozmieszczonych.

Natomiast próby wzięcia głodem zamku edynburskiego okazały się mniej skuteczne. Lord George zamknął wszystkie drogi, którymi prowiant mógł być dostarczany oblężonym. Generał Guest, weteran wielu wojen i doświadczony żołnierz, dowodzący garnizonem na zamku, zażądał, by zdjęto blokadę. Lord Murray wcale nie odpowiedział. Wobec tego Guest zbombardował miasto z dział zamkowych, zburzył kilka domów, poranił, a nawet zabił kilku mieszczan. Mieszkańcy zwrócili się z petycją do księcia, który wbrew Lordowi George'owi rozkazał wycofać oddziały, pilnujące dróg do zamku.

Lord George nie nalegał na dalszy pochód. Był zdania, że siły klanów są zbyt słabe, aby zaryzykować takie przedsięwzięcie. Spodziewał się, że po zwycięstwie pod Prestonpans liczba ochotników do szeregów pretendenta podwoi się, że wątpiących i niezdecydowanych to zwycięstwo przekona. Jednakże tak się nie stało.

Może jednak książe popełnił błąd, gdy przed dwoma miesiącami nie zgodził się pójść do Inverness w pościgu za Sir Johnem Cope. Zwycięstwo, odniesione tam, w górach, przy-

•ciągnęłoby zapewne pobliskie klany z północy i wschodu. A zamiast tego Lord Loudon w imieniu rządu udał się do Inver-ness i tam zwerbował cały regiment piechoty do walki po stronie Jerzego II! Tu, w Edynburgu, Lordowi George'owi dokuczają dezercje. Do klanów zakradło się zniechęcenie, bezczynność sprzyja rozprzężeniu. Szybko do bitwy i szybko do domu — oto ich pojęcie wojny. Zresztą, nie chcą iść na Anglię. Wymykają się więc z obozu, wracają do domów. Trzeba drewno na opał przed zimą szykować.

Gdy Karol Edward na radzie wojennej przedstawia swoją decyzję rozpoczęcia drugiego etapu przedsięwzięcia, Lord George zabiera głos i przemawia otwarcie:

Romantyczny patriotyzm, który nasze dawne dzieje po tylekroć rozplomieniał, należy już chyba do chlubnej przeszłości. Dzisiaj zaledwie tli się, nawet wśród klanów góralskich, gdzie za czasów Roberta Bruce, za czasów bitwy pod Bannockburn, płonął, jak pożar na wrzosowiskach. Angielskie złoto przytłumiło płomienie. Teraz zarówno na górskich halach, jak i na ulicach miast, władza ludźmi chytry interes własny.

Księżciu nie przypada to do smaku. Nie podoba mu się sugestia, że daleko mu do Roberta Bruce, że nie potrafi już rozplomienić uczuć patriotycznych. Jego niechęć do Lorda George'a rośnie. Nie może jednak zaprzeczyć, że ma pod swoją wodzą wciąż jeszcze nie więcej, jak sześć tysięcy ludzi.

Swoją przezorną powściągliwością Lord George zaraża Lochiela, Clanranalda, Kinlochmoidarta, Boisdale'a, .nawet starego Glenbucketa z klanu Gordonów — słowem, wszystkich trzeźwiej myślących spośród klanowych wodzów. Lord Eicho narzeka, ponieważ wbrew kontrybucjom, nałożonym na miasta, wbrew wysiłkom ojca George'a Kelly, wciąż jest o wiele za mało gotówki na przygotowanie inwazji. Książę mu odpowiada:

— Więcej zbierzemy pieniędzy dopiero w Anglii, gdzie, jako prawowity monarcha, będę mógł ściągać podatki w hrabstwach, przez które będziemy przechodzić. Co więcej, otrzy-

małem wiadomość, że nadsyłają nam z Francji pięć tysięcy funtów szterlingów wraz z bronią, oraz francuskimi i irlandzkimi oficerami...

— Ależ nam nie oficerów potrzeba — protestuje Lochiel — lecz szeregowych. Tysiący żołnierzy!

Za inwazją na Anglię opowiada się „siedmiu z Moidart”, diuk Perth, John Murray z Broughton i Jennie Cameron — ludzie o bardziej awanturniczym usposobieniu z otoczenia księcia.

Po raz drugi Karol Edward zaryzykuje, postawi na tę jedyną kartę, jaką ma do dyspozycji.

— Pochód postanowiony — oznajmia. — Niektórzy z was, jak widzę, pójdą ze mną, by zdobyć dla mego królewskiego ojca to, co mu z prawa należy. A ci, wodzowie czy zwykli górale klanowi, którzy się obawiają, niechaj wracają do swoich domów i do bezpieczeństwa. — Księżę dobrze zna Szekspira i powtarza słowa, które poeta włożył w usta króla-wojownika, Henryka V:

— „Nie chcemy ginąć w towarzystwie człeka,

Co nie chce w śmierci naszym być kolegą”.

Zdrowy rozsądek? Czy awanturnictwo? Tworzywo historii? Czy tworzywo legendy?

W każdym razie apel decydujący tym silniejszy, że w powietrzu jeszcze słychać echo słów Lorda George'a o zamierającym patriotyzmie.

— Zaszliśmy aż tutaj — mówi z rezygnacją w głosie Clanranald. — Jeśli wasza książęca moc rozkazuje, nie zostaniemy w tyle...

— Ufajmy — wtrąca się Lord Elcho — że Francuzi przyjdą w końcu z pomocą waszej książęcej mości.

Nadzieja słuszna i rozsądna. Ale jego słowa uderzają Karola Edwarda, jakby obuchem. List, jaki zatrzymał w kieszeni, którego treści obawia się ujawnić... Gdyby wodzowie klanowi o nim wiedzieli, gdyby pojęli, jak dalece potwierdza ich własne zdanie — ani jeden z nich nie przekroczyłby granic Anglii.



Ten sam emisariusz, który oznajmił, że nadejdą zebrane z prywatnych źródeł we Francji pieniądze i oficerowie-ochotnicy, wręczył również księciu list. Korespondent nie stwierdza jasno, że Szkocja jako niezależne i niepodległe królestwo będzie zawsze użyteczna dla Francji w charakterze bazy, z której można atakować Anglię — ale tyle wolno się domyślać. Ludwik XV miał oznajmić, że mu zupełnie obojętne, kto siedzi na tronie angielskim, Hanowerczyk czy Stuart. Natomiast jeśli Szkoci chcą mieć swojego króla, to im dopomoże.

Sześć tygodni, przepędzone na ceremoniach i zabawach życia dworskiego, miały być potrzebne, by doczekać przybycia oddziałów francuskich. Wydaje się wobec tego, że książę nie ufał szansom zwycięstwa bez tej pomocy. Dlaczego więc teraz, wiedząc już na pewno, że tej pomocy nie otrzyma, decyduje się na inwazję?

Dlatego, ponieważ przysięgał: .... zwyciężyć albo zginąć..."

Zginąć. Ale kto ma zginąć?

## **Rozdział X**

### **„POWIESZĄ NAS WSZYSTKICH!”**

Dnia 3 listopada Karol Edward rusza na południe na czele swoich klanów — około pięciu i pół tysiąca piechoty i pięciuset jazdy. Ojciec George Kelly zostaje w Edynburgu. Jego-przekonywająca argumentacja będzie użyteczniejsza przy zbieraniu datków, niż jego ramię przy rozbijaniu głów. Ale z góralami maszeruje kilku wojowniczych księży, między innymi ojciec John Tyrie, który postanowiwszy ze swym kolegą ze Strat-haven ciągnąć losy o zaszczyt udziału w przelewaniu krwi., wyciągnął los szczęśliwy.

Ogólnie biorąc, górale zachowywali się w stolicy z przykładną powściągliwością. Jednakże taka nie zawsze zdyscyplinowana armia nie jest wygodnym sąsiadem dla spokojnych mieszkańców. Niektóre z mężatek leją łzy, bo odtąd będzie im. musiała wystarczyć rutyna objąć znudzonych mężów. Niektóre z niedawnych panienek zanoszą modły o szczęśliwy powrót, kochanków, by ich dzieci miały ojców. Natomiast mężczyźni w Edynburgu żegnali wojowników w kiltach z entuzjazmem, którego brakowało podczas powitania przed prawie dwoma miesiącami.

W Londynie mnożą się niespokojne spekulacje co do tego. czy rebelianci pomaszerują najkrótszą drogą, wzdłuż wschodniego wybrzeża, czy też skierują się na zachód Anglii, gdzie. zwłaszcza w katolickim hrabstwie Lancashire, mogliby spo-

dziewać się napływu świeżych sił do swych wojsk. Ta ostatnia trasa wydaje się prawdopodobniejsza. Gdyby wmieszali się Francuzi, podpłynęliby raczej od strony zachodniej, niż od wschodu albo południowego wschodu, gdzie czuwają silne okręty angielskie i gdzie hrabstwa znane są z lojalności wobec dynastii hanowerskiej. Rząd angielski nie wie jeszcze o poglądzie Ludwika XV na sprawy tronu angielskiego. Co więcej, książę Richmondu pisze:

„Nie obawiam się samych szkockich rebeliantów, ani też tego, że zawładnęli obecnie Szkocją. Ale inwazja ze strony Francji wydaje mi się realnym niebezpieczeństwem, a jest chyba pewna, o ile nie zapobiegniemy jej wojskiem w kraju”. •

Tymczasem to „wojsko w kraju” jest rozproszone i co najmniej niepewnej wartości bojowej.

Lord George Murray celowo ukrywa zamiary powstańców: niech rząd w Londynie łamie sobie głowę nad tą zagadką! Zamierza maszerować przez Carlisle, na zachodnim wybrzeżu, a następnie przez hrabstwo Cumberland do Lancashire. Jednocześnie chce wprowadzić w błąd generała Wade'a w Newcastle, na północnym wschodzie i podstępem skłonić go do pozostania w tamtej okolicy.

Dlatego więc książę z Lordem Georgem, Cameronami Lochiela, MacDonaldami, MacGregorami, MacKinnonami i jazdą Lorda Elcho wyrusza gościńcem do Kelso. Stwarzają pozór, że chcą się dostać do Londynu najkrótszą trasą. Tymczasem diuk Perth wiezie właściwą armię, łącznie ze szczupłą księżęcą artylerią, taborem i wozami, drogą na Peebles oraz Carlisle.

Generał Wade nie śmie ruszyć z miejsca. Ale książę i Lord George, dotarłszy do Kelso, skręcają na południowy zachód w stronę Hawick, by na południowych wzgórzach, koło góry Attrick Pen, połączyć się z diukiem Perth. Tym zręcznym manewrem wystrychnięto na dudka angielskiego generała, który teraz już nie zdąży dotrzeć do Carlisle przed rebeliantami. A nawet gdyby próbował, książę mógłby znowu skrócić na

wschód i wyminawszy go, spiesznym pochodem dotrzeć do Londynu. Siły Wade'a są zbyt szczupłe, by mógł sobie pozwolić na rozdzielenie ich.

Słynny powieściopisarz Henryk Fielding, nawołując do zachowania lojalności wobec panującej dynastii, pisze, że obie armie szkockie muszą torować sobie drogę „przez trudno dostępne szlaki górskie, po fatalnych drogach, w najgorszej porze roku”. Nie tylko dlatego klany niechętnie rozpoczynają ten pochód. Górale szkoccy żywią zabobny strach przed zapuszczeniem się w głąb ziem angielskich, stanowiących dla nich zupełnie nieznaną kraj, gdzie każdego górala uważa się za barbarzyńcę i tak właśnie traktuje. Wszelkie wysiłki oficerów i sierżantów nie mogą zapobiec licznym dezercjom. Wielu wykalkulowało sobie, że lepiej się narazić na przyszły ewentualny gniew wodza klanowego, który może w ogóle nie wróci nigdy z powrotem w rodzinne góry, niż wystawić się na obecne niebezpieczeństwo ze strony angielskich szkarłatnych mundurów, sędziów i katów.

Dwie armie powstańcze spotykają się i łączą. Podchodzą teraz do pogranicza, okolic bardzo ubogich. Większość chat, to lepianki z gliny, kryte trzciną. Kobiety noszą watowane i pikowane spódniczki do kolan i chodzą boso. Według relacji jednego z ówczesnych europejskich podróżników, są one „niechlujne, leniwe i odstręczające”. Jedyne członki ich ciała, które bywają czyste, to nogi, gdyż udeptują bieliznę przy praniu stopami, zamiast schylić się i bić kijankami. Nawet te, które się uważają za szlachcianki, nie zawsze posiadają parę pończoch. A najlepsza gościnną izbą w takiej chacie jest czarna od dymu, w którym się wędzą kawałki słoniny, zawieszona u pułapu nad kominem.

Lord Elcho, urodzony i wychowany w Edynburgu, które to miasto wcale nie jest wzorem oświecenia i higieny, z najgłębszą pogardą odnosi się do swoich rodaków z pogranicza. Jadąc tuż obok księcia, opowiada:

— Nie sposób tu wejść do jakiegokolwiek domu, uboższe-

go czy nieco dostatniejszego, nie ochraniając swego nosa jakimiś silnie woniejącymi ziołami. A leniwe z nich kocmołuchy! Wiader z nieczystościami nigdy nie opróżniają, dopóki nie są tak pełne, że się już przelewają. Wodę ze studni przynoszą sobie tylko co drugi dzień. Miedzianych garnków i patelni nie szorują nigdy z obawy, by ich nie zniszczyć. Tylko z rzadka kobieta przejedzie po nich brudną ścierką, maczaną w jeszcze brudniejszej wodzie.

— Dlaczego właśnie te okolice są tak szczególnie ubogo zagospodarowane? — pyta książę.

— Od wielu pokoleń Anglicy najeżdżali pogranicze — wyjaśnia Elcho — i rabowali, grabili, palili. Prawda, nasi ludzie też najeżdżali angielskie ziemie. Po obu stronach granicy mieszkańcy nie mogli spokojnie gospodarzyć, dbać o swoje osiedla, gromadzić dobytek.

To prawda, ale nie cała prawda. Lord Elcho woli nie dodawać, że arystokracja szkockiego niskiego pogórza, przeważnie zamieszkująca w miastach, w Edynburgu, w Stirling, w Peebles lub Dumfries, posiada olbrzymie dobra na pograniczu i ona to od dwustu lat wyzyskiwała, uciskała i terroryzowała wieśniaków.

Całymi rodzinami chłopci z tych okolic emigrowali na wybrzeża Bałtyku, do Niemiec i do Polski. Niektórzy dostali tam ziemię, inni pomogli tworzyć szkocko-bałtycki handel. Wygnani nędzą z ojcowizny, pracą swą wzbogacili Lubekę, Hamburg, Gdańsk.

Ogłoszono alarm w północno-zachodnich hrabstwach Anglii, w Cumberland, w Westmorland. Nadciągają dzikie hordy góralskie, a w obrębie stu mil ani jednej armii, która by mogła bronić mieszkańców! Władze lokalne mogą tylko zebrać milicję — oddziały żołnierzy zupełnie nie wyćwiczonych, surowy materiał, źle uzbrojony na dokładkę. I nie takie to łatwe.

Władza „zbrojenia, szykowania, prowadzenia i dowodzę-

nia" milicji należy do króla, działającego poprzez namiestników, stojących na czele hrabstw i ich zastępców. W wielu hrabstwach urząd namiestnika wakuje. Nie tyle z powodu zaniedbania, ile dlatego, że stanowisko to ma charakter polityczny, a poszczególne frakcje nie mogły się zgodzić na nominację. Kto w takich hrabstwach ma prawo powoływać pod broń milicję? Juryści dyskutują. Ogólny galimatias!

Jeszcze jedna biurokratyczna przeszkoda. Według litery prawa milicję wolno powoływać pod broń tylko na okres jednego miesiąca; na następny miesiąc można ich zatrzymać tylko po wypłaceniu im żołdu za pierwszy miesiąc. To zarządzenie uchwalono dlatego, że w dawnych czasach zdarzało się, iż milicję mobilizowano i trzymano pod bronią długimi miesiącami, nie wypłacając im żołdu. Oczywiście wzmagало to jeszcze niechęć mobilizowanych rekrutów do służby w milicji. Ale teraz hrabstwa, którym udało się powołać pod broń i uszykować milicję w początku października, nie otrzymały z Londynu pieniędzy na żołd dla ludzi oderwanych od ich zajęć, zarobku i domów. A lokalne fundusze prawie nie istnieją. Tak więc właśnie w chwili, gdy Karol Edward nadciąga, niektóre hrabstwa, trzymając się litery prawa, a nie dbając o naglące potrzeby, rozpuszczają swoją milicję. Tyrania biurokracji stanowi nie mniejsze niebezpieczeństwo niż Młody Pretendent — może większe. A o wiele mniej romantyczne.

Sytuacja w Carlisle, gdzie bezpośrednio zagrażają nadchodzące klany, staje się krytyczna. Pułkownik Durrand, dowodzący milicją, jest w kropce. Pierwszy miesiąc „zbrojenia, szykowania i dowodzenia” dobiegł końca. Pułkownik zwołuje okoliczną szlachtę, „by obmyśleć wspólnie jakieś środki i sposoby dalszego utrzymywania milicji pod bronią”. Pułkownik ofiarowuje się wyłożyć z własnej kieszeni pięćdziesiąt gwinei. Skarbnik miejski, któremu polecono wypłacić żołd z funduszy miasta, zupełnie słusznie żąda, by panowie zleceniodawcy podpisali ten rozkaz, „czyniąc się współodpowiedzialnymi za zwrot wypłaconych sum”. Angielski skarbnik w Carlisle w tym jest podobny

do szkockiego księcia Argyll, iż nie ufa za bardzo wyższym władzom, które ulegają panice w chwilach niebezpieczeństwa, a wracają do pedantycznego legalizmu, gdy niebezpieczeństwo przemienie.

Ludność, jak to powiedział William Pitt, gotowa jest „bronić swego suwerena i siebie samych”. Ale potrzeba im kierującej ręki. Cóż mogą począć w obliczu oficjalnego bałaganu, nieufności, obłąkanej w zaślepieniu biurokracji? Po prostu zakopują, co mają najcenniejszego, wypędzają bydło do lasów, a kobiety i dzieci wysyłają do Whitehaven i innych bezpiecznych portów na wybrzeżu, skąd łatwo mogą pożeglować na południe albo do Irlandii.

Na ziemi szkockiej pierwszy, niewielki jeszcze, ale symboliczny sukces odnieśli koło Wielkiego Glenu zapóźnieni Macdonaldowie Keppocha. W Anglii pierwsze nieznaczące zwycięstwo jest po stronie milicji z Carlisle. Dnia 15 listopada pułkownik Durrand wysłał mały podjazd, złożony z wolnych kmięci i dzierżawców, by wywiedzieć się o poczynaniach księcia i jego armii. Ze szczytu wzgórza Bongerswork koło granicy dostrzegają poniżej oficera i około stu ludzi. Oficer wysforował się znacznie naprzód.

„Zeszedłem na dół — relacjonuje później jeden z wolnych kmięci — i dostrzegłem białą kokardę. Wtedy podeszliśmy wszyscy z nastawioną bronią i zapytaliśmy, kto by zacz był? A on na to, że należy do księcia Karola i położywszy rękę na pistolecie zaklinał się, że będzie walczyć za swego księcia, dopóki mu tchu starczy”.

Śmiałe słowa, szybko zapomniane. Setka górali cofa się pośpiesznie ku granicy, zostawiając oficera jego losowi. Nie widzą, co i kto może się kryć po drugiej stronie wzgórza Bongerswork. Dalsza relacja brzmi: „Otoczyliśmy go i zagroziliśmy, że go zastrzelimy, jeśli się nie podda. Więc się poddał i powiedział, że jest szlachcicem i ufa, że go będziemy jako takiego

traktować. Powiedział też, że wysłano go naprzód, aby znalazł odpowiednie miejsce na obozowisko. Miał na sobie kraciatą odzież i parę pistoletów. Nosił też buty i szablę, zabrane jednemu z naszych dragonów pod Prestonpans".

Pierwsze małe zwycięstwo — jedyne, jakie miało przypaść w udziale Anglii przez dłuższy czas.

Nazwisko oficera powstańców brzmi James Broad. Przyrowadzony przed pułkownika Durranda, powiada:

— Gdybym miał nabite pistolety, wasi ludzie nigdy by mnie nie wzięli!

I folguje sobie, koloryzując nieco. Zapytany, ilu ludzi wie dzie z sobą książę, odpowiada:

— Piętnaście lub szesnaście tysięcy. I będzie przed brama mi za kilka godzin.

Konsternacja wśród milicji, jedynych obrońców Carlisle. A nigdy przecież nie przeznaczono ich do tak odpowiedzialnej roli. Odparcie klanów Karola Edwarda miało być zadaniem regularnych wojsk pod wodzą Wade'a i Ligoniera. Milicja miała tłumić lokalne bunty, które mogły się trafiać tu i ówdzie na rzecz Stuartów. Pułkownik Durrand wie dobrze, że milicja nie przedstawia większych wartości wojskowych. Wyznaje na ten temat poglądy podobne do tych, które Lord Derby, Namiestnik hrabstwa Lancashire wyraził w liście do sekretarza stanu:

„Co warta nasza milicja, mógłbym powiedzieć na podstawie tego, co na własne oczy oglądałem, a mianowicie: organizacja pod żadnym względem nie nadająca się do służby czynnej, bez jednego choćby oficera zdatnego do dowodzenia i bez jakich bądź wojennych potrzeb i wygód”.

Jak się okazuje, „parę godzin” Jamesa Broada nie jest o wiele dokładniejsze od jego „kilkunastu tysięcy”. Karol Edward ma własne kłopoty. Nadal nie ufając Lordowi George'owi Murrayowi, książę powierza zaszczyt dowodzenia oblężeniem Carlisle diukowi Perth. Lord George, urażony w swej ambicji, podchodzi do księcia i odzywa się z lodowatą grzecznością:



— Mości książę, chciałbym zrezygnować z moich obowiązków wodza naczelnego...

— Znowu? — pyta książę z ledwie ukrywanym sarkazmem.

— Moja szabla pozostaje nadal do dyspozycji waszej książęcej mości. Ale nie mogę bez protestu patrzeć, jak odpowiedzialność za klęskę lub zwycięstwo i za ludzkie życie oddaje się niedołęznemu...

Książę przerywa mu ostrym tonem. Młody królówic ogromnie nie lubi wysłuchiwać krytyki własnego postępowania, choćby zawołowanej.

— Dosyć. Dymisja Lorda George'a jest przyjęta.

Wodzowie klanów są wstrząśnięci. Tylko stary Atholl i inni, którzy przybyli z Francji, a także John Murray z Broughton i oczywiście diuk Perth pochwalają zdjęcie Lorda George'a ze stanowiska głównodowodzącego.

— Przecież to najlepszy żołnierz z nas wszystkich! — przypomina księciu stary Glenbucket.

— Traktuje mnie, jakbym był pod jego komendą, zamiast on pod moją — odpowiada książę, zirytowany, jak człowiek, który zdaje sobie sprawę, że w pośpiechu popełnił błąd. — Lord George nie cofnął może swej lojalności wobec mnie jako władcy, ale pogardza mną jako człowiekiem i żołnierzem.

Clanranald, Lochiel, nawet Keppoch i Jennie Cameron błagają księcia, by się pogodził z Lordem Georgem, by nie przyjmował jego dymisji. Wiedzą, że jedyna słaba szansa powodzenia tej wyprawy — i może uratowania własnego życia — zawisła od taktycznego i strategicznego geniuszu Lorda George'a i to zarówno w pochodzie naprzód, jak i w odwrocie. Ale księcia więcej obchodzi kwestia jego własnej urażonej dumy.

— Przyjąłem jego rezygnację. Nie cofam moich decyzji. Lord George, pomimo porywczego usposobienia, łatwiej da je się ułagodzić.

— Żaden z nas — powiadają wodzowie, i nie jest to pochlebstwo, lecz szczerza prawda — nie byłby się zgodził opusz-

cząć Edynburga, gdybyśmy nie byli przekonani, że pod zwierzchnością jego książęcej wysokości, ty będziesz wodzem naczelnym!

Falszywa skromność nie należy do cech Lorda George'a, Wie doskonale, jak wiele zależy od niego. Upewniwszy się co do tego, komu wodzowie klanów naprawdę ufają — nie Perthowi, nawet nie księciu, lecz tylko jemu — Lord George wycofuje swoją rezygnację. Karol Edward, przyjmując wycofanie za przeprosiny, mianuje z powrotem swego najzdolniejszego żołnierza wodzem naczelnym.

Działa, zdobyte pod Prestonpans, umieszczono na pozycjach, skąd można było bombardować Carlisle. Lorda Elcho posłano do burmistrza miasta z ultimatum:

— Poddać miasto w ciągu dwóch godzin... albo...

Burmistrz nie daje się zastraszyć:

— Nie poddam się rebeliantom...

Odważnie. Odważniej od milicji, na której burmistrz musi polegać, by mógł swego słowa dotrzymać. A milicja dyskutuje:

— Nie wyplacono nam żołądu...

— Ani też jeść nam nie dają, prócz tego, co sami kupimy lub wyprosimy...

— Bezprawnie nas pod bronią trzymają...

— Nie mają właściwie prawa nas powoływać, ani do bitwy używać...

— Rząd nie dba o nas...

— Nie damy rady szesnastu tysiącom dzikich górali...

— Wezmą nas do niewoli...

— Potraktują jak zdrajców...

— Wiemy coś niecoś, jacy są ci Stuartowie...

— Oni katolicy, a nas zwą heretykami...

— Wszystkich nas powywieszają...

— Niech sobie król Jerzy sam prowadzi swoje wojny, a książę Karol Edward swoje...

Wysyłają artylerię i broń palną z zamku na wybrzeże i rozchodzą się do domów. Mogli byli wcale się z domów nie ru-

szać przez ostatnie sześć tygodni, bo doprawdy niczym się rządowi nie przysłużyli.

Nie są bohaterami? No cóż, w każdym razie nie chcą być ofiarami bohaterskiej głupoty.

Bitwa o miasto Carlisle? Tylko między rywalizującymi o godność wodza naczelnego rebeliantami. Bramy miasta stają otworem. Piękny Książę wkracza w triumfie. Powodzenie towarzyszy mu w Anglii, jak w Szkocji. Wojownicy... biały rumak... błyszcząca szabla...

Szkockich górali przyjmują mieszczenie w posępnym milczeniu. Pretendent wydaje surowe rozkazy, aby nikt nie ważył się rabować lub gwałcić. Takie same rozkazy wydają zwykle wodzowie najeźdźczych wojsk. Wcale zresztą nie spodziewają się, aby się do nich stosowano. Ale rozkazy dobrze wyglądają później, w podręcznikach historii. Pomagają w tworzeniu legendy.

Księciu spiesz się teraz. W Carlisle brak pokus zwlekania, jak w Holyrood. Moźniejsi z mieszczan wymknęli się już wcześniej. Nie ma tu wspaniałych pałaców, tylko zamek wzniesiony pod koniec XI wieku przez Wilhelma Normandzkiego, zdobywcę Anglii i twórcę frankońskiego feudalizmu w tym kraju. Katedrę niedawno określono jako „prymitywny kościół wiejski, tyle, że duży”. Bądź co bądź pewnej zwłoki nie sposób uniknąć. Trzeba załatwić ważną sprawę pieniędzy. Metodą, określoną przez księcia jeszcze w Edynburgu.

Nieściąganie należnych podatków byłoby taktycznym błędem ze strony księcia. Pretenduje do tytułu regenta de iure i musi postępować tak, jak regent de facto. W obu królestwach od czasu unii w 1707 r., system opodatkowania jest taki sam. Kwatermistrz O'Sullivan przeornie zabrał ze sobą ze Szkocji dobrze wyszkolonych poborców podatkowych.

Tak więc lokalnym urzędnikom nakazuje się oddać „księgi, dokumenty i gotowiznę, należącą do Państwa” — pieniądze pochodzące z opłat i akcyzy, podatków gruntowych, pieniądze należące do poczty. Specjalnemu opodatkowaniu

podlegają fabrykanci, browownicy, chmielarze, garbarze, mydlarze i świecarze, a także robotnicy metalowcy.

Przywiezieni przez O'Sullivana poborcy wiedzą, gdzie znaleźć spisy podatków i od kogo należy podatki ściągać. Zabierają się do roboty, a towarzyszą im oddziały zbrojnych górali. Każdy, kto płaci bez zastrzeżeń, otrzymuje kwit. Nawet poborcom króla Jerzego trudno będzie wykręcić się od uznania takiego kwitu, wystawionego na właściwą sumę podatku według wszelkich prawideł, a zapłaconego pod przymusem — zbrojni górale! — księciu, pretendującemu do legalności. W ten sposób kosztami rebelii obciąża się rząd, wszystko jedno, czy będzie hanowerski czy Stuartowski. Jedynymi ofiarami, w razie, gdyby Jerzy II utrzymał się na tronie, byłiby poborcy podatkowi pretendenta, o ile dadzą się schwytać!

Sprytna metoda, której twórcą, nawet według legendy, nie był piękny Książę. Wykluła się w bankierskim umyśle Eneasza Macdonalda. Trzeba tu zauważyć, że chociaż klany gromadzą niewiele zbrojnego poparcia, to z drugiej strony nie natykają się też na zbyt wielką opozycję. Jeżeli nie ma wojsk do obrony mieszkańców, jeżeli ściąga się nie więcej, jak należne zwykle podatki, jeżeli rebelianci śpieszą się, by opuścić zajęte terytorium, to po co, pytają mieszkańcy, narażać życie w oporze? Płacą więc poborcom Pięknego Księcia, starannie przechowując kwity.

Wielkich sum nie da się zebrać w Carlisle, Cumberlandu i Westmorlandii. Sporo urzędników z rządowymi pieniędzmi i zamożniejszych mieszkańców uciekło, gdy milicja się rozwiązała. Ludzie O'Sullivana, pomimo zbrojnej asysty górali, zdołali zebrać tylko czterysta funtów szterlingów. Ale w bogatszych okolicach, dalej na południe, w Lancashire, Cheshire, Derbyshire ściągną podatków na około dwa tysiące funtów. Była to bardzo użyteczna suma w owych czasach, gdy całoroczny budżet rządu angielskiego nie przekraczał dziesięciu milionów.

Kufarki skarbowe troszeczkę się napełniły. A Lord George przechrzył swoją zręczną taktyką generała Wade'a. Milicja

hrabstwa Cumberland rozeszła się do domów. Ale wbrew temu sytuacja powstańców jest co najmniej trudna. Armia generała Wade'a jest nienaruszona. Wojska Ligoniera także czekają w hrabstwach środkowych. Książę Cumberland powrócił z Niderlandów do kraju wraz z wyborowymi wojskami. Dezercje podczas pochodu zmniejszyły już siły rebeliantów do pięciu tysięcy żołnierzy. Ani jeden zwolennik Stuartów nie przyłącza się do nich w Cumberland. Nie ma też perspektyw żadnej pomocy z Francji.

I znowu niektórzy z wodzów klanowych doradzają zaniechanie dalszego pochodu na południe i powrót do Szkocji, gdzie można by przeprowadzić energiczniejszy werbunek. Karol Edward nie ulega żadnym namowom. Mówi:

— W Lancashire nasze szeregi się podwoją. Zobaczycie!

No tak, zobaczą. Ale co zobaczą? Dowód dobrze poinformowanej kalkulacji czy awanturniczego ryzyka? Na pewno zobaczą. W to nikt nie wątpi. To proroctwo jest pewne. Nie romantyczne. Zwyczajny zdrowy rozsądek.

## *Rozdział XI*

### **WZROK UTKWIONY W MIRAŻU**

Karolowi Edwardowi zanadto się śpieszy, by zobaczyć. Bez chwili wytchnienia popędza klany na południe. Dwustu zostawiono w Carlisle, jako garnizon, pod dowództwem pułkownika Francisa Stricklanda, jedyne go Anglika z owych siedmiu, którzy rozpoczęli wyprawę w Moidart. Dnia 23 listopada przeszedł granicę hrabstwa, księżę wkracza do Lancashire. Nie spotyka się z żadnym oporem. Wojska angielskie, chociaż jest ich coraz więcej, albo zostały oszukane przez Lorda George'a Murraya, albo też nie mogą nadążyć za niezwykle szybkim pochodem górali.

Nawet spora liczba kobiet, ciągnąca za wojskiem rebeliantów, nie opóźnia ich marszu. Te, które zachorowały lub są w zaawansowanej ciąży, muszą odłączyć się i prosić o pomoc w najbliższej parafii, gdzie — trzeba to podkreślić — najczęściej tej pomocy im udzielano.

Niezwykła szybkość tego pochodu tym bardziej zadziwia, ponieważ stan dróg jest opłakany, a śnieg pada nieustannie. Jeden z ówczesnych podróżników opisuje gościńce tamtejsze jako „nieznośne, wąskie trakty, pocięte wybojami tak, iż wszystkie kości człowieka bołą po podróży” — a pomniejsze drogi jako „nadające się jedynie dla kóz”. Ironia losu sprawiła, że za ten opłakany stan dróg odpowiedzialne jest było ze szkockich gór. Co roku około czterdziestu tysięcy sztuk zakupują

agenci w Inverness, Edynburgu i innych ośrodkach, a później przepędzają na południe, by się utoczyły na zielonych, bujnych pastwiskach środkowych hrabstw. Prócz tego gęsi, nierogacizną i półtorasta tysięcy indyków rocznie wytłacza koleiny na gościńcach po drodze do londyńskich rzeźni.

Fatalny stan dróg opóźnia ruchy wojsk księcia Cumberlanda, generała Wade'a, Sir Johna Ligoniera jeszcze więcej, niż nawykłych do górskich przepraw Szkotów. Anglików obciąża dodatkowo artyleria i bagaże. Konie w jeździe potykają się i często łamią nogi na złodowaciałych wybojach.

Karol Edward świeci przykładem entuzjazmu, wytrwałości, dobrego humoru. Nie znać po nim zmęczenia. Nie zgadza się jechać konno, maszeruje na czele klanów, z nieodstępną Klementyną idącą tuż za nim, jak terrier za swym panem. On pierwszy wchodzi do wody przy przeprawie brodem przez rzekę, gdzie zanurza się aż po pas, a jego kilt unosi się na powierzchni wody, jak wielki kwiat. Nie zatrzymuje się dla południowego posiłku. Jego jedynym odstępstwem od zasady dzielenia wszelkich niewygód z żołnierzami jest nocleg pod dachem. Nie zawsze można znaleźć kwatery na noclegi dla wszystkich. Jedni spiąją w stodołach, pod stogami siana, albo zwyczajnie pod żywopłotem, otuleni w swoje kraciate pledy. Sir Thomas Sheridan oznajmia, że jeżeli księżę będzie spiał pod gołym niebem, to i on także. Jest to prawie pewna śmierć z przeziębienia dla człowieka w jego latach.

Tak więc, co noc zajmuje się kwatery w oberży lub jakimś domu dla księcia i kilku starszych mężczyzn — gubernera, Atholla, Perth, Glenbucketa — i dla dwóch dam, Jennie Cameron i pani Murray. Karol Edward udaje się na spoczynek o jedenastej, polecając Klementynie uderzać w drzwi o czwartej rano.

Nadzieja zwycięstwa, powodzenia, utrzymuje go w stanie euforii.

I chociaż wielu wodzów klanowych powątpiewa w nadzieje i potrząsa głowami nad jego lekkomyślnością, to jed-

nak wielka masa górali w klanach zaraziła się jego dobrym humorem i odwagą.

— Nasz ksiązę sypia na słomie — powiadają — obiad po trafi zjeść w cztery minuty, a wygrać bitwę — w pięć!

Trochę w tym romantycznej przesady, ale dobrze świadczy o umiejętności księcia w dowodzeniu ludźmi. Bardzo cenna zaleta. Szkoda tylko, że nie prowadzi swoich ludzi z lepszym wyczuciem rzeczywistości.

Tuż za granicą hrabstwa Lancashire, Lord Elcho, jadący z oddziałem jazdy na czele pochodu, trafia na wędrownego przekupnia z obładowanym koniem. Po rozmowie Lord Elcho decyduje, że warto by było zabrać go do księcia. Przekupień jest wysoki i niesamowicie chudy, jak przystało człowiekowi, który przewędrował pieszo wszystkie północne i środkowe hrabstwa Anglii, przyjmując Manchester jako bazę. Ma śniadą cerę i zmarszczki w kącikach oczu od ciągłego mrużenia powiek w słońcu i zimowych wiatrach. Wokół ust linie, świadczące o często goszczącym na tej twarzy uśmiechu. Nosi dziwną odzież, zbieraninę różnych podniszczonych płaszczy i kurtek, a na nogach owijacze.

— Skąd przychodzisz? Dokąd idziesz? I czym się zatrudniasz, mój zacny człowieku? — pyta ksiązę. Wędrowny przekupień — to nowość dla niego.

— Trudnię się wszystkim, co się komu może przydać — brzmi odpowiedź. — Noszę polecenia z jednej miejscowości do drugiej. Piszę listy tym, którzy pisać nie umieją. Rolnikom przynoszę wieści, gdzie można kupić i sprzedać bydło. Zapobiegliwej gospodyni przynoszę statki gospodarskie. Córce modę miejską, a synowi jedyne tchnienie wielkiego miasta, jakiego w swym życiu zazna.

— Widzę, przyjacielu, że służysz wszystkim i jesteś do wszystkiego. A jakie wieści masz dla swego suwerena i regenta?

— Jakież wieści dla takich, jak wasza ksiązęca wysokość, mógłby dostarczyć taki, jak ja, który wędruje po wyschłych la-



tern korytach rzek, po osypanych śniegiem wzgórzach zimą, a umierając, może nagłą i niespodziewaną śmiercią ze zbójceckich rąk, nie pozostawi nic, prócz objedzonej przez ptaki garstki kości, które ktoś kopnie do kamieniołomu?

— Czy jesteś jakobitą?

— Jestem dla każdego tym, czym chce mnie mieć, wasza książęca wysokość!

— Więc może szpiegujesz na rzecz hanowerskiego uzurpatora?

— Szpieguję, gdzie jest coś do wyszpiegowania, wasza książęca wysokość. Bóg dał mi oczy. Handluję, gdy mogę, a gadam, gdy nic utargować się nie da. Bóg mi dał uszy i język. Nikt nie traci na tym, że przychodzę. Ale ci, którzy nie kupują, ani nie słuchają moich nowin tracą, gdy odchodzę.

— Masz z pewnością nowiny, które mi się przydadzą. Gzy dalej na południu są zwerbowane oddziały milicji? Gzy są tam oddziały regularnego wojska?

— Regularnego wojska widziałem niewiele, wasza książęca wysokość, tylko parę patroli, chyba oddalonych od swoich jednostek, bo w strachu. Wypytywali mnie, jak i wy, lecz odpowiedzi na ich pytania nie znałem. Co do milicji, to zwerbowano ją, lecz później rozpuszczono znowu do domów. Nie mogłaby zresztą was zatrzymać, a jej oficerowie — tchórze, moim skromnym zdaniem — powiadali, że ich interwencja tylko by was zaopatrzyła w broń, wasza książęca wysokość.

— Jakie są przygotowania do naszego przybycia?

— Parę mostów wysadzono, drogi zabarykadowano.

— Jeśli cię teraz puszczyć wolno, czy nie zanieziesz moim nieprzyjaciołom wiadomości o naszym stanie liczebnym?

— Idę tam, skąd wy przybywacie, wasza książęca wysokość. Jakież mógłbym mieć wieści, które by nie były już znane?

— Gotową masz na wszystko odpowiedź. A więc czy wy pijesz za zdrowie króla za morzem?

Książę dobywa z kieszeni oprawną w srebro flaszkę. Oczy domokrażcy zabłyśły.

— Wypiję każde zdrowie, byle trunek był zacy — odpowiada uczciwie. — Słowa nikomu nie zaszkodzą, a trunek mi z pewnością dobrze zrobi.

Karol Edward uśmiecha się i podaje mu flaszkę. Domokrażca wznosi toast i zapytuje:

— A czy flaszkę mogę zatrzymać na pamiątkę, wasza książęca wysokość?

Tu wtrąca się Lord Elcho.

— Bezczelny jesteś! Uważaj, byś się ze smakiem chłosty nie zapoznał!

— To by też nie było po raz pierwszy, moje plecy mogą o tym zaświadczyć — odpowiada nieporuszony domokrażca.

Książę parska śmiechem.

— Nie bądźmy tak surowi dla niego, jest zabawny. Tak, możesz zatrzymać tę flaszkę. I powiedz swoim przyjaciółom i kompanom, że to zadatek bogactw, które im się przymnożą, gdy mój ojciec powróci na swój tron. Z Bogiem, przyjacielu i dobrego handlu!

Gdy już wszystkie szkockie wojska przemaszerowały, domokrażca wyprowadza swego konia z powrotem na wyboistą drogę. Podnosi znowu do ust flaszkę. Najpierw:

— Zdrowie króla Jerzego, żeby się zabezpieczyć.

— I drugi raz:

— Oby piekło pochłonęło oba wasze domy.

Ten ostatni toast wydaje się odzwierciedlać nastroje więszości ludzi w tym kraju, przez który teraz klany maszerują. W niewielu domostwach ojcowie i synowie czyszczą zardzewiałe stare szable, wyjmują sportowe myśliwskie strzelby, schowane na zimę. Bardzo niewiele żon, sióstr lub narzeczonych namawia mężczyzn do wojaczki — po tej czy tamtej stronie. Wieśniacy gapią się na odzianych, w kraciaste kilty wojowników z północy, na ich prymitywne tarcze i szable z rękojeściami z wikliny. Czasem odezwą się wiwaty na cześć śmiałego i urodziwego księcia, który wszystkich wesoło pozdrawia gestem ręki i uśmiecha się do każdej ładnej twarzyczki. W miastach

uznają za przezorniejsze bić w dzwony, nawet rozpalic ogniska wieczorem. Nikt nie myśli o oporze ani też o udzieleniu pomocy. Oberżyci i farmerzy liczą sobie wygórowane sumy za noclegi.

Pod rządami Jerzego II religia poddanych jest zabezpieczona. Istnieje też swoboda przekonań politycznych w większym stopniu, niż ich przodkowie mieli kiedykolwiek pod panowaniem któregośkolwiek ze Stuartów. Klasy średnie prosperują. Na wsiach jeszcze nie widać pauperyzacji, która by obniżyła standard życia większych grup wieśniaków do poziomu najętych parobków. Nie ma też dostatecznie rozwiniętego przemysłu, by stworzyć liczną, uciskaną i niezadowoloną klasę robotniczą. Mogłoby być lepiej, ale też mogłoby być gorzej. Nikt nie ryzykuje oporu wobec księcia. Z jakimi siłami? Z drugiej strony nie oczekują po nim i po jego ojcu niczego, co by im kazało walczyć u jego boku. „Niech piekło pochłonie oba wasze domy!”

„Lancashire i cały zachód Anglii to wylęgarnia jakobitów”; „Katolicy tylko czekają hasła, by poderżnąć gardła protestantom”. Teraz się jawnie okazuje, jak bezzasadne są te stare banały. Niejeden z tych, który we własnym domu, przy kominku i po paru kielichach wyrażał sympatię dla króla Jamesa i deklamował o powstaniu, mógł być nawet szczery w owej chwili, ale jednak nie na tyle naiwny, żeby na serio zabrać się do działania. Pod szorstkimi, okrągłymi czapkami więcej się kryje zdrowego rozsądku, niż pod niejedną koronetą.

Przed czołem posuwającego się naprzód pochodu robi się trochę ruchu antyjakobickiego. Przeprowadza się rewizje w podejrzanych domostwach w poszukiwaniu nielegalnej broni. Zakrystianie chowają srebra kościelne — lichtarze, kielichy, tace. Urzędnicy wzywają katolików do składania przysięgi na wierność panującemu monarsze i odsyłają ich przed sąd w razie odmowy takiej przysięgi. W Manchesterze sąd ogłosił niejakiego Johna Hiltona winnym „wypicia toastu za zdrowie Pretendenta” i skazał go na „przywiązanie do słupa Złoczyń-

ców, obnażenie do pasa i wychłostanie". Taka surowość tłumi w zarodku ewentualny entuzjazm dla sprawy restauracji Stuartów.

Wodzowie klanów „zobaczyli" — jak im to przepowiadał książę — zobaczyli rzeczywistość: dezercje i brak nowych rekrutów oznaczają zmniejszanie się i tak znikomych szans powodzenia. Tylko Karol Edward nie widzi nic. Ma wzrok utkwiony w miraż: dachy i wieże Londynu, symboliczny pałac św. Jamesa, siedzibę królów. Jest dobrotliwy dla domokrażców, co jest zaletą księcia. Ale jako wodzowi, brak mu rozsądku i talentu.

Lord George Murray stara się ukryć rzeczywistość, którą sam dostrzega aż nadto wyraźnie, rozsiewając wśród klanów pogłoski, że idą do Walii, gdzie szykuje się już powstanie, gdzie zbrojne oddziały ochotników przyjdą im z pomocą, i ku wybrzeżom, gdzie już lądują francuskie wojska. Te same pogłoski rozpowszechnia się we wsiach i miasteczkach, przez które rebelianci przechodzą. Anglicy nie uważają się tych wieści zignorować. Niszczą mosty i drogi, prowadzące z Manchesteru do Walii.

Istnieje rzeczywiście grupa wodzów klanowych, którzy mniemają, iż marsz do Walii byłby najlepszym strategicznie wyjściem. Powiadają, że Walijszczyki zawsze są gotowi do utarczki z Anglikami. I książę mógłby ovladnąć wybrzeżem i portami walijskimi. Można by tu założyć umocnioną bazę wypadową, skąd dałoby się zorganizować szybki i potężny najazd na Londyn. Ale Karol Edward nie chce słyszeć o żadnym zbaczaniu w tym rodzaju. Utkwił wzrok w miraż...

Dalsze postępy. Wysłany przodem podjazd zarekwirował w Manchesterze kwatery dla dziewięciu tysięcy żołnierzy. A dnia 29 listopada klany wkraczają do miasta paru bramami, by podkreślić wrażenie liczebności. Największy oddział prowadzi sam książę, otoczony tym razem przez niewiasty: amazonkę Jennie Cameron po prawej ręce, panią Murray z Broughton po lewej, a Klementynę, oczywiście, tuż za nim. Następ-

nie tuzin dygnitarzy. Kobziarze z zapalem wygrywaja tradycyjna melodie:

„Krol znowu osiadzie na swoim...”

Karol Edward wierzy, ze ten zwrot oznacza, iz krol ziasidzie na swoim dziedzicznym tronie. Coraz wiecej jego stronnikow — przeczorniejszych — dochodzi do przekonania, ze slowa piosenki znacza, iz krol znowu osiadzie na swoim wygnaniu.

Nie zwlekać w Manchesterze, nie marudzić, nalega książe. To starożytne miasto sięga początkami, według zapisków kronikarskich X wieku, a w wieku XIV było już ośrodkiem tekstylnym, gdzie warczały przędzalnie, szumiały młyny i huczały warsztaty. W XVII wieku tkano tu również płótna, przedcsonawę. Przemysł się rozwijał, ale i tak Manchester musiał czekać jeszcze 80 lat, nim zezwolono mu wysłać własnego przedstawiciela do parlamentu. Miasta przemysłowe jeszcze nie zyskały znaczenia na scenie politycznej Anglii. Własność ziemska, rolnictwo, to się liczy i tym interesom podporządkowane są wszystkie prawie wysiłki polityczne.

Bez zwlekania, powiada książe. Dalej, dalej. Prędzej, prędzej! Ale proszę zatrzymać się na chwilę, mości książe! Trzeba! Rekruci. Tak, dwustu mieszkańców miasta, nazwawszy się górnolotnie „Regimentem Manchesterskim”, pod pułkownikiem Townleyem, przyłącza się do klanów. Gdyby ich było dziesięć razy więcej, nie mógłby ich książe witac z większym entuzjazmem. Zważywszy, jak niewiele ma sposobności witania nowych rekrutów, można mu wybaczyć lekką przesadę w ocenianiu ich wartości. Dwustu!

Wojsko szkockich górali nie zwiększa liczebności, nie osiąga niczego konkretnego, prócz zniszczenia butów szybkimi pochodami. Ale rzeczywiście porażają strachem serca zamożniejszych mieszkańców zachodniej Anglii. Liverpool, o 50 km na zachód od Manchesteru, najważniejszy port morski dla rozwijającego się od niedawna handlu niewolnikami, prowadzonego między Afryką a Nowym Światem, popada w panikę. Pewien urzędnik donosi do Londynu:

„Nasza sytuacja jest krytyczna, ponieważ jesteśmy tu zbyt zamożni, by uniknąć kontrybucji albo grabieży, albo i jednego i drugiego. Kobiet w mieście już się prawie nie widzi, powyjeżdżały... wartościowy dobytek przeniesiono na statki, stojące pod osłoną dwóch okrętów wojennych... Ceny za wynajmowane pomieszczenia we wszystkich wioskach na drugim brzegu rzeki Mersey skoczyły w górę niewiarygodnie... (Można polegać na tym, że naród sklepikarzy wykorzysta taką sposobność zarobku, jak ludzki strach). Żadne słowa nie mogą odmalować paniki, jaka ogarnęła ludzi: przez całą noc bez przerwy ładowano dobytek na wozy i wywożono... towarów już nie ma w żadnym prawie sklepie... Postęp rebeliantów napęla przerażeniem wszystkie serca”.

I nic innego prócz dwóch okrętów wojennych do obrony przestraszonej ludności. Generał Wade nadal jest na północy. Sir John Ligonier nadal w hrabstwach środkowych. Tam przyłączył się do niego i objął naczelne dowództwo Cumberland z dziesięciu tysiącami żołnierzy. Razem mają pięć razy więcej, niż książę. Ale chytry Lord George nie pozwoli im przybliżyć się tak, by mogli wydać bitwę.

Teraz jednak i on i książę mają nie łąda orzech do zgryzienia. Pochód na południowy wschód z Manchesteru musi się natknąć na przeważające siły Cumberlanda. Postanowiono jak najdłużej utrzymywać Anglików w mniemaniu, że książę zmierza do Walii, by tam oczekiwać posiłków. Lord George zadaje sobie niemało trudu, by te błędne mniemania rozpowszechnić.

Zabiera się z wielkim rozmachem i hałasem do wznoszenia drewnianych mostów pontonowych w miejsce tych, które Anglicy wysadzili w powietrze, by przeszkodzić rebeliantom w połączeniu się z domniemanymi walijskimi poplecznikami i francuską odsieczą. Padają drzewa, prowadzone są deski, belki, liny, łańcuchy, gwoździe, narzędzia. Najmuje się robotników, cieśli. Zażądano, by miasto Manchester dostarczyło na własny koszt pochodni do oświetlania całonocnej pracy i piwa dla robotników.

Gdy tylko skończono pierwszy most, jazda Lorda Elcho i oddział piechoty przeprowia się i rusza do Altrincham, małego miasteczka o jakieś dwanaście kilometrów na południowy zachód od Manchesteru. Dotarli tam, głośno opowiadają o wielkiej liczbie górali, która przeprowia się nowym mostem do Walii. Gdy tylko wiadomość ta dociera do księcia Cumberland, ten wysłał większą część swych wojsk na zachód.

Lord George uśmiecha się pod wąsem i kieruje główne siły powstańców z księciem na czele na południowy wschód gościńcem przez Macclesfield i Derby do Londynu. Z Macclesfield znowu wysłał dla zmylenia oczu dywersyjną kolumnę na zachód. Ten oddział natyka się na konny podjazd angielski, odpędza go i znika. Wykonał swoje zadanie: — „potwierdził”, że klany idą na Walię. Tymczasem główne siły idą forsownym marszem naprzód, na południowy wschód. Księżę Cumberland znowu musi zgadywać — lecz nie zgadnie.

Wszystko bardzo piękne, ale niestety, mija się z celem. Lord George sam wie dobrze, że popełnił fatalny błąd. Wiedzą też o tym klany. Nie wie tylko księżę. Bo przecież nawet gdyby górale dotarli do Londynu — jest ich o wiele za mało, by zdobyć stolicę. Na polach Finchley Common, o dwanaście kilometrów na północ od katedry św. Pawła, rozłożyło się obozem trzydzieści tysięcy ochotników, czekając na jakobitów, którzy powinni byli co prędzej zawracać z powrotem do Manchesteru, zamiast kręcić się wokół księcia Cumberlanda o niezbyt lotnym umyśle. Te wszystkie zgrabne manewry, to budowanie mostów, marsze i kontrmarsze są właśnie tylko zgrabnymi manewrami, które niczego osiągnąć nie mogą. Płód genialnego umysłu, ale zrodzony martwy. Klanów za mało!

Lord George rozumie to — ale w Londynie jeszcze tego nie pojęli. Różne sposoby, przedsięwzięte, by wywrzeć wrażenie większej liczebności wojsk powstańczych, w rzeczywistości zmniejszonych wskutek dezercji do czterech tysięcy, nie pozostały bez wpływu na nerwy Londyńczyków. Zamożniejsi mieszczanie, jak w Liverpolu, zbierają kosztowności i uciekają na

wybrzeże. Ceny akcji rządowych spadają gwałtownie. Sklepikarze sprzedają towary po zawrotnych sumach mieszkańcom, oczekującym oblężenia, okupacji. Gazety zamieszczają artykuły z napaściami na pretendenta i papieża. W teatrach wystawiają antypapistów sztuki, z których jedną napisał najpopularniejszy autor owej chwili, Henryk Fielding.

Jest jednak jedna osoba w Londynie, która — trzeba to przyznać — nie poddaje się żadnej panice. Gdy ktokolwiek wspomni o inwazji rebeliantów albo o pretencji w obecności króla Jerzego, ten wydyma wzgardliwie swoje nalane, obwisłe policzki, gestykuluje niecierpliwie i woła:

— Pfuj! Nie wspominajcie mi nawet o tych głupstwach!

Być może jego pogardę pogłębia świadomość, że rząd na wszelki wypadek trzyma dalekomorski jacht w pogotowiu dla niego na Tamizie, tuż przy stopniach Tower of London od strony rzeki.

Gdyby strwożeni mieszkańcy Londynu mogli w tej chwili zobaczyć wojsko szkockich górali, obszarpane, kulejące, tak wymęczone, że prawie nikt na nogach się nie mógł utrzymać, które właśnie wkracza do Derby, byłoby równie wzgardliwi, jak król Jerzy.

Derby jest miastem jeszcze starszym od Manchesteru. Jego kroniki sięgają drugiej połowy X wieku. Tu są wytwórnie jedwabi i bielizny, garbarnie, białoskórniczo i prosperują tartaki. Według pogłosek, ludność tutejsza miała ponoć sympatie pro-jakobickie. Ale mieszkańcy ani jednym wiwatem nie darzą znużonych górali. Księżę zamierzał tutaj w obecności urzędników miejskich i ławników, proklamować króla Jamesa Trzeciego angielskiego i Ósmego szkockiego — panem i władcą z bożej łaski. Nie można tego przeprowadzić. Urzędnicy, dygnitarze miejscy, wszyscy przezornie wynieśli się z miasta, aby nie być zmuszonym do postępów, za które później mogliby ciężko odpokutować. Górale mszczą się. Wyczerpanie i świadomość nieuniknionej klęski złamała dyscyplinę klanów. Żołnierze bezczelnie wchodzą do sklepów, znieważają mieszczan,



zabierają, co im potrzeba bez płacenia, szukają kłótni, włączają się grupami, piją na umór i kładą się na ziemi, chociaż grudniowa pogoda chłodna jest i dżdżysta. Grożą szablą i pistoletem własnym oficerom i sierżantom, którzy próbują sytuację opanować.

Wszelki entuzjazm znikł. Słychać tylko narzekania. Nawet kwatermistrz O'Sullivan i adiutant James Johnstone narzekają na księcia. Rozrzutnie wydaje pieniądze, których nie posiada i wbrew kontrybucjom, wbrew ściąganiu podatków skarb wciąż świeci pustkami.

— Płacił piętnaście gwinei dziennie — skarży się O'Sullivan — za wynajęcie tego domu w Carlisle, gdzie nawet nie zadbano o węgiel na opał i świece i uparł się, żeby dodać jeszcze pięć gwinei służbie!

Klementyna śpieszy z obroną:

— Jego wysokość powinien wszędzie zyskiwać sobie przychyłność...

— A dziesięć gwinei za dom tej kobiety w Wigan — wtrąca Johnstone. — Za jedną noc! Kobieta była młoda i urodziwa, przysnąła. Nie wiem, co za przychyłność księżę sobie tam zyskał...

Klementyna jest obrażona, może zazdrosna.

— Ta kobieta nie spała owej nocy w swoim domu. Mogę przysiąc na to, ja pilnowałam jego drzwi...

Klementyna ostrzega księcia o tym, co słyszała:

— I wodzowie i górale z klanów powiadają, że dalej nie pójdą, wasza księżęca wysokość... Nalegają, że trzeba zawrócić...

Księżę tylko się śmieje.

— Zmęczeni są. Wypoczną przez noc, podjedzą sobie rano i znowu będą, jak dawniej. Zawrócić? Gdy przed nami droga do Londynu stoi otworem?...

Ale co z drogą — za nimi? Czy długo będzie stała otworem? Może lepiej przejść jeszcze raz, dopóki czas.

Wśród klanów panuje nastrój zniechęcenia. Wodzowie

widzą, jak patrzy im w twarz klęska, prześladowania, hańba, szubienice. Ale romantyzm i sentyment jeszcze niezupełnie wygasły.

W Derby mieszka pewna stara dama, pani Skyring. Pochodzi z rodziny, która była rojalistyczna jeszcze w czasach wojny domowej, wyklinała Olivera Cromwella, pozostała wierną stronnictwą Stuartów. Od 1688 r., gdy dziad Karola Edwarda, James II został zdetronizowany i wygnany z Anglii, ojciec pani Skyring corocznie przekazywał bezimiennie połowę swego dochodu na rzecz wygnanej rodziny królewskiej. Po śmierci ojca, jego córka i dziedziczka, pani Skyring skrupulatnie przestrzegała tej samej wspaiałomyślnej praktyki.

Teraz pani Skyring przybywa do kwatery księcia. Ujawnia anonimowość corocznego daru swego ojca. Prosi, by syn królewski zechciał ją przyjąć. Chciałaby ofiarować mu mały dar. Karol Edward przyjmuje ją natychmiast, z całym swoim wrodzonym wdziękiem, uśmiechnięty, serdeczny. Jego gość to staruszka, drobna, zasuszonej, prawie bezzębna. Ale w jej postawie, w sposobie jakim unosi siwą głowę, jest wrodzona godność.

Pani Skyring klęka. Natychmiast książę chwyta ją za rękę, prosi, by powstała, pomaga jej się podnieść. Staruszka w ręca mu duży, skórzany portfel, mocno wypchany.

— Moja biżuteria, klejnoty, srebra stołowe, wszystkie wartościowe przedmioty, jakie posiadałam — powiada — sprzedane... w tym portfelu to, co za nie dostałam... do dyspozycji jego książęcej wysokości...

Prawnuk Jana Sobieskiego jest głęboko wzruszony, do tego stopnia, że jąka się w swoich podziękowaniach. Pani Skyring cytuje słowa psalmu:

— „Teraz puść sługę twego w pokoju...”

Uczyniła co mogła, oddała wszystko. Wychodzi z pokoju, cofając się tyłem.

## *Rozdział XII*

### **„TAK MAŁO PRZYJACIÓŁ!”**

Czarny Piątek.

Pan pozwolił odejść swemu słudze — pani Skyring — w pokoju. Karol Edward, opuściwszy Derby, pomaszerował tak szybko, jak tylko klany iść potrafią, ale nie do Londynu, lecz na północ, do Szkocji. Dowiedziawszy się o tym, pani Skyring pada martwa.

Zmiana planu nie powstała z woli księcia. Poprzedniego dnia rano, we czwartek 5 listopada, książę wezwał radę wojenną, by rozstrzygnąć ten strategiczny problem, a mianowicie:

— Czy mam wkroczyć do Londynu pieszo czy konno, w stroju szkockim czy angielskim?

Jak mało ten błędny rycerz rozumiał grozę własnego położenia! Trzydzieści tysięcy uzbrojonych ludzi pod Londynem oczekuje nadejścia czterech tysięcy. I nie mniejsze liczebnie wojska nadciągają, by zagrozić od północy i od zachodu. Małą armię w szybkim pochodzie trudno otoczyć. Ale z chwilą, gdy się zatrzyma, będzie zgubiona. Lord George Murray bez ogródek określa sytuację:

— Wybór nie polega na tym, czy „zwyciężyć lub zginąć, ale czy „zawracać lub zginąć”.

Książę zrywa się na równe nogi, w wybuchu niepohamowanej pasji obsypuje Lorda George'a wymysłami ze swego wcale barwnego słownika.

— ...zdrajca... jestem zdradzony... oby cię piekło pochłonęło...  
idę na Londyn, nikt mi w tym nie przeszkodzi...

— I ja z waszą wysokością — dodaje Jennie Cameron.

— I ja — mówi Diuk Perth.

Ale tylko tych dwoje. Pozostali wodzowie klanów stawili czoła księżęciu wybuchowi gniewu. Podtrzymuje ich Lord George. I nawet Atholl:

— Taktyka lorda George'a, chociaż świetna, nie może za stąpić braku żołnierzy. Naszym szyjom grozi pętla. Z każdym dalszym krokiem pętla się zaciska mocniej...

Nawet płomienny Keppoch oświadcza:

— Ratunek dla sprawy waszej księżęcej mości leży w Szkocji i tylko w Szkocji. Anglia to śmiertelna pułapka...

A Lochiel „Łagodny”:

— Wasza księżęca mość może nas lżyć wszelkimi wyzwiskami — to szaleństwo trwało już dość długo...

Uparte szaleństwo!

Tym razem nie dadzą się uwieść księżęcej śmiałości, historycznym wezwaniom. Nie sprzeciwiali się tworzeniu historii, jeśli historię stworzyć mogli. Ale nie mają ochoty tworzyć legendy, ginąc dla przegranej sprawy, grzebiąc nadzieję, zamiast ją budzić.

Książe opanowuje się z trudem i usiłuje argumentować:

— Niebezpieczeństwo odwrotu jest większe od niebezpieczeństwa dalszego pochodzenia naprzód.

Lord George odpowiada spokojnie:

— Ja biorę odpowiedzialność za bezpieczeństwo naszego odwrotu. Podejmuję się dowodzić tylną strażą i chciałbym, aby każdy pułk kolejno szedł ze mną w tylnej straży.

Karol Edward pojmuję, że już nie czas na argumentowanie. Wychodzi z pokoju bez słowa.

To nie regularne wojska angielskie, ani też milicja skrupowana biurokracją, ani niezdecydowany, chwiejny rząd nakazał zawracać rebeliantom. To angielskie tradycyjnie jakobickie rody i katolicy. To oni, nie przychodząc z pomocą powstaniu,

jasno dowiedli wodzom klanów i pojętniejszym spośród górali także, że w Anglii nie osiągną trwałego sukcesu. Samuel Johnson, „Wielki Chan” angielskiej literatury, autor pierwszego angielskiego słownika, podówczas trzydziestosześcioletni i jawnie zdeklarowany jakobita — na zasadzie dziedziczności, nie z poczucia realizmu — tak się niebawem wypowie:

— Gdybym tylko przez podniesienie dłoni mógł zapewnić powodzenie Karolowi Edwardowi, nie podniósłbym jej.

On i inni angielscy jakobici rozumieją, że rycerski, uparty i zuchwały książę nie wygra sprawy Stuartów. Sukces, zdobyty z ich pomocą, byłby tylko chwilowy. Stuartowie nie są już dla Anglii. To zabytki minionej epoki. Anachronizm. Anglia wkracza w nową erę społeczną i polityczną. Chociaż ziemia wciąż jeszcze stanowi decydujący czynnik ekonomiczny i polityczny, to jednak rośnie wpływ finansistów, kupców i fabrykantów, a do ich szeregów zalicza się również sporo arystokracji i bogatszych ziemian. Król nie rządzi już parlamentem. Parlament rządzi królem — lekcja, której nie zdołali się nauczyć Karol Edward ani jego ojciec, pomimo egzekucji Karola I i wygnania Jamesa II. Chwilowe zajęcie tronu przez Stuartów musiałyby się skończyć konfliktem z parlamentem i ponownym wygnaniem. Nawet owych czterdzieści tysięcy katolików w Anglii dobrze wie, że nie mogą własnej religii nałożyć swoim uparciem protestanckim rodakom, jak jarzma na szyję. Taka próba musiałaby doprowadzić do wojny domowej, a tego Anglia zaznała aż za wiele w ubiegłym stuleciu.

Nawet teraz Karol Edward niewiele z tego pojmuje. Nie wybaczy nigdy Lordowi George'owi Murrayowi. Antagonizm, zaledwie ukrywany między romantycznym awanturnikiem a realistycznie myślącym wodzem przysporzy klanom niemało trosk.

Powiew romantyzmu...

Tego ostatniego wieczoru w Derby, gdy chmurny jak noc

książę szedł do swojej kwatery, przed drzwiami spotkał przygnębioną Klementynę Walkinshaw.

— Czy ty mnie też opuścisz? — zapytał.

— Wasza książęca wysokość, nawet gdyby ci się nie udało tym razem odzyskać tronu, ja wszędzie za waszą książęcą wysokością pójdę, gdzie go opatrność zawiedzie!

— Dzięki Bogu, że choć ktoś jeszcze wierzy we mnie. Chodź, mój przyboczny gwardzista musi wypić na tę cześć!

Wprowadza ją do swojej sypialni, wydobywa flaszkę. Pije do niej, ona pije do niego. Odkorkowuje znowu nową flaszkę.

— Czy już nie dość wypiliśmy? — pyta Klementyna.

— Muszę się pocieszyć... zapomnieć na chwilę...

Nad kielichami z trunkiem oczy ich się spotykają.

Czarny Piątek, dzień, w którym rozpoczął się odwrót. Karol Edward wspomina jeszcze jedną fortecę, która ostatniej nocy padła i oddała mu się jako zwycięzcy — bez oporu.

Pocieszyć się...

Pomimo obecności Klementyny i jej prób pocieszenia, książę przedstawia obraz najgłębszej rozpacz. Nie maszeruje już z klanami. Jedzie konno. Wstaje późno, długo po tym, gdy już wszyscy opuścili nocne obozowisko. Często południe nadchodzi, zanim dogoni maszerujących. Niepokoi to Lorda George'a: książę naraża się na poważne niebezpieczeństwo, odłączając się w ten sposób od wojsk. Ale książę zwraca się do Lorda George'a tylko wtedy, gdy to jest absolutnie konieczne. Nie wydaje rozkazów.

Dobry wódz wie, że armia w odwrocie potrzebuje jeszcze więcej starania, troski, zachęty, od tej, która idzie naprzód na skrzydłach nadziei i ufności. Tak zmieniając swoje postępowanie wraz ze zmianą fortuny, Karol Edward ujawnia, że nie nadaje się zupełnie na wodza wielkiego przedsięwzięcia. Jego złe humory przypominają niedojrzałego chłopca, zawiedzionego w próbie odpedzenia innych chłopców od ulubionego pagórka.

Klany rychło dostrzegają zmianę w nastrojach księcia. Narzekają w marszu.

- Ze szkockich gór do środka Anglii — na darmo...
- A teraz z powrotem, taka droga!
- Co tam się dzieje z moją rodziną?
- Go z moim bydłem?
- Ostatni raz dałem się wciągnąć w taką kabałę...

Ci, którzy ich okłamywali, teraz muszą ponosić konsekwencje zdemaskowania: utratę zaufania.

- Tyleśmy słyszeli o powstaniu w Walii — gdzie ono?
- A posiłki francuskie?
- W Derby podsłuchałem w jednej tawernie, że ponoć pewien angielski admirał pochwycił kilka statków z bronią, pieniędzmi, ludźmi, które szły dla nas...

Dawna dyscyplina znikła, panuje rozprężenie, górale grabią, kradną konie, podpalają wsie, gdzie ich niegościnnie przyjęto. Do tej pory spotykali się po drodze z obojętnością; teraz ich własne postępowanie wywołuje nienawiść. Nawet burdele pozamykano i zabarykadowano przed nimi. W niektórych wsiach i miasteczkach strzelają do przechodzących z wież kościołów, z poddaszy wysokich kamienic.

Co prawda, do zabójstw zachęca mieszkańców ksiązę Cumberland. W raporcie do rządu donosi:

„Kilkunastu maruderów pochwyciliśmy i wtrącili do więzienia. Rebelianci mają tylu naszych w swoim ręku, że nie zdecydowałem się kazać ich rozstrzelać, natomiast zachęcam ludność, zwłaszcza po wsiach, by zabijali ich, jeśli się nadarzy okazja...”

Więc właściwie szkoccy górale tylko biorą odwet, gdy napadłszy na angielskiego żołnierza, zabijają go bez litości, chociaż on właśnie jest dezertorem.

Chaos w kołach rządowych ułatwił poprzednio klanom marsz na południe, teraz zaś umożliwił im odwrót. Tak nagła była decyzja, podjęta w Derby i tak szybkie jej wykonanie, że dwa dni miną, zanim książę Cumberland zorientuje się, że ścigana przezeń zwierzyna zawróciła po własnych śladach. Razem z Ligonierem puszcza się w mocno spóźniony pościg. I znowu koła rządowe ogarnia panika, ponieważ doniesiono o rzekomej koncentracji wojsk francuskich w Dunkierce. Ligonier otrzymuje rozkaz zaniechania pościgu i udania się spieszonym marszem pod Londyn. Jeżeli żołnierze jego będą zmęczeni, niechaj „zaopatry się w podwody i ładuje na nie piechotę, byle posuwać się jak najszybciej”. Ligonier odpowiada, że chociaż rzeczywiście jego ludzie są bardzo znużeni marszami i kontrmarszami, przyprowadzi ich do Londynu pieszo, bo „wiem z eksperyencji, że koni ani podwód tu nie dostanie”.

Te kłopoty z transportem są jeszcze jednym rezultatem obawy Anglików przed nadużywaniem wojska zawodowego. Spodziewano się, że ewentualnych najeźdźców powstrzyma marynarka wojenna, nie pozwalając na lądowanie obcym żołnierzom. Z tego wynika, argumentowano, że własne wojska zawodowe wewnątrz kraju nie mają co robić, chyba żeby ich użyto przeciw współrodakom. Aby temu zapobiec, parlament celowo i świadomie nie uchwalił żadnego transportu wewnątrz kraju dla wojsk, co więcej, wydał dekret, mocą którego rząd nie miał prawa dla żadnych celów i żadnymi środkami wymuszać użytkowania „wozów drabiniastych, platform konnych, podwód, powozów, wehikułów wszelakich... ani też brać siłą koni, wołów, furmanek ani bryk... bez dobrowolnej, nie przymuszonej zgody i ochoty ich właściciela...”

Bardzo użyteczne zarządzenia dla hamowania monarchów którzy zechcieliby narzucać swe rządy siłą i terrorem wojskowym. Ale w okolicznościach wyjątkowych, takich jak stworzone przez powstanie Karola Edwarda, ten hamulec działał na niekorzyść wojsk rządowych. Jedynym sposobem, jakim książę



Cumberland, generał Wade i Sir John Ligonier mogli zdobyć środki przewozu dla swoich wojsk, było wynajmowanie, jeżeli właściciele się zgodzą. Żadnego przymusu. Nie mają więc możliwości poruszać się prędzej, niż klany szkockich górali. Farmerzy uparcie trzymają się swego prawa — odmawiają wynajęcia środków przewozu. Stawki, jakie wojsko ma prawo płacić, ustalone z góry, są bardzo niskie; co więcej, właściciele koni i podwód wiedzą z minionych doświadczeń, jak trudno wydostać należność od władz. Niewiele w tym wszystkim poczucia obywatelskiego i patriotyzmu, ale zbiurokratyzowani urzędnicy także zawinili.

Lord George Murray dotrzymuje danego słowa. Nie tylko dowodzi stale tylną strażą w odwrocie, ale również osobiście prowadzi podjazdy, by zasięgnąć wiadomości o pościgu. Odwrot górali opóźnia tylko ogólne rozprężenie, brak dyscypliny. Ludzie Cumberlanda z wolna ich doganiają. Gdy Lord George rozbił obóz w pobliżu Penrith, dostrzega oddział jazdy angielskiej na wzgórzu za sobą. Nieprzyjaciel, zresztą w niewielkiej liczbie, atakuje zwiadowców szkockich, którymi są Macdonaldowie. Klan dotrzymuje pola. Lord George pośpiesznie ściąga regiment Macphersonów i atakuje Anglików od skrzydła. Wycofują się i główne siły księcia idą bez przeszkody do Carlisle.

Potyczka dodała otuchy góralom. Klany wspominają Prestonpans. I zaczynają już czuć poblizę ojczystych wrzosowisk. Im bliżej Szkocji, tym więcej nabierają ducha.

— Moglibyśmy pobić każde angielskie wojsko...

— Niechby stawili nam czoła w uczciwej, otwartej walce, a zobaczyliby...

W istocie rzeczy książę Cumberland nie jest jeszcze gotów stawić im czoła w uczciwej walce. Woli najpierw wyprowadzić ich poza granice Anglii. Argumentuje, że zadanie im poważnej klęski w Szkocji zdławi od razu w całym ich kraju ducha rebelii.

Wykorzystując bardziej bojowego ducha górali, kobziarze przygrywiają im przy wkraczaniu do Carlisle, gdzie nieliczny, pozostawiony poprzednio garnizon wita ich z poczuciem ulgi. Oczekiwano tam z dnia na dzień ataku wojsk generała Wa-de'a, który skarży się tak samo jak Ligonier na brak transportu do szybkiego przerzucenia wojsk na północ. Gdy kobziarze docierają do centrum miasta, jakiś człowiek podchodzi do księcia.

— Czy mogę prosić waszą wysokość o chwilę rozmowy?

Każdy może podejść do Karola Edwarda, każdy z nim może rozmawiać. Należy to do jego polityki — bez wątpienia słusznej — przystępnej łaskowości wobec każdego.

— O co chodzi, mój dobry człowieku?

— Wasza wysokość! Nazywam się Dacre. Mieszkamy przy sąsiedniej ulicy. Moja żona rodzi właśnie... Hałas kobziarzy dokucza jej bardzo...

— Doprawdy, biedna kobieta dosyć ma utrapienia. Nie będziemy jej przeszkadzać.

Zwraca się do kawalera Johnstone'a i poleca mu wydać kobziarzom rozkaz, by zaprzestali grać. I nie poprzestaje na tym.

Dojechawszy do swojej kwatery, książę zabiera ze sobą Klementynę i udaje się z wizytą do domu, w którym mieszkają Dacrowie. Czeką tam, rozmawiając ze stroskanym małżonkiem, aż do szczęśliwego rozwiązania. Prosi, by mu pokazano niemowlę. A wówczas zdejmuje białą kokardę z własnego beretu i poleca Klementynie przypiąć ją do pieluszek niemowlęcia.

— Bo ja mógłbym jeszcze niezręcznie urazić małego jakobitę, iżby zapłakał.

Nowy szczegół dopisany w legendzie, której tworzenie wydaje się coraz potrzebniejsze.

Przed opuszczeniem Carlisle, dnia 20 grudnia, książę wydaje osobiście rozkaz, aby pozostawiono w mieście garnizon czterystu ludzi, łącznie z regimentem manchesterskim, pod dowództwem pułkownika Townleya. Za mała to ilość, by obronić miasto przed poważnym szturmem, natomiast dość znaczne zmniejszenie wojsk księcia, już i tak topniejących z powodu codziennych dezercji. Żaden argument nie może przekonać księcia, ani nakłonić go do zmiany decyzji. Pomimo swej wizyty w domu położnicy, książę jest nadal w złym humorze. Jego autorytet poderwano w kwestii zasadniczej: naprzód czy wstecz? Teraz postanowił utwierdzić swoją władzę w sprawach mniejszej dla niego wagi, takich jak pozostawienie czterystu dzielnych ludzi na łaskę nieprzyjaciela, który im tej łaski nie okaże.

Carlisle pada w kilka dni po odejściu głównych sił księcia. Artylerię generała Wade'a przyciągnęły konie, należące do biskupstwa Newcastle. W ciągu podwójnego marszu przez Anglię powstańcy stracili — w zabitych lub chorych — tylko czterdziestu ludzi, nie licząc oczywiście dezercji. Ale teraz procesy trwają po dwa tygodnie. Wszystko według litery prawa i oskarżeni nie mają podstaw do obrony. Muszą ponieść karę, przewidzianą za bunt i zdradę stanu. Dwunastu oficerów, między innymi pułkownik Townley z Manchesteru zostaje skazanych na ćwiartowanie i powieszenie. Ponad stu na dożywotnie ciężkie więzienia, reszta na wieloletnie więzienie... „Niektórzy z wiernych górali będą stać u boku waszej książęcej wysokości, ale ilu padnie u waszego boku?” Król Jerzy i jego ministrowie podpisują fatalne wyroki. Ale wyrok wydał — po prostu ze złości i z przekory — sam książę Karol Edward.

Ci spośród skazanych, którzy byli Szkotami, ponieśli śmierć już o kilka kroków od własnego kraju. A poświęcenie tych, którzy obrali drogę „doliną”, poprzez grób, dało początek uroczej „Balladzie znad jeziora Lomond”, która weszła do skarbca zarówno pieśni angielskich, jak i szkockich:

*„Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,  
A ja doliną  
I będę w Szkocji przed tobą,  
Ale mojej miłości nie spotkamy już...”*

Gdy Karol Edward podchodził do Glasgow, humor mu się cokolwiek poprawił.

— To miasto dostarczyło dziewięciuset ludzi do wojsk hanowerczyka — powiada do pułkownika O'Sullivan. — A ani jednego dla mnie! Niechaj płacą za to. Nałóż na nich ciężkie kontrybucje.

Tak się stało, a za swoje pieniądze mieszkańcy Glasgow bywają wpuszczani do wielkiej sali, gdzie dwa razy dziennie Piękny Książę Charlie zasiada ceremonialnie do posiłków ze swymi oficerami. Za jego wysokim krzesłem stoi z obnażoną szablą w dłoni jego wierny gwardzista przyboczny. Włosy odrosły Klementynie i opadają teraz prawie do ramion, oczy lśnią niezwykłym blaskiem, szczęście maluje się w każdym rysie pięknej twarzy. Jej stosunek z Karolem Edwardem jest oczywiście publiczną tajemnicą. Niejeden z tych, co się przyglądają, szturcha sąsiada łokciem, wskazując w jej stronę. Klementyna nie zna, co wstyd. Jest dumna, nie tylko dlatego, że została kochanką uwielbianego księcia, ale i dlatego, ponieważ kocha i jest kochana.

Piękne panie z Glasgow, może zazdroszcząc Klementynie, może w nadziei, że zajmą jej miejsce, podejmują się kolejno obsługiwanie osobiście urodziwego młodego pretendenta. Ale podobnie jak w Edynburgu, głównie płeć słaba ulega jakobickim tendencjom, czy może powabom kiltów? Mężczyźni w Glasgow są zatwardziali. Pierwotne pobożne hasło ich miasta, które brzmiało: „Niechaj Glasgow rozkwita Słowem Bożym!” — skrócono realistycznie na: „Niechaj Glasgow rozkwita!” I od czasu angloszkockiej unii parlamentarnej, miasto rzeczywiście rozkwitło. Unia zapewniła szkockim portom takie same przywileje, jak angielskim i dzięki temu Glasgow

wszedł do handlu atlantyckiego. Obecnie rywalizuje już z Bristolem w handlu tytoniem, zwożąc ładunki z Wirginii, Marylandu i Karoliny własnymi statkami. Przejął, praktycznie biorąc, monopol na sprzedaż melasy, cukru i rafinady, ma koncesje na pędzenie spirytusu bez podatków. Wysyła skóry do angielskich garbarni, eksportuje poważne ilości wędzonych śledzi i łososi.

Armatorzy, eksporterzy, importerzy, destylatorzy, cukrownicy nie widzą żadnych możliwych korzyści dla siebie w restauracji Stuartów wraz z możliwością rozwiązania unii, która stanowi fundament ich bogactwa. W Karolu Edwardzie budzą wstręt. Po kilkudniowym pobycie ksiązę mówi:

— Nigdzie, gdziekolwiek bym nie był, nie zdarzyło się, bym zaskarbił sobie tak mało przyjaciół, jak w Glasgow.

Sir John Ligonier pisze do Londynu:

„Rebeliantów czeka nieuchronna zguba. Doradź wszystkim twoim przyjaciołom, by kupowali papiery rządowe. Wkrótce zyskają na wartości”.

Książę nie wierzy, nie chce wierzyć w nieuchronność klęski. Ale nieprzyjazna atmosfera Glasgow, połączona z upadkiem Carlisle, dowiodła mu, że powrót do Anglii w najbliższej przyszłości jest niemożliwy. Poważne siły strzegą teraz wszystkich dróg, wiodących ze Szkocji. Książę musi poprzestać — w dobrze zrozumianym interesie swego ojca — na tym, co powinien był zrobić od początku: umocnić swą władzę w Szkocji. A wówczas, gdy interesy Francji znajdują się w konflikcie z Anglią, co się zdarza często, Francuzi z pewnością pomogą Stuartom w odzyskaniu również tronu angielskiego. Długo trwało, nim Karol Edward to pojął; a rozumeli to od początku Lochiel, Lord George i inni wodzowie klanów. Klęska wyprawy, rozczarowanie, a nade wszystko obojętność i bezwład angielskich jakobitów i katolików przekonały wreszcie księcia. Ale czy nie za późno?

Przejmuje teraz zawiadywanie wszelkimi sprawami z rąk Lorde George'a. Sprawuje rządy osobiste i to tak dalece, że nie

zwołuje nawet swojej rady. Nie pyta o zdanie nikogo, prócz swego starego gubernera, i wcale nie wojskowego, Sir Thomasa Sheridana. Nakazuje marsz do Bannockburn, gdzie czekają go posiłki: ponad trzy tysiące niedawno zwerbowanych górali. Wodzowie czują się urażeni jego zachowaniem. Księżę nie może im wybaczyć ich buntu w Derby, chociaż ten bunt z pewnością uratował ich wszystkich, włącznie z księciem, od hańby, a być może i od śmierci. Jennie Cameron i pani Murray Broughton, znużone ciągłymi niesnaskami, znalazły powody, aby powrócić do swych domów.

Rankiem tego dnia, gdy opuszczał Glasgow, Karol Edward nie zjawia się o wyznaczonej godzinie. Pił długo poprzedniego wieczoru, położył się spać późną nocą. Klementyna nie chce go budzić. Klany ruszają w pochód, księżę ma ich dogonić później. A Lord Elcho mówi z pogardą do Clanranalda:

— Gdyby on tylko zechciał zasnąć, jak zaczarowany księżę z bajki, aby Lord George mógł dowodzić, to byśmy jeszcze mieli szansę posadzenia go na tronie.

Księżę stracił więcej niż Londyn, więcej niż koronę. Stracił zaufanie wodzów klanowych.

## **Z POWROTEM W ŚLEPY ZAULEK**

Karol Edward wkracza do Stirling i wzywa załogę zamku do poddania. W Bannockburn przyłączył się do niego Lord John Drummond, brat diuka Perth z trzema tysiącami ludzi. Są to Szkoci z nizin, nie górale klanowi i wielu z nich znalazło się w szeregach z obawy przed swym panem raczej, niż z entuzjazmu dla sprawy. Lord Lewis Gordon przyprowadził dalszych pięciuset górali z hrabstwa Glenbucket, przyłączyło się też sporo pomniejszych grup, łącznie z oddziałem pod wodzą hrabiego Cromarty. Te świeżo napływające posiłki bardzo dodają otuchy księciu, zwiększając jego armię do około ośmiu tysięcy.

Dowódcą zamku Stirling jest wytrawny stary żołnierz, surowy i nieugięty, generał William Blakeney. Pogardliwie odrzuca warunki poddania. Gdy oblężenie się zaczyna, nadchodzi wiadomość, że generał Hawley, dowódca jazdy, który zajął Edynburg po odejściu klanów, idzie w kierunku Stirling. Księżę przekazuje oblężenie diukowi Perth, dodając mu Francuza, Michela de Gordon, jako inżyniera i doradcę, a sam wyprawia się przeciw tej nowej groźbie. Tym razem bez swego przybocznego gwardzisty: Klementyna zachorowała na febrę.

Hawley chciał się, że z dwoma regimentami dragonów prze-gnałby całą armię rebeliantów z jednego końca królestwa na drugi. Ma teraz szansę. Ale gdy dnia 17 stycznia 1746 r. górale podchodzą do Falkirk, o 15 km na południowy wschód od

Stirling, angielskie oddziały, które rozłożyły się obozem na wschód od miasta, na próżno rozglądają się za swym generałem, na próżno nasłuchują jego rozkazującego głosu.

Angielskie patrole donoszą o przybliżaniu się klanów. Osiemnastoletni adiutant, James Wolfe, który w trzynaście lat później miał zapisać chlubną kartę w dziejach wojen, zdobywając Quebec od Francuzów, posyła po generała Hawleya, błagając go, by pośpieszył. Ale generałowi się nie śpieszy na spotkanie z księciem. Przebywa w Callender House, pięknej siedzibie, w słodkim sam na sam z uroczą Lady Kilmarnock. Mąż młodej kobiety, którego namiętnie kocha, walczy w armii powstańczej. Cóż więc robi piękna Lady Kilmarnock, dlaczego kokietuje wroga księcia?

Jeden za drugim nadbiegają ordynansi, informując Hawleya o nadchodzeniu rebeliantów. Generał nawet nie wydaje regimentom rozkazu gotowości bojowej. Zabierają się więc do posiłku, który przerywa gwałtowna burza, wichura, deszcz, a wśród tego rozlegają się przeraźliwe dźwięki pibrochu, bojowe okrzyki klanów i napaść tysięcy wyjących wojowników.

Lord George Murray na prawym skrzydle rebeliantów prowadzi Macdonaldów Keppocha. Dragoni na lewym skrzydle brytyjskim atakują.

— Nie strzelać, dopóki nieprzyjaciel nie podejdzie na dwaście kroków — woła Lord George.

Salwa ognia na tak bliską odległość powstrzymuje dragonów. Szeregi ich załamują się, mieszają i rzucają do ucieczki.

Na drugim skrzydle początkowo sytuacja odwrotna. Podobny atak dragonu wywołał zamieszanie w szeregach Szkotów. Karol Edward przyprowadza rezerwowe oddziały i po krótkim zmaganiu odpiera atak dragonów.

Hałas ognia muszkietowego...

Uwodzicielska Lady Kilmarnock, w głęboko wydekoltowanej sukni, rzucając powłóczyście spojrzenia spod rzęs, wydawała się zachęcać do grzesznych pieszczot i rozpałała kochliwego generała do białej gorączki. Już ją chwycił w objęcia, już rzucił



na kanapę, kiedy rozległ się grzechot ognia muszkietowego. Ocala ją — albo może siebie? Otrzeźwiony, jakby zmysły odzyskał — te inne zmysły — Hawley wypada z komnaty, z domu, jednym skokiem dosiada konia... A Lady Kilmarnock odkłada sztylet, który przed chwilą wydobyła z ukrycia za paskiem.

Generał przyjeżdża na pole bitwy pod Falkirk właśnie na czas, by zobaczyć błoto, rozpryskujące się spod kopyt jego uciekającej dragonu. Jego namiętność kompletnie teraz wystygła, więc zawraca i zajmuje miejsce generała — na czele swoich wojsk!

Lord George śle gońca do księcia.

„Błagam waszą księżęcą mość, by zechciał wydać rozkaz pościgu. Możemy rozgromić do reszty nieprzyjaciela”.

Ale księżę nie przyjmuje rad od Lorda George'a. Pościg wycofano.

Bitwa pod Falkirk nie trwała dłużej od bitwy pod Preston-pans. Klany straciły około półtorasta ludzi w zabitych i rannych. Na pobojuwisku leżało dwustu osiemdziesięciu Anglików. Rebelianci, którzy już wymykają się wszelkiej dyscyplinie, rozpaleni walką, przebiegają po pobojuwisku, dobijając rannych, kalecząc zwłoki, rabując i szukając kosztowności.

Dwukrotnie pod wodzą księcia rebelianci potykali się ze znacznymi siłami regularnych wojsk angielskich i zawsze wyszli zwycięsko, i to z łatwością, która ich napawa pogardą wobec nieprzyjaciela. Mniemają, że są niezwyciężeni. Księżę uważa się za równego swemu wielkiemu pradziadowi polskiemu. A przecież właściwym sprawcą zwycięstwa pod Prestonpans był Jock Anderson z Whitburga. A pod Falkirk?

Lord Kilmarnock galopuje do swej pięknej siedziby, Callender House i obejmując żonę gorącym uściskiem, powiada:

— Moja najdroższa, jesteś równie odważna jak i piękna! Zatrzymując tu generała, wygrałaś dla nas bitwę pod Falkirk!

Tymczasem rozgrywa się dziwne wydarzenie. Jeden z Macdonaldów z klanu Clanranalda czyści swój muszkiet. Przypad-

kiem strzela, kula trafia w samo serca Angusa Oga, syna wodza klanu Glengary. Słynny wojownik Coli z Barisdale, zastępca wodza klanu, liczącego sześciuset Glengarrich, udaje się do Karola Edwarda.

— Wasza wysokość, moi ludzie żądają w zamian życia jednego z Macdonaldów!

— Dajcie spokój, tak nie można. To nie waśń plemienna, to wojna! — mówi książę.

— Jeżeli wasza książęca wysokość nie uszanuje tradycji, nie mogę odpowiadać za moich podwładnych. Nie jedno życie wezmą, a więcej, i pójdą do domów!

Książę musi ustąpić. Clanranald, wiernie przestrzegający klanowego obyczaju, nie protestuje. Macdonaldowie ciągną losy. Nieszczęśnik, który wyciągnął fatalny los, zostaje zastrzelony z zimną krwią. Oko za oko, ząb za ząb... Ale i tak w obu klanach nadal trwa wrzenie. Stu Glengarrich opuszcza obóz. I od Clanranalda także dezercerują.

Książę nakazuje powrót do Stirling. Wodzowie narzekają.

— Zamek Stirling nie ma żadnego znaczenia...

— Po co tu marnować ludzi...

— Zaniechawszy pościgu za Anglikami, z pewnością nie warto teraz zabawiać się tym zamkiem...

Karol Edward nie kłopotuje się ani jedną, ani drugą operacją wojskową. Co innego zaprzęta jego umysł. Pozostawiwszy zwycięskie wojsko pod dowództwem Lorda George'a, odjeżdża z pół tuzinem oficerów. Spieszno mu dowiedzieć się o zdrowie przybocznego gwardzisty.

Zamek Stirling jest zbyt silną fortecą i zbyt dobrze bronioną, by rebelianci mogli go zdobyć.

Tymczasem książę Cumberland, w dwudziestym piątym roku życia już nieco otyły, rozlokowuje się w Pałacu Holy-rood, opróżnionym przed trzema miesiącami przez Młodego Pretendenta. Wydaje uczyty, przyjęcia i bale, otaczają go i schle-

biają mu te same arystokratyczne i możliwe sfery, które uznały za właściwe składać hołdy i schlebiać jego poprzednikowi. „Banda łotrów w narodzie...”

Nie tylko książę dostał posiłki. I to ze Szkocji właśnie. Hrabia Sutherland zwerbował w jednym z najbardziej na północ wysuniętych hrabstw szkockich tysiąc dwieście górali do wojny po stronie Jerzego II. „Laird” Macleod przysłał dwa tysiące wojowników z wyspy Skye. Nadciągnęły też oddziały klanów Monroe i Grant — a niektórzy z tych klanów walczą już ramię w ramię z rebeliantami — by bronić Hanowerczyków. Wielu z nich to ci sami ludzie, o których Lochiel mówił przed pięciu miesiącami, że przyłączyliby się do Młodego Pretendenta, gdyby ten ścigał Sir Johna Cope'a do Inverness i tam go zwyciężył, u wrót krainy północnych klanów.

Wbrew wysiłkom Michela de Gordon pod Stirling rozbito baterię dział obłężniczych księcia. Ten zamek kosztował powstańców więcej ofiar od bitew pod Prestonpans i Falkirk, więcej od całej wyprawy w głąb Anglii. Nie ma wyboru: trzeba odstąpić. Skaza na militarnej reputacji Młodego Pretendenta. Później nie będzie lepiej.

Lochiel, Glenbucket, Clanranald, diuk Perth, Lord John Drummond — doradzają wycofanie się na północ.

— Anglicy nadto zyskali na siłach — nalegają. — A nas coraz bardziej osłabiają dezercje, dużo też mamy chorych, nie zdolnych do walki. Lepiej iść na północ, oczekiwać nieprzyjaciela w górach, gdzie nasza znajomość okolic i doświadczenie w prowadzeniu wojny w górskich terenach będą dla nas dodatkowym poparciem.

Karol Edward, który poprzednio nie chciał ścigać generała Hawleya do Edynburga, jest innego zdania. Wpada w gniew, dramatycznym gestem tłucze głową o ścianę, krzyczy:

— Wielki Boże! Czyż też musiałem tego dożyć? Odwrót z Anglii! Teraz odwrót w głąb Szkocji! Po zwycięstwie pod Falkirk. Wkrótce nie będzie już dokąd się cofać — chyba do morza!

Proroctwo?

Ale tym razem odmiennego, niż wodzowie zdania, jest także Lord George Murray. Może po prostu przez przekorę, by się różnić od pogardzanego diuka Perth?

— Odwrót byłby strategicznym błędem — dowodzi. — Zniechęci naszych zwolenników. I czym bliżej będą klany swych stron rodzinnych, tym więcej górali będzie dezertowało. Proszę mi dać dwa tysiące ludzi, a będę strażował w hrabstwie Atholl i pošlę księcia Cumberland z powrotem do Anglii, jak obitego psa z podwiniętym ogonem.

Brzmi to jak lekkomyślne zuchwalstwo, ale Lord George uparcie obstaje przy swoim. To nie tylko przekora. Cokolwiek Lord George powie, nie może mieć słuszności w oczach księcia. Prócz tego, Piękny Charlie nie chce, by legenda owiała swym tchnieniem czyjekolwiek imię, lecz tylko jego własne. Pomimo obolałej od bicia w ścianę głowy, książę zmienia zdanie. Zgadza się na propozycje wodzów klanowych.

Siły powstańcze podzielono. Książę prowadzi górali prosto na Inverness. Wysyła Lorda George'a z ludźmi Perth'a i innymi z niższego pogórza wzdłuż wschodniego wybrzeża, przez Dundee, Montrose i Aberdeen. Tym sposobem można będzie ściągnąć kontrybucje z większej ilości hrabstw.

Lord George żąda wolnej ręki, by mógł działać, jak mu się wyda stosowne, gdy będzie oddalony od księcia. Odpowiedź jest zwięzła, bardzo królewska i na piśmie:

„Nie zamierzamy ustąpić ani na jotę z naszego autorytetu i naszej odpowiedzialności. Lord George Murray zechce się zastosować ściśle do wydanych mu instrukcji w sprawie pochodu. Dziwimy się, że jego lordowska mość usiłuje ograniczyć nasze prerogatywy”.

Pochód księcia okazuje się hazardowy i trudny. Klementyna wyzdrowiała, znowu pełni służbę jako... gwardzista przyboczny. Ostre mrozy przemieniły drogi w szkliste kaniony. Wozy taboru nie mogą przejechać. Konie wysilają się, ślizgają, padają pod nieubłagany razami bicia. Pochód przekształca się

w bezładny chaos. Zaczyna padać śnieg, wiele wozów trzeba porzucić. John Daniel, kapitan regimentu manchesterskiego, któremu udało się uniknąć pozostawienia w Garlisle, pisze w swym diariuszu:

„...Ludzi pokrywają sople lodowe, zwisające im z brwi, wąsów i bród... członki ich sztywnieją od mrozu... Łatwo stracić towarzyszy, bo drogi fatalne i śnieżyce nieustanne...”

Lord Loudon znajduje się nadal w Inverness z dwoma tysiącami górali, których tam zwerbował. Troszczy się głównie o zaopatrzenie Fortu Augusta i Fortu Williama w Wielkim Glenie. Do Fortu Augusta, na pół drogi wzdłuż Wielkiego Glenu, można się dostać tylko łądem. Karol Edward, przeszedłszy hrabstwo Perth, odcina tę linię komunikacyjną. Ale z Fortu Williama, położonego na południowo-zachodnim krańcu Wielkiego Glenu, jest dostęp do morza. Książę Cumberland decyduje, że tego fortu należy za wszelką cenę bronić. Śle ludzi, prowiant i amunicję statkami z Liverpoolu i chociaż książę wysyła wojska, by oblegały Fort Williama, ten skutecznie będzie się bronił do końca. Nawet w wojnie, toczącej się wewnątrz Zjednoczonego Królestwa, ta strona, która panuje nad morzem, ma większe szanse wygranej.

Szkoci są podzieleni. Prawie tyle samo walczą po stronie Jerzego II, co i po stronie Młodego Pretendenta. Nie ma granic terytorialnych, dzielących rebeliantów od sił rządowych. Lord Loudon werbował na rzecz rządu w górach, rzekomo siedlisku stronników Stuartów, a Lord John Drummond werbował na rzecz księcia w hrabstwie Perth, na niższym pogórzu, które miało być ponoć ściśle związane z Anglią. Cały kraj wrze. Bracia, ojcowie, synowie mogą się znaleźć na polu bitwy po przeciwnych stronach. Wielu nie orientuje się, z kim sympatyzują najbliżsi sąsiedzi. Wielu obawia się zdradzić z własnymi sympatiami. Wielu zachowuje się niczemnie, zasypuje obie strony donosami, prawdziwymi i fałszywymi, byle dostać nagrodę.

Tak więc pewnego dnia Lord Loudon płaci za informację, że klany rozłożyły się obozem na południe od Moy, o piętnaście kilometrów od Inverness, a księżę gości u wodza klanu Macintosh we dworze Moy, położonym opodal głównego obozowiska rebeliantów. Wydaje się, że Loudon ma szansę, być może jedyną, ocalenia Inverness. Wysłała tysiąc ludzi. W oberży Craggie, o jakieś sześć kilometrów od Moy, oficerowie zatrzymują się, by coś zjeść i wypić. Kilka kieliszków rozwiązuje im języki.

Czternastoletnia córka oberżysty wymyka się z domostwa, biegnie na bosaka całą drogę do Moy. We dworze Macintoshów, bez tchu, opowiada, co słyszała.

— ...mają otoczyć dwór... zaskoczyć naszego księcia... pojmać go, zanim się jego ludzie obudzą...

Macintosh budzi swego śpiącego gościa.

— W góry, mości księżu! Nie ma czasu do stracenia! Mogą tu nadejść każdej chwili!

W nocnej bielunie i pantoflach Karol Edward z Klementyną i kilku uzbrojonymi sługami wypada z domu w ciemną noc, by przepędzić długie godziny w górskiej kotlinie, drżąc z zimna.

Córce oberżysty jeszcze tego mało. Biegnie do wsi Moy, budzi zwolenników księcia, szerzy alarm.

Gdy ludzie Loudona podchodzą w ciemnościach do dworu Moy, słyszą nagle szorstkie głosy:

— Oto łotry, łajdaki, którzy chcieli porwać naszego księcia! Nie szczędzić ich! Bez pardonu! Ognia, chłopcy!

Ludzie Loudona nie mogą dostrzec swych przeciwników.

— To klany! — wołają w przerażeniu.

— Zawracać! Uciekać! Potną nas na kawałki!

Na wąskiej drodze chaos. W ciemnościach otworzono ostry ogień. Konie płoszą się, stają dęba, ranni krzyczą i jęczą. Kule dosięgły niewielu, natomiast od końskich kopyt niejeden ucierpiał w zamieszaniu. Jednakże główne siły oddziału wydostają się z zatoru na drodze, uchodzą spieszenie do Inverness.

Na gościnię, z którego uciekli w popłochu ludzie Loudona,

wychodzi kowal, kilku młodych wieśniaków i czternastoletnia dziewczyna. Stoją, i śmieją się. To ich właśnie niedoszli porywacze księcia przyjęli w ciemnościach za całą armię rebeliantów. Trzynastu mężczyzn zmusiło do ucieczki cały tysiąc.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna — powiada kowal. — Zasłużyłaś na medal i na pięknego męża na dokładkę! Ale nie powinnaś tu była zostawać. Jeszcze by cię ranili...

— Ej, warto było! — śmieje się dziewczyna. — Teraz muszę pędzić do domu. Rodzice będą się niepokoić.

Bose stopy bezszelestnie biegną po drodze.

Księżę, zaznawszy, co to znaczy być uciekinierem, następnego dnia maszeruje do Inverness. Loudon się wycofał. Czekać na przeważające siły powstańców byłoby szaleństwem. Poprowadził swoich ludzi na północ, do hrabstwa Cromarty.

Inverness cechuje prymitywny urok i nieprawdopodobny brud. Cztery ulice i trzy tysiące mieszkańców. Krzyż na rynku, a tuż obok wielki szarobłękitny głaz, zwany clach-na-cuddain, na którym kobiety opierają kosze z bielizną, wspiąwszy się z nimi stromizną od brzegu rzeki Ney, i gdzie mężczyźni się zbierają, targują, kłócą. Domy z szarego piaskowca, o zewnętrznych schodach i balkonach tak niskich, że przejeżdżający pod nimi jeździec musi się schylać nad końską grzywą. Wykute w kamieniu inicjały właścicieli domów i ich żon. Na murach wymalowane wersety z Biblii, najbardziej złowieszcze przepowiednie, ponuie psalmy. Mieszkańcy Inverness, jak się zdaje, mają ciężkie życie *tu na ziemi* i nie spodziewają się niczego lepszego na tamtym świecie. Na parterach nie ma okien, co miało być rodzajem ochrony przed dzikimi klanami w okresach feudalnych waśni.

Stolica górnej Szkocji. Przybywają tu regularnie statki z Rotterdamu; chyba że, jak obecnie, nie dopuszczają ich angielskie okręty wojenne. Z Niderlandów nadchodzi tu wino, stal na szable, koronki, srebro, aksamit, jedwabie, proch i kule, korzenie — a także szpiedzy. W zamian zabierają sól i chmiel, wołowinę i wełnę z górskich stad — i szpiegów.

Zanotowane w kronikach dzieje miasta — przeważnie krwawe — sięgają początkami VI wieku. Na zamku James I szkocki zwołał parlament w XV wieku i kazał ściąć trzech wodzów z północy, którzy mieli czelność zażądać udzielnej władzy. A na zamku, który stał na tym samym miejscu poprzednio, Macbeth ponoć zamordował Duncana.

Najwięcej zwraca uwagę księcia nie historia tego miasta, ani jego urok, lecz odór. Pomyje, ścieki, brudy, opróżniane na ulice nocne naczynia zatrują w wąskie uliczki i zaułki. Gdy książę sugeruje, że należałoby zająć się utrzymywaniem czystości w mieście, jeden z rajców miejskich odpowiada beztrzesko.

— Proszę się nie kłopotać, wasza książęca wysokość — za nosi się na deszcz!

Dnia 18 lutego Karol Edward przenosi się do wygodnego, czystszeo i zdrowszego dworu Gulloden, opuszczonej siedziby Duncana Forbesa. Tam czeka na przybycie Lorda George'a Murraya, który istotnie nadciąga, a książę Cumberland tuż za nim, depcąc mu po piętach.

Lord George dowiedział się, że hrabstwo Atholl i północne. skąpo zaludnione okolice hrabstwa Perth są w ręku wojsk rządowych. Zamek Blair, siedziba wodzów Atholl, została zajęta i umocniona przez Sir Andrzeja Agnew. Lord George, wbrew wyraźnym instrukcjom, nie może się oprzeć pokusie: ma sposobność splełania przykrego figla Anglikom. Wysyła swoje główne siły przez hrabstwo Aberdeen, przykazując im ściągać kontrybucje, a sam z siedmiuset żołnierzami skręca na zachód. Dnia 10 marca w dolinie zwanej Garry rozdziela swoich ludzi na kilka pomniejszych oddziałów.

— Każdy z was — poleca dowódcom — musi przed świtem zająć jeden z nieprzyjacielskich posterunków. A o świcie spotykamy się wszyscy na moście przy strumieniu Brurra.

Na każdym z angielskich posterunków padają zabici. Tylko w oherży Blair ostrzeżono Anglików, którzy w porę schronili się na zamek. Usłysawszy od nich, co się święci, Sir Andrew



Agnew wysłała silny podjazd — tysiąc żołnierzy — by zbadać siły powstańców w okolicy.

Lord George maszeruje z dwudziestu czterema ludźmi na miejsce umówionego spotkania. Niespodziewanie — cały podjazd angielski przed nimi. Krytyczna sytuacja pozwala ocenić jego pomysłowość. Pośpiesznie rozmieszcza swoich ludzi za niskim wałem w dużych odstępach. Chorągwie rozmieszcza na jeszcze bardziej rozrzuconej przestrzeni. Wstrzymuje ogień aż do chwili, gdy Anglicy są już blisko. Wówczas wydaje rozkaz strzelania, a dwom kobziarzom, którzy są przy nim, nakazuje:

— Macie dąć w kobzy ze wszystkich sił, niechaj pibroch brzmi jak najgłośniej!

Strzelcy otwierają ogień, wyrzaskują bojowe zawołanie klanu. Od ostrych dźwięków pibrochu aż echo idzie. Dowódca podjazdu angielskiego dochodzi do przekonania, że natknął się na znaczne siły nieprzyjaciela. Wycofuje się natychmiast w obawie zasadzki. Znowu powstańcy ocaleli. Takimi drobnymi podnietami muszą się teraz pocieszać wiedząc, że stopniowo Anglicy zapędzają się w sytuację bez wyjścia, że czeka ich śmierć.

Księcia gniewa niesubordynacja Lorda George'a. Wysłała surowy rozkaz natychmiastowego marszu do Inverness.

Sir Thomas Sheridan i kwatermistrz O'Sullivan jeszcze sączą truciznę w uszy Karola Edwarda:

— Lord George zawinił nie tylko brakiem posłuszeństwa, ale i brakiem zaufania. Jego lekkomyślność naraziła na niebezpieczeństwo siedmiuset ludzi. A może nawet zamierzał połączyć się z nieprzyjacielem w Zamku Blair...

Książę staje się coraz bardziej nieufny i podejrzliwy. Wydaje rozkaz swym irlandzkim oficerom — Szkoci zbuntowaliby się przeciw rozkazowi śledzenia głównego dowódcy:

— Gdyby podczas bitwy chciał nas zdradzić i przejść na stronę nieprzyjaciela — zastrzelić go!

Złe perspektywy dla wojska, którego wódz nie ufa swemu najlepszemu generałowi.

Do Inverness docierają wieści, że angielskie okręty przy wybrzeżach Szkocji pochwyliły francuski statek, wiozący dwanaście tysięcy gwinei dla księcia. Pieniądzy brak. Ludzie wymykają się z szeregów i uciekają do domów w górach.

Księżę Cumberland, który nie jest geniuszem, ale wodzem doświadczonym, dokładnym i odpowiedzialnym, nie śpieszy się wcale. Przyparł nieprzyjaciela do muru. Jeśliby Młody Pretendent zechciał teraz maszerować na południe, natknąłby się na angielskie wojska na każdym zakręcie każdego gościńca. Jeśli wycofa się w wysokie góry, jego siły rozplyną się, a Anglicy, coraz szerzej rozciągający swe sieci na cały kraj, nie dopuszczą do zwerbowania nowych sił z nadejściem lata. Nic teraz już nie może ocalić losów powstania, prócz wygranej walnej bitwy, prócz wielkiego zwycięstwa, odniesionego nad jedyną doświadczoną i dobrze wyekwipowaną armią, jaką przeciw nim wysłano. Aby nie ponieść ryzyka takiej bitwy, Cumberland czyni przygotowania z drobiazgową cierpliwością. W Aberdeen stoi przez sześć tygodni, zbierając tabory, ściągając posiłki, czekając na poprawę fatalnej pogody. Przyłącza się do niego diuk Gordon, hrabiowie Aberdeen i Findlater. Więcej teraz szkockich magnatów wystąpiło przeciw księciu, niż po jego stronie. Oczywiście, Młody Pretendent nie ma jeszcze ani stanowisk ani pensji do rozdzielania. I wbrew bitwom pod Prestonpans i Falkirk — chyba nigdy nie będzie mieć. Jest ściganą zwierzyną, a księżę Cumberland myśliwym.

Tymczasem Lord George Murray za pośrednictwem wodzów, których księżę jeszcze gotów jest wysłuchać, nalega na wysłanie podjazdów i przeciw ludziom Loudona na północy, i przeciw Zamkowi Blair. Chodzi mu o podtrzymywanie ducha wojsk powstańczych, o zapobieganie dezercjom. Ale księżę wie, od kogo te propozycje pochodzą, więc je odrzuca. Podtrzymuje wtasnego ducha, wydając bale i uczyty we dworze Culloden.

Do tej pory rebelianci odnosili zawsze sukcesy, gdy zetknęli się z Anglikami w każdej mniejszej czy większej potyczce. Ale

wojna miała charakter raczej podjazdowy, bez walnych bitew. Ani walory bojowe klanów, ani zdolności militarne księcia nie zostały wypróbowane w pełni przeciw żołnierzom, zahartowanym w wojnach niderlandzkich, dowodzonym przez dobrego generała, który potrafi rozróżnić, kiedy jest czas na miłość, a kiedy na wojowanie.

Ale ta godzina już nadciąga. Gzy spoczynku księcia nie zakłócają echa znanego powiedzenia: „Anglicy przegrywają każdą bitwę, prócz ostatniej?”

## *Rozdział XIV*

### **„NIKT, PRÓCZ SZALONEGO GŁUPCA...”**

Godzina się zbliża...

Romantyczne przygody nie pomogą teraz. A głupi upór może się okazać fatalnym.

Godzina się zbliża...

Odwaga... determinacja... tego nie brak. Zimna krew? Zdrowy rozsądek?

Godzina się zbliża...

Godzina, kiedy trzeba talentów wojskowych na skalę taką, jak sławnego książęcego pradziada, Jana III Sobieskiego...

Godzina nieunikniona...

W czyich rękach losy? Lepiej powiedzieć — opatrności. Jego własna reputacja nie ucierpi...

Żołnierze Cumberlanda ruszają naprzód do Inverness. Dwadzieścia tysięcy mocnych nóg wybija takt ciężko, miarowo. Każdy idzie naprzód jak ślepiec, nie znając w ogóle okolicy. Muszą zaufać milicji Campbellów pod wodzą diuka Argylla, iść w ślad za ich rozpierzchłą na horyzoncie linią. W trwodze, że za każdym zakrętem gościńca, który ledwie zasługuje na to miano, za każdą górą, za każdym zagajnikiem kryje się groźny nieprzyjaciel, horda dzikich, wrzeszczących, wymachujących mieczami klanów... Niewyraźne pomruki w szeregach,

niezadowolenie z powodu niegościnnosci kraju, ostrego wichru, dokuczliwego deszczu, ciężaru muszkietu i plecaka, surowości sierżantów, wymagań oficerów.

John Jones, wzrostu średniego, włosy nieokreślonej barwy, dobrze zbudowany lecz nie siłacz, urodzony i wychowany w łagodnym klimacie południowej Anglii. Czternaście lat służby wojskowej, z tego większość na kontynencie. Hrabstwa Aberdeen, Banff, Moray, Nairn — dotąd w pojęciu Johna Jonesa były równie odległe, co biegun północny. A teraz nawet w kwietniu wydają mu się lodowate.

— I czy muszą mnie tak poobwieszać, jak choinkę na święta?

Czarny trójgraniasty kapelusz. Na szyi skórzany sztywny kołnierz, rodzaj obroży, który nie pozwala mu patrzeć nigdzie indziej, jak tylko prosto przed siebie. Szkarłatna kurtka, zapinana na mnóstwo guzików, z szerokimi mankietami i naszywkami o barwach regimentu. Rękawy się zbiegły od częstego moknięcia na deszczu. Długa kamizela. Szkarłatne bryczesy. Owijacze białe lub szare. Przez lewe ramię szeroki rzemień z torbą na naboje, a jedno i drugie codziennie czyszczone i pobielane blejwasem, pod surowym okiem podoficera. Za pasem, również bielonym, podwójny futerał na szablę i bagnet. Szary płócienny plecak z grubego płótna, a w nim dwie koszule, dwa skórzane kołnierzyki, dwie pary skarpet, para bryczesów, para butów zapinanych na sprzączki, szczotka, pasta do obuwia, blejwas, suchary na dwa dni.

Muskiet metrowej długości, a wagi blisko sześciu kilogramów. Na odległość ponad trzystu kroków broń zupełnie nieskuteczna. Nie więcej, jak kilkunastu towarzyszy Johna Jonesa z sześciu tysięcy w piechocie, trafi człowieka nawet na sto kroków. Ich zalety jako muszkieterów polegają na zaporze z ognia, jaką tworzą, gdy cały ich szereg strzela równocześnie.

John Jones — bohaterski obrońca ojczyzny? Chyba tylko w tandetnej i sentymentalnej balladzie, napisanej w pocie czoła przez gryziółka o wąskiej piersi i krzywych nogach.

A w rzeczywistości? Brudny, zdemoralizowany, pogardzany. Zarazem strażnik prawa i ofiara prawa. Skazywany na śmierć przez oficerów, jeśli odmówi strzelania do zbuntowanych współrodaków; cel strażów buntowników, jeśli rozkazu posłucha. Nędzny żołd, parę szylingów tygodniowo. Z tego dwa pensy dziennie potrącane za mundur; sześć pensów za obuwie, bieliznę, kamasze, lekarstwa. Podstawowe wyżywienie — suchary wojskowe i ser. Mięso, tłuszcz, piwo — musi sobie kupować sam, jeśli mu jeszcze parę pensów zostało. Młodszy oficer wydaje na kapelusz, perukę, albo parę pończoch więcej, niż wynosi żołd Johna Jonesa w ciągu dwóch lat.

Dyscyplina narzucana karą chłosty. Zwykła, codzienna rzecz, chłosta i sól, wcierana w otwarte rany: od dwudziestu pięciu razy do trzech tysięcy razy, co się kończy prymitywnym pogrzebem szczątków.

John Jones nie ma ambicji, ślepy na wszystko, co nie jest codzienną rutyną, maszerowaniem, formowaniem szeregów, zmechanizowanymi ruchami nabijania i strzelania na rozkaz. W ciągu tych czternastu lat dostał w sumie już ponad dziesięć tysięcy razy za błahe wykroczenia w rezultacie złego humoru sierżantów lub oficerów po przebulanej nocy. Jedyna przyjemność, jaką zna, może mu przyczynić — w danych okolicznościach — wstrętnej i bolesnej choroby. Gzy można się dziwić, że jeśli wypuszczą go na zdobyte miasto z paru tysiącami towarzyszy, podobnie zezwierzęconych, jak i on sam — rabuje, pije, znęca się nad starcami, zdiera bieliznę i gwałci niewinne ciała dziewcząt i kobiet szlachetnego urodzenia?

Dlaczego John Jones wstąpił do wojska? Ponieważ głodował, albo uciekał przed wyrokiem sądu, albo od ojca dziewczyny w ciąży. Tym sposobem mógł się również wydostać z więzienia. A gdy go zdemobilizują, będzie już stary, niedołężny i wtedy najprawdopodobniej zajmie w społeczeństwie miejsce żebraka. Stracił na wojnie rękę lub nogę? Twarz ma przeoraną okropną blizną? To tym lepiej. Jeśli nie jest inwalidą, będzie go udawać, inaczej niewielkie będzie miał

szanse wzbudzenia litości i wycyganienia grosza od wykształconych elegantów, za których walczył i cierpiał.

Czekać. Ale co ich czeka? Markiz d'Eguilles, ambasador wysłany przez króla Francji do Karola Edwarda, przewiduje, co będzie.

Kłęska Stuartów. Upokorzenie. Jakiego kija Francja będzie szukać, by nim grozić Anglii, jeśli wygnani Stuartowie w drugiej próbie odzyskania tronu narażą się na pośmiewisko? Po dwóch wiktoriach, nie poniósłszy porażki, Karol Edward mógłby wycofać się ze Szkocji z honorem, można by go przetrzymać na lodzie, aby mógł powrócić jako bohater .w stosownej chwili, według uznania mocodawcy pana ambasadora. Ale pokonany? Upokorzony?

Wieczorem dnia 14 kwietnia 1746 r. ambasador d'Eguilles prosi o audiencję u regenta Anglii, Szkocji, Irlandii.

— Wasza księżęca wysokość, zaklinam! Proszę się wycofać na północ i na zachód, dopóki jeszcze jest możliwość...

— Odwrót? Proszę nie wymieniać tego słowa. Bardzo mnie już znużyło.

— Mości księżę! Proszę mnie wysłuchać. Nie wolno waszej księżęcej wysokości ryzykować tej bitwy. Wasi ludzie nie mają do niej serca. A klęska będzie oznaczała koniec waszej sprawy...

— Uf! Proszę nie mówić o klęsce. Żołnierze myślą tylko o zwycięstwie.

— Zaklinam, dla własnego dobra waszej księżęcej mości, dla dobra waszego królewskiego ojca, dla dobra sprawy! Czy nic nie wzruszy waszej księżęcej mości? Trzeba rozważyć raz jeszcze...  
....

Karol Edward odrzucił na bok francuskiego., ambasadora i jego obawy. Ale pomimo hali i uczt, tygodnie czekania na walną rozprawę z księciem Cumberlandem nie pozostały bez wpływu na jego stan ducha. Dzień po dniu Młody Pretendent

patrzył, jak topnieją szeregi jego stronników. Znowu ich liczba spadła do ledwie sześciu tysięcy. Skarbiec jest pusty. Jego ludzie nie bardzo mają *co* jeść. Blokada angielskich okrętów nie dopuszcza prowiantu, zapasów, pieniędzy. Wodzowie irytują się i kłócą. Szkoci niechętnie odnoszą się do Irlandczyków. A książę nie ufa swemu głównemu wodzowi. Karol Edward próbował dodać sobie otuchy nadzieją rychłej bitwy — i zwycięstwa... Teraz d'Eguilles wymówił owo niewymawialne słowo...

W parę godzin później Karol Edward niespokojnymi krokami przemierza swój pokój. Już się przebrał do snu. Jest pozbawiony książęcych ozdób. Człowiek, twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem. Mówi, chociaż mogłoby się wydawać, że raczej głośno myśli. Od strony łóżka przerywa mu głos, młody lecz śmiały:

— Dwakroć już pokonałeś Anglików na polu bitwy. Tym razem pobijesz ich na głowę...

Klementyna jest lojalna, i kochająca, i ambitna — za niego. Jej ambicje nie obejmują jej samej. Wie dobrze, że królowe są ulepione z innej gliny, nie takiej jak ona.

Karol Edward przystaje na środku pokoju. Nie patrzy w stronę, skąd dochodzi głos. Palcami niecierpliwie przesuwają po włosach, po chłopięcemu roztarganych. Dolną wargę przygryza i wysuwa na przemian.

— Na pokładzie „Doutelle” Boisdale powiedział: „Ilu padnie za ciebie...?”

Klementyna podciągnęła do góry kolana pod prześcieradłem i objęła je ramionami. Odpowiada cicho:

— Nie czas myśleć o tym. W klanach nie waży się życia człowieka, tylko życie klanu. Dopóki żyje klan, żyje każdy jego członek, choćby w swoich dzieciach. A dzięki twemu zwycięstwu klany będą żyły. Inaczej Anglicy położą kres naszemu rodowemu ustrojowi, zgniotą klany, które już dwakroć powstały przeciw nim. Nasi rodacy wiedzieli, że się dla ciebie na to ryzyko narażają. Teraz ty musisz zaryzykować wszystko dla nich...



Księżę odwraca się, by spojrzeć na nią, wspartą na poduszkach, przytrzymującą prześcieradła wysoko nad drobnymi pierściami. Mówiła słusznie, w imieniu swoich. Ale on się wyprawiał na zdobycie korony, trzech koron... Odzyskać tron dla dynastii, dla swego ojca, a później dla siebie. Głośno powtarza słowa ambasadora d'Eguilles:

— Klęska będzie oznaczała koniec sprawy.

Karol Edward ma nieskomplikowany charakter. Przemówienie do niego, poruszenie go nie wymaga głębokiej znajomości psychologii. On, który groził oskarżeniem o tchórzostwo, z pewnością sam boi się tego oskarżenia. Podnosząc wzrok ku sufitowi, jakby tam miała zobaczyć napisane słowa, które z trudem sobie przypomina, dziewczyna w łóżku przytacza wyrazy, niegdyś cytowane przez księcia:

— Nie chcemy... ginąć w towarzystwie człeka... co nie chce w śmierci... naszym być kolegą...

Klementyna spogląda prosto w oczy kochanka. Wypuszcza z rąk prześcieradło... wyciąga nagie ramiona...

O świcie następnego ranka wojska zbierają się na wzgórzach, zwanych Drummosie Moor, nieco na południe od dworu Gulloden. Księżę Cumberland dotarł do Nairn, o parę mil na wschód. Kwatermistrz O'Sullivan i Sir Thomas Sheridan obrali te wzgórza jako odpowiednie miejsce na pole bitwy ze „szkarłatnymi mundurami”.

O'Sullivan zachowuje się ostatnio gwałtownie, porywczo, nerwowo. Często wzywa cyrulika, każe sobie puszczać krew i kładzie się na parę dni do łóżka. Puszczano mu krew tego ranka. Kto by zechciał powąchać flaszkę, stojącą przy jego łóżku, bez trudu potrafiłby nazwać lekarstwo, jakie stosuje.

Nie zapytano Lorda George'a Murraya o zdanie przy wyborze miejsca na pole bitwy. Niezbyt wydaje mu się odpowiednie. Drummosie Moor ciągnie się na przestrzeni jakichś osiemnastu kilometrów od południowego zachodu do północnego

wschodu. Wichury zmiatają stale te jałowe wzgórza, porośnięte tylko skąpą trawą, ledwie wystarczającą dla niewielu chudych owiec. Od strony Nairn widać kilka kamiennych domostw, z których największe, zwane Culwhiniac, stoi na kwaterze, sześćset na tysiąc metrów, otoczonej murem. Poza tymi jedynymi zabudowaniami są rozsiane tu i ówdzie szałas górali, lepiące z gliny. Wzgórza pozbawione drzew, posępne i nagie, ogranicza z jednej strony morze, z drugiej grzbiety gór.

Idealny teren dla jazdy, której Anglicy mają pod dostatkiem, a księciu brak. Najgorszy możliwy dla klanów, nieprzywykłych do zdyscyplinowanych szeregów, do wymiany salw ognia, do odpierania szarż kawaleryjskich. Klany najchętniej same rzucają się z dzikim wrzaskiem do ataku na wroga i jednym zamachem usiłują go pokonać.

Kiedy Karol Edward siada do śniadania, Lord George wysłał paru oficerów na czele niewielkich podjazdów na rozpoznanie okolicy po drugiej stronie rzeki Nairn, opływającej ogrodzenie wokół Culwhiniac. Donoszą, że tam grunt jest nierówny, bagnisty, torfowiska i mchy, praktycznie biorąc nie do przebycia dla koni. Ale książę nie dba o te doniesienia. Nie będzie słuchał rad Lorda George'a, który obrażony odchodzi, wywierając swój gniew nie na księciu, lecz na kwatermistrzu:

— Idiota z tego O'Sullivan. Prowadzi bitwę w nocnym czepku!

Ani śladu Anglików. Cumberland się nie śpieszy. Żołnierz nigdy nie walczy lepiej po długim czekaniu na polu bitwy — przeciwnie. Niechaj więc klany czekają. I czekają, ustawione w mniej więcej porządnym szyku bojowym, aż do godziny jedenastej. Wówczas Karol Edward, dowodzący i każdy rozkaz wydający osobiście, powiada żołnierzom, że mogą się pokrzepić „odpoczynkiem lub czym innym”. Te słowa zawierają odcień makabrycznego humoru. Pokrzepienie, jakiego ludzie potrzebują, to solidny posiłek. A żywności nie ma. Prowiant, który żołnierze otrzymują w miejsce żołądka, zostawiono w Inverness, ponieważ nikt, a już najmniej „idiota, który prowadzi

bitwy w nocnym czepku" nie pomyślał o zorganizowaniu podwód do przywiezienia prowiantu na wzgórze Drummosie.

Po południu widoczne się staje, że książę Cumberland nie jest sportowcem. Nie nadciągnie dzisiaj. Prawdę mówiąc, jest to właśnie dzień jego urodzin. Własnym sumptem postarał się o mięsiwo, aby żołnierze mogli uczcić ten dzień, i polecił wydać porcję rumu na głowę, by mogli wypić za zdrowie swego wodza, którego przezwano „Billy Boy”. A tymczasem klany kładą się spać o pustych żołądkach.

Karol Edward usiłuje wykombinować plan, w którym element zaskoczenia mógłby zastąpić większe doświadczenie bojowe Anglików.

— Pomaszujemy nocą do Nairn — decyduje — i zaatakujemy obozowisko szkarłatnych mundurów przed świtem. Po tym uctowaniu nie będą się bardzo bronili. Szable... sztylety... przecinać liny namiotów, atakować każdą żywą postać. O zmierzchu opuszczamy Drummosie Moor.

O zmierzchu blisko połowa głodujących rebeliantów wymknęła się do Inverness. Posłano po nich jeźdźców, którym odpowiadają:

— Możecie nawet strzelać do nas! Nie wrócimy, póki nie dostaniemy jeść!

Zwłoka. Późno już bardzo, nim wyruszono w kierunku Nairn. Dwadzieścia pięć kilometrów marszu po bezdrożach, w ciemności. Lord George jest w posepnym nastroju. Natomiast książę wesół, pewny siebie, oczyma wyobraźni już widzi zwycięstwo, radosne uctowanie w Pałacu Holyrood, niechętnie klany tłumnie do niego powracające, ponowna wyprawa do Anglii z dwudziestoma tysiącami żołnierza! W tym nastroju próbuje nawet gestu serdeczności w stosunku do Lorda George'a:

— Ta bitwa uwieńczy wszystkie nasze osiągnięcia. Restauracja króla, honor, sława...

Wciąż marzenia o białym koniu, błyszczącej szabli...

Mocnym, szybkim krokiem Lord George, lojalny wbrew

wszystkiemu, prowadzi straż przednią: Cameronów, Stewartów i ludzi z Atholl. Dalej księżę na czele głównych sił. Wszyscy już pomęczeni, opóźniają się, grzęzną w trzęsawiskach, błota uginają się pod ich stopami. Osłabieni głodem ludzie padają na wrzosowiska, przeklinają swych dowódców i nie chcą się ruszać. John Daniel z regimentu manchesterskiego pisze zwięźle:

„Co za szaleństwo! Cóż tu mówić, co myśleć?” O godzinie pierwszej po północy donoszą Lordowi George'owi, że główne siły pozostały daleko w tyle. Nakazuje postój koło Dworu Kilravock. Księżę przybywa nareszcie, narzekając:

— Nie możesz tak pędzić. Ludzie nie nadążają.

Gdy pierwsze blaski świtu przedzierają się przez ranne mgły, Nairn jest jeszcze o dobrych parę kilometrów odległości. A poprzez wrzosowiska dolatują dźwięki pobudki, wygrywanej w obozie angielskim. Lord George znowu nakazuje postój.

Klementyna śpieszy do niego:

— Jego księżęca wysokość życzy sobie, byś pan wydał rozkaz ataku najszybciej, jak to możliwe!

Wódz odpowiada:

— Nie będzie ataku. Jest już za późno.

Rozkazuje ludziom zawracać, maszerować z powrotem do Culloden. Karol Edward nadbiega osobiście, napotyka wracających Cameronów.

— Zdradzono mnie! — krzyczy, z dramatycznymi gestami bohatera tragedii. — Co z tego, że wydaję rozkazy, gdy mnie nie słuchają?

Co z tego, że księżę wydaje rozkazy, jeśli nie uwzględniają one sytuacji militarnej?

Księżę wścieka się, rzuca, wylewa swoją złość i rozczarowanie na głowę Lorda George'a. Ale nadchodzą naczelnicy klanów, przerywają nieprzystojną sprzeczkę, podważającą ład i dyscyplinę. Wszyscy nalegają, że Lord George ma słuszość.

Nocny atak miał szanse powodzenia; ale atak w biały dzień byłby samobójstwem.

Pierwszy sukces dla „Billy Boy”, nawet bez jednego strzału.

Dwadzieścia kilometrów marszu powrotnego, o jednym sucharze w ciągu dwudziestu czterech godzin, i tyle wody, ile każdy może sobie znaleźć.

Karol Edward odzyskuje równowagę, zachęca:

— Nie szkodzi. Spotkamy się z nimi później i stawimy im czoła, jak ludzie rzetelnej odwagi.

Nikt nie kwestionuje ich odwagi. Ani odwagi księcia. Ale talent militarny? Trzeba się znać na strategii i taktyce, zaopatrzeniu, trosce o żołnierza. Nie ma miejsca na „szaleństwo”.

Z powrotem pod Dworem Culloden wyczerpani ludzie rzucają się na przesiąkniętą wilgocią ziemię. Są zbyt zmęczeni, by sobie szukać jakiegoś pożywienia. Karol Edward znowu wchodzi do domu Duncana Forbesa.

— Pieczeń z jagnięciny i dwie gotowane kury będą zaraz gotowe, wasza książęca wysokość — oznajmia sługa.

Książę odsuwa go.

— Nie będę jadł, gdy moi ludzie głodują!

Prócz tego zaczyna teraz powątpiewać o słuszności rad swego przybocznego gwardzisty — „Teraz ty musisz zaryzykować walkę za nich...” Wręcz odwrotna rada francuskiego ambasadora również mu dźwięczy w uszach: „Nie wolno ryzykować tej bitwy...”

Czemu posłuchał jej, a nie jego? (prześcieradło osuwa się z drobnych piersi, nagie ramiona wyciągnięte ku niemu...) Teraz za późno, by się wycofać.

Razem ze swoimi oficerami książę stara się dodać sobie otuchy i utwierdzić się w rezolucji za pomocą ostatniej z sześćdziesięciu beczulek wina, znalezionych w piwnicy dworu Duncana Forbesa.

Godzina siódma. Kobzy uderzają w przenikliwe tony za-

wołań klanowych. Bębny warczą. „Szkarałatne mundury” nadchodzą! Oszołomieni pierwszym ciężkim snem górale budzą się powoli. Podoficerowie zaganiają ich na Drummossie Moor, na te same pozycje, które zajmowali przed 24 godzinami. Księżę jedzie razem z nimi na siwym koniu. I on jest błądy ze zmęczenia i bezsenności. Ale pokazuje ludziom wesołą twarz:

— Naprzód, moi dzielni chłopcy! Dzień będzie nasz!

Potrzeba im zachęty. Ale słowa nie mogą zapełnić pustych żołądków.

Podoficerowie wywołują obecnych. Znowu ponad tysiąc ludzi brakuje. Nieobecni śpią snem krańcowego znużenia tam, gdzie się położyli, przystanąwszy podczas powrotnego marszu — w rowach, pod ogrodzeniem, na polu. Za późno, by księżę mógł ich obudzić. Już tylko Cumberland ich obudzi, wyprawiając ich ze snu prosto w objęcia wieczności. Jakies pięć tysięcy górali ustawia się szeregami do bitwy, o której każdy wie, że zadecyduje o losach całego przedsięwzięcia.

Szkarłałatne mundury wspinają się od gościńca z Inverness do Nairn na wzgórze Drummossie Moor. W pewnym momencie jakiś obszarpany góral podjął się przeprowadzić ich artylerię przejściami wśród bagien. Wprowadził armaty prosto w trzęsawisko — i umknął, korzystając z wywołanego zamieszania. Piechota zawiesiła na ramię muszkiety i zabrała się do wydobywania dział z bagien. Bicz strzelały nad końskimi grzbietami, przekleństwa rozlegały się z głębi serca, soczyste i dosadne. A mżawka zaczęła przenikać wilgocią przez odzież... Ale żołnierze w „szkarłałatnych mundurach” są wyspani i zjedli dobre śniadanie. Szeregowiec Edward Linn napisze później do swojej żony:

„Brodziliśmy po kolana w błocie Drummossie, z całą chęcią dognania ich nareszcie, co i nic dziwnego, zważywszy, ileśmy fatygi zaznali tej zimy, maszerując za nimi dniem i nocą...”

„Billy Boy” zadecydował, że czas już położyć kres tym faty-

gom. A jego żołnierze zgadzają się z nim całym sercem. Hanowerczyk czy Stuart — to im wszystko jedno. Ale tylko jeśli odniosą zwycięstwo, mogą mieć nadzieję prędkiego powrotu do Anglii.

Angielscy kanonierzy układają faszyny, wiązki wrzosu i gałęzi przed ustawionymi w bojowej pozycji działami, otwierają jaszczkę z prochem, układają kule. Przez drobny, mżący deszcz spoglądają na szeregi rebeliantów, odległe o niecały kilometr: zamglone zarysy ludzkich postaci w pledach, niewyraźne przebłyski stali.

W wojsku angielskim znajdują się regularne regimenty górali. Cumberland ma do nich kompletne zaufanie. Dowiodły już swoich świetnych bojowych wartości w ciężkich walkach na kontynencie. Jest tu też kilkaset ochotników z klanu Campbellów, przysłanych przez diuka Argylla. O tych nikt nie ma zbyt wysokiego mniemania; nie ufa się też zanadto w ich lojalność. Umieszczono ich na tyłach, na straży wozów taborowych. Ale cztery kompanie Campbellów nie posłuchały tego rozkazu. Przepychają się bliżej pola bitwy. Mają stare długi do spłacenia wobec klanów, które najeżdżały ich terytoria.

Armia Sir Johna Cope, armia generała Hawleya — uciekały na dźwięk przenikliwych tonów kobz, wrzasków zawołan klanowych, połyску stali w rękach na wpół dzikich górali. Książę Cumberland wie o tym dobrze. Jedzie między swoich żołnierzy, stara się dobrać słowa, by ich zachęcić do boju, dodać odwagi:

— Moi dzielni chłopcy, wasze trudy niebawem się skończą. Nie ustępujcie przed szablą i tarczą. Uderzajcie w nieprzyjaciela, jak was pouczono.

Nie będzie tu pojedynku salw muszkietowych. Rebelianci nie walczą w ten sposób. Pod Prestonpans, pod Falkirk górale podchwytywali cięcia bagnetów na swoje tarcze ze skóry wołowej i dosięgali przeciwnika mieczami. Aby się temu przeciwstawić, Cumberland kazał każdemu żołnierzowi zadawać bagnetem cios w odsoniętą pachę pod uniesionym w górę ramie-

niem tego górala, który zamierza się nie na niego, lecz na jego towarzysza, stojącego po p r a w e j ręce. W ten sposób każdy winien nie tyle odpierać atak na siebie samego, ile na swego towarzysza, i tak omijać osłonę tarczy. Tego rodzaju taktykę można było narzucić tylko bardzo zdyscyplinowanemu wojsku. „Billy Boy” ciągnie dalej:

— Jeśli który z was nie chce się wdawać w tę bitwę, niechaj wystąpi i powie otwarcie, a z chęcią go zwolnię, gdyż wolę być na czele tysiąca ludzi odważnych i rezolutnych, aniżeli dziesięciu tysięcy, włącznie z takimi, którzy przez tchórzostwo lub niedołość wprowadzą nieład w szeregi...

Cumberland jest trochę przyciężki jako mówca, ale i on czytał Szekspira, nie tylko Młody Pretendent.

Rozlega się wystrzał, ostry i czysty, ponad warczeniem bębnow. I drugi... Cumberland jedzie spieszenie w tym kierunku. Wśród „szkarłatnych mundurów” leży góral w kilcie i pledzie, w kałuży własnej krwi. Pierwsza ofiara na Drummosie Moor, szalona i zbędna. Któryś z oficerów wyjaśnia:

— Przyszedł tu od tych nikczemnych buntowników, wasza wysokość. Oddał szablę i pistolety, bierzcie mnie, powiada, do niewoli. Odprowadziliśmy go na tyły, kiedy nadjechał milord Bury. Ten człowiek chwycił muszkiet z rąk jednego z naszych żołnierzy i wycelował w plecy milorda. Chybił, a Newman go zastrzelił na miejscu, i całkiem słusznie!

— Pewno powinienem się uważać za szczęściarza — zauważa książę Cumberland.

— Tak jest, wasza wysokość, ten łotr z pewnością wziął milorda Bury za waszą książęcą mość!

Wytworny i bogaty strój dwudziestojednoletniego Lorda Bury, bogactwo uprzęży i siodła, istotnie rywalizują wyglądem z królewskim synem. To naśladowanie książęcego przepychu omal go życia nie kosztowało. Zresztą, bynajmniej go to nie zatrwożyło. Nawet cugli wierzchowcowi nie ściągnął, gdy mu kula gwizdnęła nad uchem. Jest chłodno odważny, wyniosły i obojętny.



Cumberland zajmuje stanowisko do bitwy — między pierwszą a drugą linią swoich żołnierzy — otoczony oficerami sztabu, w szkarłatnych i błękitnych mundurach, w koronkach, złocie i szamerowaniu.

Każda ze stron wojujących dąży do oparcia się skrzydłem o północny mur, ogradzający posiadłość Cułwhiniac, nie dopuszczając zarazem przeciwnika. Udaje się to Lordowi George'owi Murrayowi na czele ludzi Atholla z hrabstwa Perth.

Klany wciąż jeszcze nie ustaliły pozycji. Macdonaldowie się iryтую. Jak pod Prestonpans, rozkazano im walczyć na lewym skrzydle, wbrew odwiecznej tradycji, zgodnie z którą winni walczyć na prawym skrzydle. Tym razem książę nie ustąpi. Bardzo niezadowoleni, Macdonaldowie odchodzą na wyznaczone im miejsca.

Naczelnicy klanów potrząsają głowami. Według nich szaleństwem jest stawać do bitwy z wygłodniałymi ludźmi, niewykształconymi nawet w najlepszych warunkach, przeciw przeważającej liczbie świeżych, dobrze odżywionych, zahartowanych w bojach regularnych żołnierzy. Lord George stoi zrezygnowany. Clanranald, żałując teraz, że niegdyś, nad brzegami Loch nan Uamh, uległ namowom tego porywczego gaduły Keppocha, wścieka się na siebie — i na księcia.

— Tylko szalony głupiec może walczyć w tych warunkach — powiada do Boisdale'a.

Uparta głupota — dziedzictwo Stuartów.

Tylko książę tak się zachowuje — cokolwiek by myślał w duchu — jakby niczego nie żałował. Co prawda, nie ma wyboru. Teraz, z dwoma tysiącami nieprzyjacielskiej jazdy o pół kilometra, nie może wydać rozkazu odwrotu, choćby i chciał. Masakra byłaby straszniejsza, niż przy najkrwawszej bitwie. Jedzie wśród swoich ludzi:

— Odwagi, chłopcy! Dzień będzie nasz!

Dzień? A ilu z nich nie zobaczy nocy?

Bierze od jednego z żołnierzy szablę, próbuje ostrza, ze świstem przecina powietrze:

— Założę się, że ta broń niejedno ramię i niejedną głowę dzisiaj odetnie!

Lord George z ludźmi Atholla na prawym skrzydle, wsparci o mur dworu Culwhiniac, wystawiają twarz na ukośne uderzenia deszczu, który uderza tylko o plecy „szkarłatnych mundurów”. Na lewo od nich — Cameronowie Lochiela. Już się rozlega pibroch ich klanu:

„Wy psi synowie, psiej rasy potomkowie,  
Chodźcie tu, chodźcie, żywić się padliną!”

Dalej Stewartowie znad brzegów Loch Linnhe, na południowo-zachodnim krańcu Wielkiego Glenu. To klan królewski: ich księżę nosił niegdyś to nazwisko, dopiero Maria Stuart zmieniła pisownię. Klan Stewartów nosi na beretach gałązkę z liśćmi dębu i żółto-błękitny sztandar, przyłączył się do rebelii nie tyle z przywiązania do Starego Pretendenta, ile z zacieklej nienawiści do Campbellów, z którymi nigdy nie będą się bić po tej samej stronie.

Na czele środka pierwszej linii rebeliantów stoi Lord John Drummond. Z nim około trzystu Fraserów. Również klan Chattan (zwany Klanem Kocim), który jest właściwie połączeniem kilku plemion: Mackintoshów, Macgillivrayów, Mac-beanów. Naczelnik Mackintoshów przed kilku miesiącami zaciągnął się do królewskiej milicji, gdzie dowodzi kompanią. Ledwie odszedł, gdy jego żona, Lady Anna, na złość mężowi, cały klan zaprowadziła do Młodego Pretendenta.

Pewna liczba armat, rozmaitego kalibru, z kiepskimi kanonierami, oddziela Chattanów od Farquarsonów. Dalej regiment edynburski, a na krańcu lewego skrzydła pod dowództwem diuka Perth, niezadowoleni i narzekający Macdonaldowie.

Pułkownik O'Sullivan, odpowiedzialny za szyk bitewny, czy to z powodu puszczenia krwi, czy też tego drugiego „leku”, tak pokiełbał sprawę, że pierwsza linia rebeliantów nie biegnie wcale równoległe do „szkarłatnych mundurów”, lecz ukośnie: Lord George Murray jest oddalony ledwie o 500 metrów od wojsk Cumberlanda, a diuk Perth o 800 m. W tej sytuacji atak

rebeliantów nie zwiąże w walce równocześnie całej linii przeciwnika.

Na prawo, na lewo i pośrodku pierwszej linii wojsk księcia znajduje się kilka armat cztero- i sześciofuntowych. Ale kanonierzy po większej części zdezerterowali. Ich miejsce zajęli górale, nie rozumiejący się właściwie na swoim zadaniu, pod dowództwem Johna Finlaysona, producenta instrumentów astronomicznych z Edynburga.

O sto metrów w tyle stoi druga linia wojsk, złożona z różnorodnych oddziałów, włącznie z dwoma kompaniami Irlandczyków i Gordonami starego Glenbucketa. Wśród nich ojciec John Tyrie ostrzy swą szablę i zaklina się, że po trupach heretyków wyrąbie sobie dzisiaj drogę do nieba. Za nimi nieliczny regiment Konnych Grenadierów pod Lordem Kilmanrock — tym samym, którego żona tak dzielnie przyczyniła się do zwycięstwa pod Falkirk, a którego syn jest pułkownikiem w wojsku Cumberlanda. Jedyńm koniem, jakim rozporządzają, jest ten z nazwy regimentu. Ci Konni Grenadierzy walczą pieszo. Jazdy jest przy Młodym Pretendencie tylko garść: jego najbliższe otoczenie, synowie zamożnych rodów i jeden szwadron pod wodzą Lorda Fitzjamesa.

Oczywiste jest, że przeciw dwom tysiącom jazdy Cumberlanda konie w tak małej liczbie mogą być użyte tylko w jednym celu. Sam książę jest dzisiaj konno. Nie z własnej woli. On wolałby prowadzić osobiście pieszo środek pierwszej linii swoich wojsk. Ale wodzowie klanowi uparli się oświadczać, że w ogóle nie będą walczyć, jeśli książę nie dosiędzie wierzchowca i nie pozostanie w tyle. Cztery nogi biegną szybciej od dwóch.

Przy księciu znajdują się: guwerner Sir Thomas Sheridan, bankier Eneas Macdonald i stary diuk Atholl.

Książę wydał rozkaz dzienny:

„... każdy w wojsku, oficer i żołnierz po równi, mają trzymać się wyznaczonego stanowiska, a jeśli którykolwiek zawróciłby i zaczął uciekać, niechaj mu towarzyszy strzeli w plecy...”

Wydaje się, że książę nieco wątpi w zapal bitewny klanów, chociaż każdy wojownik nosi przypiętą do beretu białą kokardę z napisem, nie szczędzącym słów:

„Z Karolem, naszym bohaterskim i wspaniałomyślnym księciem regentem polegniemy chlubnie albo ocalimy nasz kraj”.

Lord Bury — ten, którego niedawno o mały włos nie zastrzelono — wyjeżdża ze spokojną zimną krwią przed front „szkarłatnych mundurów” i z wysokości swego wierzchowca przepatruje uważnie szeregi rebeliantów. John Finlayson, producent instrumentów, nastawia działo, celuje, mierzy, podpala lont... kłęby białego dymu... huk niezbyt głośnego zresztą wybuchu... Lord Bury unosi kapelusz w lekkim ukłonie i pomału odjeżdża z powrotem do swoich linii.

Godzina nadeszła. Bitwa rozpoczęta.

Nie jest to bitwa, wydana Anglii przez Szkocję — chociaż pod wielu względami zadecyduje o przyszłości Szkocji. Szkoci w znacznej liczbie, a nawet górale, są po obu walczących stronach.

Nie jest to bitwa katolików przeciw protestantom, chociaż książę życzy sobie zmienić religię Anglików. Obie strony stanowią mieszaninę katolików, anglikanów, prezbiterianów, wyznawców różnych sekt.

Zwycięstwo, klęska, pomsta, śmierć, kalectwo, brutalne prześladowanie — wszystko za cenę marzenia jednego człowieka o legendzie... o białym koniu... o lśniącej szabli...

Bitwa pod Culloden jest jedną z wielkich tragedii dziejowych.

## *Rozdział XV*

### **„KTO NIE CHCE W ŚMIERCI NASZYM BYĆ KOLEGĄ”**

— Przejeżdżałem właśnie na prawe skrzydło, gdy mój koń zaczął wierzgać, co mnie bardzo zdziwiło, gdyż był to zazwyczaj łagodny i spokojny wierzchowiec, więc przyjrzałem mu się baczniej i spostrzegłem, że krew mu tryska z rany w boku. „Och, jeśli tak źle jest z tobą — powiedziałem do konia — to nic dziwnego, żeś taki niespokojny!” I musiałem przesiąść się na innego.

Jest to jedyna chwila osobistego niebezpieczeństwa, którego zaznał Karol Edward w ciągu bitwy pod Culloden. Zdarzyła się na samym początku.

Przed pół godziną angielskie działa przemówiły potężnym rykiem, śląc wstęgę ognia. Kanonierzy skoczyli przeczyścić lufy. Nałożyli proch, potem kule:

— Ognia!

Klany zupełnie nie widziały linii angielskich, tak je spowijały kłęby dymu. Ale ku nim z tego dymu wylatywały żelazne kule. A wokół nich padali, jak w kręgielni ich towarzysze. Oficerowie nawoływali do ścieśniania szeregów.

Wymęczeni głodem, marszem i brakiem snu, rebelianci nie mogli długo wytrzymać tego ognia. Wydaje się im bezsensowne stać tak beczynniami i patrzeć na rzeź towarzyszy. O'Sullivan — „idiota, który walczy w nocnym czepku” — ustawił ich nie

w trzy rzędy, jak zwykle, lecz w sześć; w rezultacie każda kula armatnia porywa za sobą czterech lub pięciu ludzi. Klany krzyczą, żądając zmiany rozkazu. Grupy górali wybiegają przed wojska królewskie i stają przed nimi, uderzając szablami w tarcze, wyzywając ich do walki, jak przystało mężczyznom, w pojedynkę. Padają gęstym trupem — tylko taka jest odpowiedź na wyzwanie.

John Finlayson, producent instrumentów, próbuje odpowiadać na tę dziesiątkującą ich szeregi kanonadę. Ale jego górale są nie wyćwiczeni. Tylko on sam może wycelować każde działo. Kilka kul pada bezużytecznie poza linie angielskie, a w dziesięć minut później działa Młodego Pretendenta milkną ostatecznie.

Kanonierzy Cumberlanda celują dalej, kule padają na drugą i третią linię klanów, wywołują zamieszanie, pod księciem ranią wierzchowca.

Książę nie traci chłodnego spokoju. Klany nie mogą wytrwać w tej kanonadzie bez riposty. Wołają wciąż i wciąż, wielkim krzykiem żądając tradycyjnego rozkazu, który by ich posłał do ataku:

— Claymore! Claymore!

Odwagi im wcale nie brak. Ale to nie jest ich sposób wojowania.

Lochiel z pistoletem w jednej dłoni, a szablą w drugiej, stoi gniewny, z rozpaczą i wściekłością w sercu, na czele swoich ludzi, dziesiątkowanych kanonadą. Śle do Lorda George'a:

— Nie mogę dłużej powstrzymać mego klanu. Gniewa ich kanonada nieprzyjaciela i tak niecierpliwi, że będą się wyrывać z szeregów.

Lord George, wcale nie mniej poirytowany, przesyła posłanie do księcia, który dzisiaj sprawuje osobiście naczelne dowództwo. On jest odpowiedzialny za zwłokę, za rosnącą liczbę zabitych i konających, on jest odpowiedzialny za to, że pozwolił umknąć jedynej sposobności zwycięstwa — ataku na angielskie działa, wycięcia w pień każdego angielskiego kanonie-

ra, który by nie uciekł. Gordonowie, Ogilvie, Irlandczycy, ślą posłania:

— Pozwólcie nam iść do ataku! Dłużej tak stać nie możemy...

Klan Chattana, w samym środku linii księcia, nie posyła żadnych wezwań. Nie czekają dłużej. Założywszy wysoko kilty na udach, berety ściągnąwszy na czoło, z twarzami wykrzywionymi wściekłością i rozpaczą, wrywają się naprzód, łamiąc szeregi: Mackintoshowie, MacBeanowie, MacGillivrayowie. Wrzeszczą ochrypniętymi głosami. Kobzy piszcza — aż do momentu, gdy kobziarz, dopadłszy szeregow wroga, dobywa szablę, a kobze oddaje biegnącemu obok chłopcu.

Ludzie Atholla, Cameronowie — „najdziksi z dzikich” — Stewartowie, Fraserowie, nie pozwolą się ubiec Chattanom. Nadal bez rozkazu księcia, rzucają się z wrzaskiem do ataku. Wściekli mężczyźni w łachmanach, z rozwartymi ustami do krzyku, odrzuciwszy muszkiety i pistolety zimne, nieużywane, z podniesionymi wysoko mieczami i toporami. Mordercza salwa angielskich dział. Pierwsze szeregi klanu padają. Pęd szturmujących zatrzymany — tylko na moment. Tylnie szeregi rwą się naprzód, przeskakują przez zabitych, potykają się o nich, ojciec o syna, brat o brata. Nadal nic nie widzą, prócz kłębow dymu, wzbijanych przez strzelające bez ustanku działa. Aż. wicher odsłania na chwilę te kłęby, a oberżysta z klanu Mackintoshów, John Grant, dostrzega przed sobą, jak opowie później:

„Długi, długi rząd nóg, w białych getrach aż do uda, z czarnymi guzikami wzdłuż tydek”.

Tak wygląda obraz bitwy z punktu widzenia jednostki.

Piechota królewska podnosi muszkiety do ramienia.

— Ognia!

Huk przeciągły, nierówny, przerywany... John Jones pośpiesznie przetyka lufę, gwałtownie odgryza nowy nabój i wrzuca proch, aż niebawem jego język, wargi i policzki stają się czarne... następny przeciągły, przerywany huk salwy muszkietowej...

A na lewym skrzydle rebeliantów? Ognieści Macdonaldo-wie, prowadzeni przez diuka Perth, Clanranalda, Keppocha? Kosi ich nieubłagana kanonada. Oni nie chcą ruszyć z miejsca — podobnie jak ich towarzysze ze środka i z prawego skrzydła nie chcieli stać na miejscu. Wciąż jeszcze są obrażeni, ponieważ umieszczono ich na lewym skrzydle. Istotnie, ich położenie jest gorsze. Muszą pędzić pod ostrzałem artylerii i piechoty, o paręset jardów dalej aniżeli Chattanowie i ludzie Atholla. Zbocze strome, pod górę po nierównym wrzosowisku, gdzie czają się pułapki na nieuważne stopy. Diuk Perth wybiega na czoło, wymachując szablą i krzycząc:

— Claymore! Claymore!

Maodonaldowie stoją posepni, razem z Clanranaldem, Boisdalem, Kinlochmoidartem. Wszyscy prócz jednego: Keppoch wybiega sam, z szablą i pistoletem w dłoni. Samotna postać, o sto metrów przed swymi ludźmi. Ogląda się przez ramię i wykrzykuje po gaelicku:

— Mo Dhia, an do threig Clann no Chinnidhini — mój Boże, czyżby ludzie z mego klanu mnie opuścili?

Nagle gwałtownie skrzył głowę, potknął się, mięśnie napięte — ale idzie dalej naprzód. Po udzie sływa krew.

Osiemnastu oficerów klanu Chattanów pada wraz z kilkudziesięciu żołnierzami, zanim się znajdą na odległość dwudziestu metrów od nieprzyjaciela. Ci, co przeżyli, nie wahają się ani przez sekundę. Dopadają pierwszej linii Cumberlanda, przełamują ją — by paść, prawie co do jednego, pod ciosami bagnetów drugiej linii. „Szkarałatne mundury” stoją twardo w miejscu, zadają cios, wrywają bagnet, zadają cios, wrywają — dokładnie jak na musztrze. Masakra.

Czyny bohaterskie, odwaga nadludzka, wytrzymałość trudna do uwierzenia. Gillies MacBean, major klanu Chattanów, przebity kilkakrotnie bagnetem, o twarzy przeciętej od czoła



do brody szablą, z prawym udem rozerwanym granatem, odłamkami żelaza... nadal wlecze się naprzód, dopóki nie wbiją go w ziemię tylce dziesiątków muszkietów, dopóki nie wdepczą go w błotnistą ziemię setki stóp. John MacGillivray zabija dwunastu, zanim i on padnie w błoto. Jego ojciec, pułkownik klanu Chattarów, pierwszy dopada „szkarłatnych mundurów” i rozrywa ich szeregi, a poniosłszy tuzin ran, wlecze się dalej na tyły szalejącej bitwy, by znaleźć strumień — i umiera z twarzą w wodzie...

Młodego chorążego, który niósł sztandar klanu, zabito wcześniej z początkiem ataku. Góral imieniem Donald chwyta sztandar, oddziera płótno, owija je sobie wokół ciała. Gdy w wiele tygodni później dotrze do ojczystego domu, będzie miał nadal sztandar przy sobie i zyska zaszczytny przydomek: Donald na Braiteach, Donald-Barwy-Sztandaru. Jego synowie, którzy się dopiero urodzą, będą się zwali Angus i Charles na Braiteach.

Zawstydzeni odwagą Keppocha, Macdonaldowie na lewym skrzydle ruszają wreszcie do ataku. Ale to nie jest szaleńczy szturm. Posuwają się naprzód, przystają, znowu idą, a za każdym razem zostawiają na szerokim wrzosowisku rozrzuconą linię tartanów, świadków skuteczności angielskiego ognia. Prawie już dochodzą linii „szkarłatnych mundurów”, i nagle cofają się o kilka kroków, strzelając z pistoletów, wymachując szablami, szczerząc zęby jak psy. Mają nadzieję w ten sposób skusić nieprzyjaciela, by wyszedł ku nim ze swych regularnych szeregów. Ale „szkarłatne mundury” nie dają się skusić. Stoją twardo i ślą w Macdonaldów salwę za salwą, a wszystkie mordercze.

Na prawo Lord George, dosiadając ognistego wierzchowca, który rzuca się i staje dęba, prowadzi swoich z nagą szablą w rękę. Ludzie z Atholl stają twarzą w twarz z morderczym ogniem muszkietowym. A cztery nieposłuszne rozkazom Cumberlanda kompanie Campbellów zajęły pozycje za murem, otaczającym posiadłość Culwhiniac, skąd celnymi strzałami rażą swoich postępujących do ataku rodaków. Trzydziestu dwóch oficerów niebawem leży na wrzosowiskach, lub zlewa krwią niosących ich żołnierzy.

Ognisty wierzchowiec Lorda George'a pada od kuli. Jeździec stracił kapelusz i perukę. Wyłamano mu szablę z ręki. Jego długi kaftan jest cały poszarpany od ciosów bagnetów i odłamków granatów. Lord George pojmuje, że bez pomocy jego ludzie nie dadzą rady rozerwać szeregów „szkarłatnych mundurów”. Ogląda się rozpaczliwie wokół, przypuszczając, że księżę wydał już rozkaz drugiej linii, by ruszyła z pomocą. Księżę nie wydał takiego rozkazu. Nie wydaje w ogóle żadnych rozkazów. Lord George biegnie z powrotem, wrzeszcząc, by rezerwa ruszyła do walki.

O pięćdziesiąt jardów od linii angielskich działań leży Lo-chiel „Łagodny” z pogruchotanymi nogami. Patrzy, jak jego Cameronowie rwą naprzód, jak przedzierają się po stosach trupów własnych towarzyszy. Wielu górali porzuciło swoje tarcze na drodze powrotnej z Nairn. Teraz nie mają żadnej osłony przed bagnetami regularnych wojsk żołnierzy, którzy z mechaniczną nieomal regularnością zadają ciosy, jak ich pouczono, nie przeciwnikowi przed sobą, lecz sąsiadnemu... Jednakże Cameronom udaje się w końcu przerwać przez piechotę Cumberlanda — tylko po to, by natknąć się na regiment irlandzki, stojący w odwodzie. Obserwator spośród szkarłatnych mundurów tak opisuje tę scenę:

„Strasznie było patrzeć na miecze rebeliantów, unoszące się wysoko w górę do ciosu, a naszych oficerów tnących szablami, sierżantów wbijających halabardy w gardło wroga, gdy żołnierze bronili się nawzajem, wbijając w serca przeciwników

bagnety aż po łufę. Każdy nasz bagnet był pogięty i zakrwawiony. Ale jeszcze straszniej było słuchać jęków konających ludzi z tego i tamtego wojska".

I wciąż nieustraszeni, wściekli Cameronowie, ludzie z At-holl, Stewartowie z królewskiego klanu — walczą jeszcze.

„Odrzuciliśmy ich, padali bez tchu na ziemię, którzy żywi, którzy martwi... Podrywali się i znowu rzucali się do ataku jak lwy, z mieczami w dłoni, ale ich starożytne „claymory" nie mogły w boju nic wskórać przeciwko bagnetom, podniesionym do wysokości piersi. Przecież bagnetem rezolutny żołnierz może zabić przeciwnika na odległość dziesięciu jardów..."

Lord George, ze świeżą szablą w ręku, prowadzi Gordonów z drugiej rezerwowej linii, a obok niego stary Glenbucket, zgięty we dwoje nad grzbietem swego konia i ojciec John Tyrie, głośno modlący się i wymachujący mieczem nad głową. Ale posiłki nadbiegają za późno. Natykają się na zawracających Cameronów i Stewartów, którzy niosą i wloką swoich rannych. Wybucho zamieszanie, kompletny chaos. Ludzie Lochiela porywają go i unoszą na tyły. Ale droga powrotna jest również drogą śmierci. Campbellowie, osłonięci murem, ślą z ukrycia salwę za salwą w skłębioną kupę górali, z których jedni prą naprzód, inni przepychają się do tyłu. Masakra. Masakra.

Posiłki zmieciono. Najsilniejsze skrzydło księcia, prawe, jest rozbite, zwyciężone. Powinien był podesłać im wcześniej posiłki.

Kwaternistrz O'Sullivan, który ma w żyłach za mało krwi, a za dużo whisky, dosadnie podsumowuje sytuację. Podnosi ramiona ku niebu i krzyczy:

— Wszystko diabli wzięli!

Księżę patrzy na Irlandczyka szeroko otwartymi oczyma. Dowodząc osobiście, nie wydał ani jednego rozkazu, ani razu nie interweniował. Siedział na koniu jak wór. Teraz mówi martwym głosem do tych, co są najbliżej: O'Sullivana, Sir Thomasa Sheridana, Eneasza Macdonalda:

— Nie powinniśmy byli wydawać tej bitwy. Trzeba było posłuchać George'a Murraya.

Klementyna przygryza wargi. „Teraz ty winienesz zaryzykować wszystko za nich...” Ale nie wyobrażała sobie, że ksiązę będzie się chował w trzeciej linii, chociażby nawet zgodnie z życzeniem wodzów klanowych, podczas gdy Cumberland jeździ na swoim wierzchowcu tuż za pierwszą linią „szkarłatnych mundurów”, kierując walką, doglądając wszystkiego. Czyżby ksiązę zapomniał o heroicznej tradycji, którą chciał wskrzesić? Podobna myśl przelatuje przez głowę Lorda Kilmarnocka, który pieszo podbiega do księcia:

— Jeszcze można wszystko uratować, mości ksiązę — woła, przekrzykując wrzawę bitewną. — Jedź naprzód! Wezwij pozostałych przy życiu Chattanów, Athollów, Cameronów, Stewartów, Macdonaldów do jeszcze jednego ostatniego olbrzymiego wysiłku! Tobie odpowiedzą, ciebie usłuchają — tylko ciebie!

Sir Thomas Sheridan wykrzykuje:

— Milcz, głupcze!

Kilmarnock milknie, ale... Podnosi rękę i zadaje wierzchowcowi księcia potężny cios w kłęby. Obraża majestatu! Wierzchowiec staje dęba, ale ledwie jego przednie kopyta znowu dotykają ziemi, gdy z obu stron rzucają się na niego i ściągają mu cugle Eneasz Macdonald i O'Sullivan.

— Czy ty chcesz księcia po pewną śmierć postać? — krzyczy wściekle Eneasz.

— Po sławę! — odpowiada Kilmarnock.

Ale teraz za późno na sławę. Za późno nawet, by ukarać za obrazę majestatu. Tylko honor można by jeszcze ocalić. Ale i to się nie udaje.

Cumberland rozkazał generałowi Hawleyowi poprowadzić sześć szwadronów dragonu wewnątrz ogrodzenia Gulwhiniac. Tym razem nie ma Lady Kilmarnock, by go swym czarem odwiodła od wypełnienia obowiązku. Generał galopuje, by odciąć klanom drogę odwrotu. Drugi oddział jazdy nadjeżdża

od tyłów wojska angielskiego i atakuje wciąż wahające się lewe skrzydło księcia. Macdonaldowie, którzy w ogóle nie zetknęli się z nieprzyjacielem, zawracają i uciekają.

Dzielny i porywczy Keppoch leży ranny śmiertelnie. Młody mężczyzna unosi go, przerzuca sobie przez ramię, biegnie ku tyłom. Przez skrwawione ciało przebiega ciężki, ostatni dreszcz. Potem zwisa martwym bezwładem. Keppoch otrzymał jeszcze jedną kulę. Młody mężczyzna składa trupa i ucieka pędem. Biegnie tak przez całą drogę, aż do krainy Keppocha, niosąc wieść o śmierci wodza jego klanowi i o wdowieństwie młodej kobiecie, która leży w połogu.

Cała pierwsza linia rebeliantów ucieka, potykając się o trupy, dźwigając rannych. Angielska jazda dopada ich, tną ludzi, jak się zabija chmary much. Irlandczycy z wojsk księcia próbują oprzeć się pościgowi, by dać uciekającym jakąś szansę. **Ale** nic już teraz nie ocali klanów, zdziesiątkowanych kulami angielskich dział, wycinanych w pień w ucieczce angielskimi szablami. Masakra. Masakra. Masakra.

Lord George, pod którym znowu padł koń, bez kapelusza i peruki, znowu ze złamaną szablą w dłoni, przystaje i patrzy:

„Trupy w tartanach czerwonych i czarnych, i żółtych leżały jak stosy piramid, wśród których jeszcze jakieś ramię lub noga drgała w agonii...”

Szeregowiec Edward Linn z królewskich fizylierów, weteran wielu bitew na kontynencie, jest wstrząśnięty:

„Nigdy w życiu nie widziałem pobojuwiska tak gęsto zaległego trupami”.

I trzeci jeszcze spogląda na pole trupów — księżę Karol Edward Stuart, zwący się regentem Anglii, Szkocji i Irlandii.

Jego nadzieje i marzenia leżą pogrzebane pod tymi piramidami ciała, zatopione potokami krwi jego stronników. Krzyki i jęki konających potępiają jego awanturniczy romantyzm,

z którym tak lekkomyślnie podjął przedsięwzięcie, od początku bez szansy wygranej, niezdolne do wydobycia z płuc melodii życia, by zagłuszyła pieśń żałobną.

Lord Elcho galopuje do księcia i pyta bez tchu:

— Jakie dalsze rozkazy, wasza książęca wysokość?

Karol Edward rozgląda się raz jeszcze zrozpaczonymi oczyma. Skrwawione szczątki jego wojsk, ukrzyżowane pościgiem „szkarłatnych mundurów”, nadciągają bliżej. Klęska uderzyła w księcia jak grom, sparaliżowała go. Do Lorda Elcho i innych oficerów wokół niego powiada tylko:

— Myślcie o własnym ocaleniu...

O'Sullivan przechyła się, bierze cugle książęcego wierzchowca w ręce i zawraca konia.

— A ja, mości książę? — pyta wierna Klementyna. Jej serce krwawi tak obficie, jak ciała górali.

On waha się przez chwilę, później mówi przez ramię:

— Będziesz bezpieczniejsza z dala ode mnie.

Słowa padają ciężko, martwo, bez czucia. Karol Edward zatracił na chwilę zdolność odczuwania czegokolwiek.

Klęska. Potrójna klęska.

Karol Edward zawiódł: nie przejawił chociażby śladu wielkiego talentu wojskowego swego pradziada, Sobieskiego.

I zawiódł siebie samego w próbie zrealizowania własnej koncepcji.

„Zwyciężyć lub zginąć”. Tę obietnicę, tę przechwałkę można było spełnić, gdy rozbito klany na wrzosowisku Drummosse Moor, tylko tak, jak chciał Kilmarnock... Bohaterski książę, wzywający swych wojowników do nowego natarcia, otoczony tłumem „szkarłatnych mundurów”, zabijający, dopóki jego nie zabiją... Ten, który zabiera się do tworzenia legendy, powinien do końca się zachowywać według nakazów legendy.

Inaczej z Karolem Edwardem. Zostawiając heroiczne, lecz

pokonane klany własnemu losowi, odjeżdża z pola bitwy z kilku towarzyszami. Beret i peruka zleciały mu z głowy w szalonym galopie, lecą przez chwilę z wiatrem i padają na wrzosowisku — z nimi jego honor, jak sądzi Lord Elcho, który krzyczy za księciem:

— Uciekaj, ty tchórze, uciekaj!

Jego lordowska mość nie jest sprawiedliwy. Karolowi Edwardowi nie brak tej zwykłej, konwencjonalnej odwagi, która jest potrzebna, by walczyć o życie, nawet przeciw silniejszemu. Brak mu tej rzadszej odmiany odwagi, która, żywotna do końca, każe z podniesionym czołem walczyć o śmierć. Nie potrafi zademonstrować człowieczego triumfu nad śmiercią — jak święty Bartłomiej, Joanna d'Are, jak pradziad Karola Edwarda — który każe sercu wznieść się w górę, dodaje ducha przyjacielowi i wrogowi, przekształca ludzi w bogów.

Tak kończy się bitwa pod Culloden. I nie tylko bitwa. Tak się kończą nadzieje Stuartów na odzyskanie tronu. Taki jest też kres życia tysięcy dzielnych ludzi. Ale tragiczna kalwaria klanów nie kończy się, a dopiero zaczyna. Będą rozproszeni, wygubieni. Ich kobiety zgwałcone, dzieci nadziewane na ostrza bagnetów. Ich domostwa zrównane z ziemią, cały ich świat zniszczony. Rzadko kiedy w dziejach uparta głupota jednego młodego człowieka, niczego nie osiągając, przyniosła tyle nieszczęścia tak wielu ludziom, spowodowała takie potoki wylanej krwi.

*Część druga*

**ZBIEG**



## ***Rozdział XVI***

### **UCIECZKA**

### **PRZED KRWAWĄ ZEMSTĄ**

Karol Edward nie ściągnie cugli, dopóki nie dotrze do Inver-garry w Wielkim Glenie, o jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od Fortu Augusta. Jest z nim Sir Thomas Sheridan, kwatermistrz O'Sullivan, drugi jeszcze Irlandczyk, kapitan Felix O'Neal, góralski przewodnik nazwiskiem Ned Burkę i kilku innych. W Invergarry znajdują dwór Macdonaldów z Glen-garry — pusty. Nocny marsz do Nairn i z powrotem, dzień okropnej bitwy, szalona jazda po trudnym terenie i w strachu, że każdej chwili pogoń ich doścignie, wyczerpały siły księcia. Zbyt zmęczony, by cokolwiek zjeść, rzuca się tak jak stal na podłogę i zasypia kamiennym snem.

Tymczasem książę Cumberland przed odjazdem z pobojo-wiska wydaje rozkaz, by rannym rebeliantom „skrócić cierpienia”. Jego rozkaz wykonano aż nazbyt gorliwie. Setki górali zabijano z zimną krwią. Niektórych unoszono i strzelano do nich. Szałas, w którym leżało trzydziestu kilku rannych mężczyzn, spalono razem z rannymi. Nie tylko rannym „skrócono cierpienia”. Mordowano tych, którzy usiłowali jeszcze uciekać z wrzosowiska, albo ukrywali się w rowach. Nawet starców, kobiety i dzieci, którzy opodal przyszli popatrzeć na bitwę, albo nieśli pomoc rannym i pomagali grzebać zabitych — wszystkich pomordowano razem z innymi.

Cumberland i jego ludzie stosują lekarstwo, które on sam zapisał na parę tygodni przed bitwą pod Culloden:

— Stłumić tę rebelię można tylko mieczem, a tak karząc buntowników, by nigdy więcej nie powstałi.

Zemsta Cumberlanda na szkockich góralach jest tak okrutna, brutalna i niemiłosierna, że niebawem zyska dzięki niej nowe przezwisko: „Rzeźnik”.

I nie tylko książę Cumberland. Generał Hawley chwytą sposobność rewanżu za upokorzenie przegranej bitwy pod Falkirk. Jedzie przez wrzosowiska, poganiając swych dragonów do bezlitosnego zadania. Znajduje pułkownika Karola Frasera, ciężko rannego, leżącego na stosie trupów jego klanu.

— Zastrzel tego buntownika, Wolfe! — woła Hawley do swego adiutanta, któremu było przeznaczone zostać zdobywcą Quebec, tego samego, który nadaremnie próbował odwołać swego generała od boku uroczej Lady Kilmarnock.

Jeden przynajmniej Anglik ma choć odrobinę rycerskości. James Wolfe odpowiada z pogardą:

— Raczej bym zrezygnował z mojej służby, panie generale, niż wykonał ten rozkaz!

Hawley wybucha potokiem przekleństw — i nie poskąpi oczywistego dowodu, że on sam nie dba o takie skrupuły.

Zwycięska armia wkracza do Inverness w ślad za swoim otyłym, spoconym, ubłoconym wodzem. Dzwonnicy chwytają za sznury równie ochotczo, jak przed paru tygodniami, gdy witano Młodego Pretendenta. Zanim jeszcze przebrzmiały radosne dźwięki dzwonów, rozbiegają się na wsze strony oddziały grenadierów, wysłanych przez Cumberlanda i jego oficerów, by aresztować szlachciców z sąsiedztwa, o których doniesiono, że ponoć zaprzyjaźnili się z Pretendentem, teraz uciekinierem. I nim ciemność zapadnie, na rynku już wznoszą szubienice.

Krajem zawładnęły mord, grabież, nieludzkie gwałty i okrucieństwa...

Wczesnym rankiem następnego dnia po bitwie, we dworze Culloden znaleziono dziewiętnastu łżej rannych oficerów

z wojsk rebelianckich. Wyprowadzono ich i postawiono przed plutonem egzekucyjnym. Kilku na moment przed salwą padło na kolana. Uniknęli kul — tylko po to, by ich zatłuczono na śmierć kolbami muszkietów.

Inną grupę znaleziono w domu niejakiego Williama Rose. Angielski kapitan zwraca się grzecznie do pani Rose prosząc, by zechciała kazać wyjść rannym, którymi zajmie się chirurg. „Szkarłatne mundury” wyprowadzają rannych jeńców z głowami poobowiązywanyymi krwawymi szmatami, z ramionami na zaimprovizowanych temblakach, czasem z nogami w bandażach, porobionych z koszul. W parę minut później pani Rose słyszy salwę muszkietową. Zebrawszy w rękę fałdy spódnicy, wypada biegiem w stronę, skąd usłyszała huk. Dwanaście trupów — i oddział „szkarłatnych mundurów” maszerujący ze śpiewem na ustach.

Ten, którego dotąd zwano „Billy Boy”, pił do późna poprzedniej nocy i wstał nierychło. Siada do śniadania. Odgłosy salw plutonów egzekucyjnych dolatują jego uszu. Ale tak jak snu nie zmaciły mu jego własne barbarzyńskie rozkazy, tak i jego niewiarygodnego apetytu nie psują mordy, plamiące jego ręce. Rzeźnik...

W Invergarry do księcia przychodzi Klementyna Walkinshaw.

— Przysięgam — przypomina mu — że nigdy ciebie nie odstąpię, dokądkolwiek opatrność zechce ciebie zaprowadzić...

Księżę więcej jej teraz serca okazuje.

— Wzrusza mnie twoja miłość i lojalność. Ale ludzie Cumberlanda szukają mnie wszędzie. Nie jesteś bezpieczna w moim towarzystwie.

— Wolę twoje towarzystwo od mego bezpieczeństwa — odpowiada dziewczyna. — Cokolwiek będziesz cierpiał, ja z dumą podzielę twój los!

Księżę obejmuje ją, całuje namiętnie, a potem odsuwa na długość ramienia.

— Możesz mi oddać jedną ważną usługę. Zaopiekuj się moim starym gubernierem. Trudy, jakie nas teraz czekają — jeśli tylko trudy — nie są dla człowieka jego lat. Zabierz go ze sobą do Perth. A ty czekaj na mnie w domu twego stryja. Ja tam przyjadę, albo przyślę po ciebie.

Klementyna protestuje. Płacze — nie z powodu nałożonego na nią obowiązku, ale dlatego, że ukochany księżę odsyła ją od siebie. Ale żadne błagania nie poruszają księcia. Nie ośmieli się zmienić decyzji. Gdy niepokieszona Klementyna odjeżdża, towarzyszy jej Sir Thomas Sheridan. Inni, którzy uciekli razem z księciem z wrzosowisk Drum Mossie Moor, też jadą z nimi. Koniecznie trzeba ograniczyć do minimum liczbę osób, towarzyszących królewskiemu zbiegowi. Nieliczna grupa mniej zwraca na siebie uwagę. Toteż ci, którzy na życzenie księcia opuszczają go teraz, rozdzielają się niezwłocznie i po dwóch, trzech, szukają dalszego schronienia, lub też jak Klementyna i Sir Thomas odjeżdżają do swoich domów.

Na zachód księżę jedzie tylko w towarzystwie Irlandczyków O'Sullivan i O'Neala, z przewodnikiem Nedom Burkę. Wyruszają pieszo, po skalistej, wysokogórskiej okolicy, dążąc do wybrzeża. Może szczęśliwym trafem jakiś francuski statek wyminie czujną bacność angielskiej floty i dotrze do skrytej przystani — na ratunek.

Mord, grabież, nieludzkie okrucieństwo...

W ciągu operacji, kontynuowanych przez wiele tygodni po bitwie pod Culloden, Cumberland i jego ludzie osiągają stopień zezwierzęcenia rzadko notowany w dziejach barbarzyństwa. Gdy Lord Prezydent Duncan Forbes wypomina księciu Cumberlandowi, że jego oddziały gwałcą prawa, słyszy:

— Jakie prawa? Każę brygadzie nadawać prawa!

Oddział, powracający późnym wieczorem do Inverness po

polowaniu na rebeliantów, dostrzega światło w samotnym domu nad rzeką. Wchodzą. Znajdują mężczyznę leżącego na łożu, z głową owiniętą skrwawionym bandażem. Jego młodzianka córka z przerażeniem w oczach czuwa przy ojcu. Żołnierze zdzierają bandaż, odkrywają głęboką ranę, potem siekają szablami bezsilne ciało górala. A dziewczynkę znajdują sąsiedzi nazajutrz nagą i martwą obok śmiertelnego łoża jej ojca...

Gdy do Londynu nadeszła wieść o klęsce Karola Edwarda, odbywają się rozpasane demonstracje dzikiej radości. Wielka ulga znajduje najpierw wyraz w niespotykanej dotąd admiracji dla Hanowerczyka na tronie i jego żołnierskiego syna — „młody bohater brytyjski”. Parlament gratuluje Jerzemu II i przyznaje mu dodatkowe apanaże w wysokości 25 000 £ rocznie — dokładnie za co, nie wiadomo. Może za to, że powiedział: „Ech! Nie mówcie mi o tych głupstwach!”

Po radości i uldze nadchodzi chęć pomsty na tych wszystkich, którzy takiego strachu napędzili Londyńczykom groźnym pochodem aż do Derby. Nie ma klanów w Londynie, ale są Szkoci i współwyznawcy Karola Edwarda.

Na ulicach obrzuca się kamieniami i wyzwiskami każdego Szkota, niezależnie od jego politycznych i dynastycznych afiliacji. Tłumy czeladników, dokerów i marynarzy wrzeszczą:

— Śmierć papistom!

Spokojni i lojalni katoliccy obywatele w trwodze o życie, sprzedają swój dobytek i opuszczają Londyn. Ich kaplice splądrowane, rozbite, podpalone.

W Edynburgu też niewiele więcej wstrzemięźliwości. Kupcy cieszą się z powrotu pokoju. Ogłasza się dzień uroczystego dziękczynienia. Na ulicach, gdzie przed paru miesiącami kobiety trącały się łokciami z rozpustną oceną męskości górali, teraz sprzedawane są ilustracje, przedstawiające: „Wiktorię zwycięsko deptącą Rebelię, a Sprawiedliwość karcącą ją nagim mieczem”. Sprawiedliwość! Rzeźnik i sprawiedliwość! Tłumy

w stolicy Szkocji wyszukują każdego, kto ujawnił się w październiku jako papista i jakobita. Gdy arystokracja baluje i ucztuje — i chrzci swych, synów imionami „Cumberland William” — tłumy wieszają na placach kukły, przedstawiające papieża i pretendenta.

Cumberland! Cumberland! Tylko w górach nie jest on „młodym brytyjskim bohaterem”. A przecież to nie on sam i nie jego armia zwyciężyły rebelię. Jeszcze zanim doszło do bitwy pod Culloden, czujna flota angielska zatopiła u wybrzeży Szkocji wszelkie szanse sukcesu, jakie mógł mieć Karol Edward. Ani jeden francuski czy włoski statek nie przemknął się, by dostarczyć pieniędzy, dostaw, ochotników. Wiwatujące tłumy zapomniały o roh, jaką odegrała ta „milcząca służba”. Ale Jerzy II wiele zawdzięcza ludziom morza, którzy przyczynili się do ocalenia jego dynastii.

Sto kilometrów marszu doprowadza prawnuka Sobieskiego pewnego późnego wieczoru prawie dokładnie do miejsca, na którym przed ośmiu miesiącami po raz pierwszy postawił stopę na szkockiej ziemi. Ze swymi trzema towarzyszami dochodzi do Glenbeasdale, tuż przy Borrodale, na północnym brzegu Loch nan Uamh. Nie ośmielili się ryzykować odkrycia, szukając żywności i noclegów po drodze. Pożywiali się tylko tym, co zabrali ze sobą z Invergarry. W ciągu ostatnich dwudziestu godzin marszu podtrzymywali się tylko wodą z górskich strumieni, którą pili, leżąc na płask na ziemi. Ani kęsa żywności.

— Prędeż czy później — mówi ze znużeniem książę — będziemy musieli zawierzyć lojalności wieśniaków. Cóż z tego, że unikniemy szubienicy, jeśli pomrzemy z głodu?

Ned Burkę ofiaruje się pójść do chaty opodal miejsca ich ukrycia w poszukiwaniu żywności.

— Nie, nie. Ja pójdę sam — nalega książę. — Ci, którzy mnie tak gościnnie witali tutaj, gdyśmy pierwszy raz wylądowali, nie zawiodą i nie wydadzą mnie.

Tak więc idzie. Do siwowłosego górala, który uchyla tylko odrobinę drzwi chaty, powiada:

— Mój zacny człowieku... Gzy mnie nie znasz?

To więcej niż prawdopodobne. Mało książęcego pozostało w wyglądzie Karola Edwarda. Odzież na nim podarta, obuwie poszarpane ostrymi kamieniami, twarz brudna i zarośnięta.

— Wielu przychodzi tu i odchodzi — odpowiada góral. — Nie pytam o imię, nie chcę pamiętać twarzy. Niepewne to czasy.

Nawet w tych okolicznościach Karol Edward nie potrafi uniknąć zamiłowania do dramatycznych gestów:

— Syn twego króla przychodzi prosić o kawałek chleba!

Bez dalszych słów stary góral otwiera szeroko drzwi. Tylko jedną ma izbę. Książę i O'Sullivan mogą tu spać. On sam z O'Nealem i Nedom Burkę pójdą do stodoły. Rzykując życiem, stary góral żywi i chroni czterech uciekinierów. Jest pierwszym z wielu, którzy to uczynią z ochotą. Każdy prawie człowiek, uciekający od prawa angielskiego może być pewien bezpiecznego schronienia wśród klanów w górach. Do ich tradycji należy opozycja wobec każdego rządu, prócz władzy ich lokalnego wodza. Każdy tu ukryje uciekiniera, bo nie wie, kiedy sam może potrzebować ukrycia.

Na głowę księcia naznaczono cenę trzydziestu tysięcy funtów szterlingów. Ale tych pieniędzy nie tknie nawet najbiedniejszy z biednych. Rychła pomsta mogłaby go spotkać z rąk sąsiadów, a prócz tego zabobonnie wierzy, że opatrność pokarałaby tego, który by wziął do ręki pieniądze, splamione królewską krwią.

Mord, nieludzkie gwałty i okrucieństwo...

Niejaka pani Robertson, wracając z Inverness do swego podmiejskiego domu, ze zgrozą widzi na miedzy rzucone trupy, obdarte z odzieży i okropnie pokaleczone. Przed drzwiami jej własnego domu leży szesnastu zabitych rebeliantów. Gdy patrzy, jak jej służba kopie groby, nadchodzi sierżant i kilku żołnierzy.

— Związać tę buntowniczą sukę! — rozkazuje sierżant. —

Musi sprzyjać rebelii, inaczej te świnię — tu kopie trupa — nie ukrywaliby się u niej!

Żołnierze zabierają kobietę za dom, gdzie leżą jeszcze dwa trupy, zakryte firanką, zerwaną z okna. Ściągają z nich tę zasłonę i przytykają twarz pani Robertson do zwłok, by wiedziała, jaki los czeka rebeliantów. Żołnierze rechoczą, a sierżant powiada z widoczną dumą:

— Znaleźliśmy ich rannych, jeszcze nie martwych, więc podpaliliśmy im tyłki i upiekliśmy żywcem...

Żoldactwo tylko naśladuje przykład ich „młodego brytyjskiego bohatera” niemieckiej krwi. Cumberland piętnuje sędziego w Inverness mianem „starej baby, która mi prawi bajki o humanitaryzmie...”

Trzej mężczyźni z listem od Lorda George'a Murraya docierają do księcia w jego wysokogórskim schronieniu: Lord Ekho ze sługą i dr Donaid Macleod, pochodzący z Hebrydów. Lord George donosi, że z diukiem Perth i innymi wodzami zebrał w Ruthven, w pobliżu Kingussie, jakieś pięć tysięcy żołnierzy, rozbitków z bitwy pod Culloden i świeżo zwerbowanych, głównie klany Grant i Cluny, które wymaszerowały, by się przyłączyć do rebelii, ale nie zdążyły przed bitwą. W dalszym ciągu pisze:

„Błagamy waszą księżęcą wysokość, byś zechciał przyjść i stanąć na czele. Teraz, gdy poszczególne oddziały wojsk rządowych są rozesłane daleko po górach na karnych ekspedycjach, należy zaatakować księcia Cumberlanda i rozbić jego główne siły. Jeszcze czas, by naprawić fortunę dynastii waszej księżęcej wysokości”.

Księżę czyta i potrząsa głową.

— Czas. Może i będzie. Ale nie teraz.

Nareszcie pojął lekcję. Jakim szczęściem by to było dla tych tysięcy, zaprawdę, dla całej Szkocji, gdyby tę lekcję pojął o osiem miesięcy wcześniej, tu właśnie, nad brzegami Loch nan



Uamh — lekcję, której chcieli go nauczyć Boisdale, Clanra-nald, arcybiskup Hugh Macdonald, Lochiel „Łagodny”. Lepiej późno, niż wcale. Teraz musi tej samej lekcji nauczyć swoich nauczycieli.

Lord Elcho jest zrozpaczony, zirytowany.

— Nie pojedzie więc wasza książęca wysokość z nami?

— Zamierzam wrócić do Francji — odpowiada książę.

Elcho protestuje i przytacza argumenty podobne do tych, jakie przed bitwą pod Culloden powtarzała Klementyna.

— To niegodne imienia Stuarta! Ci, którzy poświęcili wszystko dla tego imienia, teraz potrzebują obecności waszej książęcej mości, potrzebują wodza, wokół którego mogliby się znowu zgromadzić. Inaczej wpadną w ręce okrutnego, nie znającego litości nieprzyjaciela.

Karol Edward był niegdyś uparty w głupocie. Teraz jest równie uparty w powziętej decyzji, aby nie być więcej powodem dalszego, bezcelowego przelewu krwi. Ma rację. Hanowerczyk zbyt mocno siedzi w siodle, nawet w Szkocji. Wznowienie walki do niczego nie doprowadzi. I nie odwiedzie Rzeźnika od jego nieludzkiej zemsty. Młody Pretendent pominął nawet sposobność, którą miał pod Culloden, bohaterskiej śmierci za swoją sprawę.

— Niechaj każdy myśli o własnym bezpieczeństwie — mówi i odwraca się smutny, zawstydzony, ale nieugięty w swym postanowieniu.

Dr Macleod zostaje z księciem. Lord Elcho ze sługą odjeżdżają.

Lord George Murray ucieknie do Francji, dotrze do Rzymu, gdzie go serdecznie przyjmie i wyznaczy mu pensję Stary Pretendent. Diuk Perth umrze podczas przeprawy przez Kanał La Manche i zostanie pochowany w morzu.

Z innych, którzy należeli do najbliższego otoczenia księcia, Eneas Macdonald zostanie uwięziony, ucieknie, ale znowu schwytany i przykuty do podłogi w celi, wykupi się w końcu na wolność. Murray z Broughton ocali własną skórę — jako

donosiciel — informując o innych, a jego informacje posła na szafot wielu lepszych od niego. Lord Elcho opłaci swą wolność wielką sumą i napisze słynny pamiętnik o rebelii. Niektórzy z wodzów klanowych udadzą się na wygnanie do Francji i Włoch. Wielu, między innymi Clanranald, ukryją się w górach, w jaskiniach, lasach i kotlinach, albo na wyspach Hebrydzkich i pozostaną w ukryciu czasem przez dziewięć lub dziesięć lat. Lojalni członkowie klanów, których wodzowie przebywają w ukryciu, płacą przez cały ten czas podwójne podatki za swoje gospodarstwa — raz rządowi, który skonfiskował ziemie przywódców buntu, drugi raz przebywającym w ukryciu prawdziwym właścicielom.

Lady Anna Mackintosh, która posłała klan Chattanów do walki po stronie Pretendenta, nie opuściła swego domu. Tam też przebywa pułkownik Thomas Cockayne z dwustu żołnierzami. Chociaż mąż Lady Anny walczył po stronie królewskiej, żołnierze zabierają Mackintoshom wszystkie konie, owce i bydło dla wojsk, stojących w Inverness. Sierżant łomocze w drzwi domu, wzywając: „tę przeklętą rebeliantkę, Lady Mackintosh”. Ona przychodzi: jest młoda, piękna, pełna spokojnej godności. „Szkarłatne mundury” uganiają po całym jej domu, rozbijają, czego nie mogą zabrać, tną bagnetami i szablami na paski wszystkie jej suknie w szafach. Jej kapelan wyjmuje z kieszeni zegarek: żołnierze wydzierają mu go. Lady Mackintosh ofiarowuje 50 gwinei, by go wykupić. Żołnierze zabierają pieniądze — i zegarek także. Następnego dnia „szkarłatne mundury”, obładowane łupem, eskortują Lady Annę — w niebieskim berecie i podróżnym stroju z klanowego tartanu — do Inverness. Pułkownik Cockayne — który wczoraj wcale nie próbował zapobiec grabieży — teraz stara się być rycerskim, wychwala odwagę Chattanów w bitwie pod Culloden. Ale ani słowa odpowiedzi nie może wyciągnąć z zamkniętych ust Lady Mackintosh. Po jakimś czasie przestuchuje ją Cumberland, ale także nie uda mu się wydobyć z niej ani słowa. Jest uwięziona w zwykłej izbie gwardzistów.

Tego wieczoru, podczas obiadu z oficerami pułkownik Cock-ayne, na którym odwaga i godność uwięzionej wywarły wrażenie, odzywa się:

— To dzielna kobieta i zasługuje na respekt.

W odpowiedzi generał Hawley przechyla się przez stół do Cockayne'a i krzyczy:

— Niech ją diabli wezmą! Już ja ją uhonoruję — każę dla niej zbudować specjalną szubienicę z mahoniu i powiesić ją na jedwabnym sznurku!

Jeszcze jednym z magnatów, skazanych na śmierć, jest Lord Lovat. On to właśnie, chcąc ocalić własną skórę i majątek, deklarował lojalność wobec Jerzego II, a jednocześnie posłał swego syna Simona wraz z częścią klanu Fraserów do dyspozycji księcia. W obliczu śmierci Lord Lovat nie ulęknie się ani nie upokorzy. Gdy mu powiadają, że jeżeli dopełni jakiegoś aktu poddania, jego zwłoki nie zostaną wystawione na publiczny widok wraz z trupami innych przywódców rebelii przed edynburskim zamkiem, odpowiada z pogardą:

— Skoro król zabiera mi moją głowę, nie dbam, co zrobi z moją...

Dr Donald Macleod, chociaż blisko siedemdziesięcioletni jest teraz dla księcia uosobieniem nadziei.

— Słyszałem — mówi do starego Szkota — że jesteś wybornym żeglarzem i pilotem, że znasz każdy zakątek tych wybrzeży. Czy więc znajdziesz dla mnie łódź i przewieziesz mnie na wyspy, gdzie będę bezpieczniejszy, niż tutaj?

— Wasza książęca mość dysponujesz moją osobą — odpowiada siwowłosa Macleod. — Z ochotą zaryzykuję życiem, by zapewnić bezpieczeństwo waszej książęcej wysokości.

Ryzyko rzeczywiście niebłahe. Zbiegów mogą przychwycić angielskie okręty. A nim znajdzie łódź i zaufanych wioślarzy, zbiera się na burzę.

— Lepiej odłóżmy tę wyprawę, wasza książęca mość —

ostrzega Macleod. — Burze na tych wodach bywają groźne, a wasza książęca wysokość nie przywykłeś do łodzi.

— W najgorszej burzy istnieje szansa przeżycia — odpowiada książę. — A jeśli Cumberland nas tu przyłapie, nie ma my żadnej szansy.

Macleod nie zwleka dłużej. On sam czuje się już tak stary, że nie dba, czy tę resztkę życia jeszcze skróci. Jest nieustraszony — i będzie cierpiał za tę odwagę.

O'Sullivan zachorował na febrę i zdaniem doktora nie mogą go zabrać w takim stanie. W rękę starego górala, który ukrywał uciekinierów, wciśnięto parę gwinei. Książę, Macleod, O'Neal i Ned Burkę wsiadają do łodzi. Płyną po zatoce Erisaig w kierunku wyspy Skye, za którą leżą wyspy Hebrydzkie: Południowa Uist, Benbecula i Północna Uist. Grożąca burza wybucha. Macleod powie, że to była najstraszniejsza burza, jakiej zaznał.

— Miałeś rację, ostrzegając mnie — przyznaje Karol Edward. — Chyba lepiej zawróćmy do brzegu.

Ale zawrócić, to niebezpieczniejsze, niż płynąć dalej — i nie tylko z powodu łowców ludzi w szkarłatnych mundurach. Macleod odpowiada:

— Lepiej będzie, wasza książęca wysokość, utonąć w czy stej wodzie, jeśli już musimy utonąć, niż rozbić się na kawa łeczki o skały, a utonąć potem!

Tak więc burza szaleje, deszcz zacina, wichura wyje, łodzią rzuca ze szczytów olbrzymich fal w głębokie przepaście, a wioślarze pracują uparcie. Wydaje się, że chyba cudem jakimś dotarli do celu swej podróży, o której nieznanym poetą będzie mówił w nieśmiertelnej piosence:

*Płyn łódka chyża jak skrzydlaty ptak,  
Morzem głębokim do Skye,  
Nieś chłopca, który miał królować nam...  
Morzem głębokim do Skye...*

## *Rozdział XVII*

### **„NAKAZY HUMANITARYZMU" I NIELUDZKOŚĆ**

Przez parę tygodni książę zmienia kryjówki, krążąc między wyspami South Uist i Benbecula. Żyje w najprymitywniejszych warunkach, za dom służy mu na wpół zawalone szałas, za łóżko w najlepszym razie stary żagiel, rozpostarty na wiązce słomy, jedynym i częstym pożywieniem — czarny chleb, wędzona ryba i z rzadka luksus: baranina upieczona nad ogniskiem z torfu.

Jako ścigany zbieg, ten prawnuk Jana Sobieskiego ukazuje się od najlepszej strony. Teraz ujawniają się dobre cechy jego charakteru. W nieustannym niebezpieczeństwie wydaje się wartościowszym człowiekiem, niż kiedykolwiek przedtem — i potem. Nie opuszcza go dobry humor, żartuje z trudów i niewygód. Prócz rzadkich wybuchów zniecierpliwienia, dość zrozumiałych, jest pogodny, opanowany. Bez skargi przyjmuje upokorzenia swego przebrania. Dbą o towarzyszy, nie brak mu odwagi. Wart jest tych lojalnych mężczyzn i kobiet, którzy dla niego ryzykowali wszystko. Taki właśnie Karol Edward będzie w pełni zasłużenie żyć w ich pamięci, w ich legendach, w ich balladach.

Na wyspach Hebrydzkich angielskie prawo niewiele znaczy. Żaden z królów dynastii Stuartów, a cóż dopiero mówić o Hanowerczykach, nie potrafił narzucić swej władzy hardym, niepodległym mieszkańcom, z których wielu ma w żyłach wię-

cej krwi norweskiej niż szkockiej — rybakom, pasterzom, tkaczom wyrabiającym słynne tartany i tweedy. Od IX do XIII wieku, wyspy te zamieszkiwali Norwegowie, a należały one do Skandynawii. Późniejsi niezależni władcy wysp toczyli ciągłe wojny z lądem stałym. Wszelkie wysiłki narzucenia władzy politycznej czy to przez Szkocję czy też Anglię rozbijały się o skały i fiordy, gleny i kotliny, i o góralski dumny upór. Nadal też w okresie, gdy Karol Edward ukrywa się na South Uist i na Benbeculi — z Donaldem Macleodem, Felixem O'Nealem i Nedom Burką — Macdonaldowie, panowie wysp, opierają się wszelkiej interwencji z zewnątrz.

Ale i tak królewski banita nie na długo jest tu bezpieczny. Formalnie angielskie prawo nie działa na wyspach, ale brygady żołdaków Cumberlanda narzucają swoje bezprawie. Wkrótce żądni krwi łowcy ludzi przepływają się przez morze na wyspy. Dla Karola Edwarda zaczyna się okres wędrówek z jednej wyspy na drugą, to znowu na ląd stały, a później jeszcze raz na wyspy. Ani chwili spokoju, ani chwili bezpieczeństwa. Gdy nadchodzi wieść o przybyciu żołnierzy na South Uist, trzeba koniecznie uciekać z Benbeculi.

Szukając godnego zaufania wioślarza, O'Neal spotyka pewnego dnia wysoką, ciemnowłosą i ciemnoką kobietę, dobrze, nawet wytwornie ubraną, niewątpliwie należącą do sfer szlacheckich. Wdaje się w rozmowę.

— Pan nie tutejszy — stwierdza dziewczyna.

— Przyjechałem niedawno ze stałego lądu.

Ona patrzy na niego z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Może z Drummossie Moor?

O'Neal waha się:

— A co to ma za znaczenie na tych odległych wyspach?

— Skała i wrzos nie mają uczuć — odpowiada dziewczyna — ale mężczyźni i kobiety, a może zwłaszcza kobiety — mają... Szkoda, że wcześniej nie byłam z waszym księciem.

O'Neal jeszcze trochę pyta, bada, wreszcie dochodzi do

przekonania, że dziewczyna interesuje się rebelią z przyjaźni dla sprawy Stuartów.

— Gzy nie chciałaś, pani, teraz spotkać swego księcia i może dopomóc mu?

— Ach! Tego się spodziewałam. On jest tutaj! Ze szczerego serca mu pomogę. Ale to niełatwo. Mój ojczym, Hugh Macdonald — bo obaj mężowie mojej matki pochodzili z tego samego klanu — jest kapitanem w armii Gumberlanda. I jest teraz na wyspach, szuka... I jeszcze druga sprawa. Złośliwy to i zawistny świat, i chwytą chciwie byle pozoru, który mógłby kobietę jej czci niewieściej pozbawić...

— Co do tej pierwszej trudności — przerywa O'Neal — to wszędzie roją się oficerowie i żołnierze w poszukiwaniu księcia. Gdyby to miało być przeszkodą w dopomożeniu mu, toby mu nikt nie pomógł — i byłby zgubiony. A co do czci niewieściej — proszę być bez obaw. Pomagając swemu księciu, zyskuje się część nieśmiertelną. Ale gdybyś pani nadal żywiła takie obawy, to klnę się na Boga, że gotów jestem poślubić cię i to natychmiast, jeśli zechcesz.

Dziewczyna się śmieje.

— Cóż za desperacki sposób, i to po tak krótkiej znajomości! Jednakże przekonałeś mnie, mój panie. Zobaczę, co da się zrobić. Muszę mieć jednak trochę czasu, żeby obmyślić dobry plan.

Wyznacza spotkanie: przyjdzie o północy za dwa dni.

— A twoje miano, pani?

— Flora Macdonald.

Historyczne fakty potwierdzają legendarną tradycję.

Kapitan Hugh Macdonald nie pyta o nic, gdy jego pasierbica prosi o przepustkę dla siebie samej, dla irlandzkiej szwaczki i służącego, by wybrać się na wyspę Skye.

Umówionego wieczoru, pod koniec czerwca 1746 r., książę i O'Neal wyprawiają się do szałas, wyznaczonego przez Florę Macdonald w małej wiosce, zwanej Rossinish. Macleod i Ned zostają w dawnym schronieniu na wyspie Benbecula.

Podczas trudnego marszu po głazach i usypiskach skalnych książę niejedną raz potyka się, pada, wstaje z trudem. Wreszcie nie może iść dalej, a O'Neal podejmuje ryzyko zwrócenia się z prośbą o trochę żywności i domowego piwa w szałasie pasterskim. Pokrzepiwszy się, Karol Edward jest w stanie ruszyć w dalszą drogę. Niebawem O'Neal proponuje:

— Za pozwoleniem waszej książęcej wysokości, ja pójdę naprzód i upewnię się, czy wszystko jest w porządku.

Karol Edward rzuca się na wilgotne wrzosowisko i zasypia. O'Neal podchodzi do szałasu z przezornością myśliwego, tak stawiając każdy krok, aby trzask gałązki ani obsunięcie się kamienia nie zdradziły jego obecności. Przezorność bardzo na miejscu. Opodal szałasu rozłożyło się obozem kilkunastu żołnierzy Gumberlanda, którzy wylądowali na Benbeculi w ciągu dnia. Czy to przypadek sprowadził ich tak blisko upatrzonej ofiary? Czy zdrada? Żaden szczyry góral nie sprzeda swego księcia. Ale ponoć wśród klanów krążą angielscy szpiedzy.

Obudzony i ostrzeżony o niebezpieczeństwie, Karol Edward daje upust jednemu ze swych rzadkich napadów zniechęcenia.

— Nigdy nie uda mi się stąd wydostać! Pogoń napiera na mnie ze wszystkich stron!

Tak by się zdawało. Ale O'Neal mówi rzeczowo:

— Jeszcze nas nie nakryli, mości książę! Dopóki jesteśmy wolni, dopóty jest nadzieja!

Uchodzą ostrożnie coraz wyżej, wykorzystując każdą nierówność gruntu, kryją się aż do świtu. Pada ciepły deszcz, chmary komarów złośliwie kęsa im twarze i ręce.

O świcie O'Neal, śledząc żołnierzy zza skały, szepcze:

— Szykują się do odejścia.

— Czy jesteś pewien, że tej młodej kobiety nie ma wśród nich? Mogli ją porwać, albo też ona zdradziła...

— Nie, nie ma jej na pewno. I głowę w zakład stawię, że ona uczciwa!

Gdy żołnierze odeszli, dwaj uciekinierzy wchodzi do szałasu, wyznaczonego na spotkanie. O'Neal wyjmuje z plecaka ba-



ranie wnętrzości, które dostał od górala, i rusza na poszukiwanie Flory Macdonald. Gdy wraca razem z dziewczyną, młoda Szkotka zastaje dziwną postać: mężczyznę brudnego, roztarganego, o zaczerwienionych oczach, kaszlącego od dymu torfowego ogniska, nad którym, na zaimprovizowanym drewnianym rożnie próbuje upiec baranie podroby. O'Neal dokonuje prezentacji z dobrotliwą ironią:

— Madame, twój książę!

Zajęcie, choćby uciążliwe i perspektywa posiłku przywróciły księciu dobry humor. Czyni gest jedną ręką, bo drugą ma zajęta przy rożnie.

— Proszę mi wybaczyć takie maniery, madame. Ale śniadanie to sprawa wielkiej wagi! — Uśmiecha się i kiwa głową. — I proszę tylko zważyć, jak szczęśliwa jest pani, madame, że nie potrzebuje wkładać swej wdzięcznej białej rączki w moją ubrudzoną dłoń! Zważ pani również, że nie co dzień, nawet w takich krajach jak Italia, gdzie książąt jest tylu, że po dwa grosze kupować ich można, spotyka pani królewskiego syna o takim wyglądzie i zajęciu!

— Wasza książęca wysokość jest w dobrym humorze — odpowiada Flora. — To ważniejsze dla naszego przedsięwzięcia od ceremonii.

— Chodź, O'Neal, twoja kolej kręcić rożen! — mówi książę. — Proszę mi wybaczyć, madame, muszę jakoś umyć ręce.

Idzie w stronę wyjścia — drzwi w szafasie nie ma. Ale Flora go zatrzymuje.

— Lepiej nie pokazywać się w świetle dnia, wasza książęca mość!

— Słusznie, ostrożność nie zawadzi. Ale proszę mi opowiedzieć o sobie, madame. Nie brak pani odwagi ani uczciwości, skoro tak się narażasz na niebezpieczeństwa dla mnie!

— Proszę nie sądzić, że umiłowanie romantycznej przygody jest wyłącznym przywilejem waszej książęcej mości! Ale nie traćmy czasu. Mam dla waszej książęcej mości plan wyjazdu przez wyspę Skye...

— Z powrotem przez morze? — śmieje się książę. — Jeśli nas nie chwycą, to utoniemy. Zaznałem już rozkoszy przeprawy po tych wąskich morzach w burzę małą łodzią. Ale jeśli trzeba!

— Benbecula jest za mała, wasza książęca wysokość! Mniej niż sto mil kwadratowych — wyjaśnia Flora. — Jeśli żołnierze zabiorą się do systematycznego poszukiwania...

— Proszę, zechciej nie zwracać uwagi na moje wątpliwości — przerywa jej książę. — Oddaję się bez zastrzeżeń w twoje ręce, madame!

Istotnie, nie ma innego wyboru.

Tymczasem ataki Cumberlanda na klany jeszcze się nasilają. Cumberland dobrze rozumie, że tego wojowniczego narodu nie można zgnieść jedną klęską. Zbierają się znowu, ostrzą broń, czekają sposobnej pory. Ale jest pewien rodzaj represji, którego się boją najbardziej, bo najboleśniej uderza w ich kobiety i dzieci: głód. Jeden z pomocników Rzeznika, pułkownik Karol Whitefoord, pisze do swojej żony:

„Oczyściliśmy już nie najgorzej okolicę... domy zrabowane i popalone, bydło szlachtowane na miejscu lub wypędzane, pługi i inne narzędzia zniszczone...”

Bezdomne, głodne sieroty i wdowy stoją grupkami na krańcu pola i patrzą strasznymi oczyma na szlachtowanie ich własnego bydła i owiec. Czasem błagają o pozwolenie zabrania wnętrzności, zlizywania krwi. Zwykle odpędzają ich halabardami. Kobiety z niemowlętami, ssącymi ich wyschnięte piersi, ofiarowują czasem za odrobinę pożywienia jakiś ukryty skarb, broszkę, klamrę, pled ocalony przed łupieżcami.

Wzdłuż dolin żołnierze dzień za dniem pędzą setki ryczącego bydła, które niebawem liczą w tysiące w wielkich ogrodzeniach. A ze szkockich nizin i z północnych hrabstw Anglii ciągną konno, kolaskami, tłumnie handlarze bydła z wypchanymi sakiewkami. Książę Cumberland może sobie pozwolić na sprzedawanie tanio tego, co wziął za darmo. Otrzymane sumy są roz-

dzielane — proporcjonalnie do zasług w kradzieży i rabunku bydła — między „szkarłatne mundury”, by zachęcić do entuzjazmu w polowaniu na ludzi. Cały gospodarczy ustrój gór szkockich jest świadomie i bezwzględnie niszczonej.

Grupka, która wyrusza z małej przystani na wschodnim wybrzeżu wyspy Benbecula, składa się z Flory Macdonald, służącego, nazwiskiem Mc Kechan, oraz Betty Burkę, opisaną jako szwaczka. Ta ostatnia jest przystrojona w kwiecistą lnianą suknię, jasną, pikowaną spódniczkę, mantylkę z kapturkiem i parę ciężkich męskich butów! Wioślarze kierują łódź na północny-wschód. By trudne godziny szybciej upływały, Betty Burkę opowiada swej pani romantyczne opowieści o różnych przygodach. Może jednak talent narracyjny Betty Burkę nie dorównuje talentom barda z wysokich gór, gdyż Flora Macdonald zasypia w czasie opowiadania!

Ale jej odpoczynek trwa krótko. Z półwyspu Vatarnish, po zachodniej stronie wyspy Skye, rozlegają się strzały. Flora budzi się z przestrachem, Betty Burkę wskazuje jej grupę żołnierzy na brzegu, a Mc Kechan angielskie okręty na horyzoncie. Wioślarze podwajają wysiłki i w rekordowym czasie przepływają tych parę kilometrów. Cała kompania dociera o zmierzchu do zatoki Monkstadt, nieco na północ od miasteczka Uig.

Tu zamieszkuje Sir Aleksander Macdonald, krewny Flory, ale stronnik Cumberlanda. Dziwny ten fakt, że nawet wewnątrz takich klanów, jak Macdonaldowie, jedni z naczelników opowiadają się po tej stronie, inni znowu po tamtej, ułatwia kampanię, zmierzającą do zniszczenia życia plemiennego. Wobec takich podziałów lojalności dawne więzy słabną, rwą się, przyjaźnie zmieniają się we wrogość, rody rozpadają się. Nawet mąż i żona bywają niezgodnych poglądów: i tak się dzieje w małżeństwie Sir Aleksandra i Lady Margaret.

Flora udaje się do kuzynki, opowiada o swym przedsięwzięciu.

— Z samej litości nad jego losem, jeśli nie dla żadnego innego powodu, pomogę mu — powiada siwowłosa Lady Margaret. — Rzekłszy prawdę, sprawi mi to satysfakcję. Nie kocham bynajmniej tych Niemczurów na tronie. Ale musimy zachować daleko idącą ostrożność — dodaje spokojnie — bo u nas w domu przebywa „oddział szkarłatnych mundurów” z oficerem.

— Na duszę Marii Stuart! — wykrzykuje Flora. — Z deszczu pod rynnę! Muszę natychmiast... Betty zabrać stąd!

Lady Margaret nie traci spokoju, ufa swoim zdolnościom wystrychnięcia żołnierzy na dudków.

— Gzy twoi przyjaciele są w dobrym ukryciu? — pyta.

Flora objaśnia, gdzie zostawiła Betty Burkę i Mc Kechana.

— Syn mój, Macdonald z Kingsburgh, jest tutaj teraz — mówi Lady Margaret. — Zanieś żywność twoim przyjaciółom. A jutro zaprowadzi was wszystkich do swego własnego domu, gdzie jak dotąd nie ma jeszcze tych opryszków w szkarłatnych mundurach.

Kingsburgh odnajduje kryjówkę. Gdy podchodzi, z wrzosiwiska powstaje wysoka, muskularna postać w damskich sukniach, zaczepiając obcasem o obręb spódnicy. Kingsburgh kryje uśmiech na widok tej niezdarności. A tuż nad jego głową unosi się groźnie w górę sękata maczuga.

— Jestem Macdonald z Kingsburgh, stawiam się do usług waszej wysokości — mówi Szkot.

Betty Burkę opuszcza maczugę i mówi po prostu:

— To dobrze, bo jeść mi się chce...

Karol Edward, czyli Betty Burkę i młody „laird” spożywają zimny posiłek pod gołym niebem, obsługiwani przez Mc Kechana. A tymczasem Flora zaszczycą przyjęcie u swych krewnych, siedząc naprzeciw oficera, którego obowiązkiem jest wymierzyć najsurowszą karę każdemu, kto by dopomagał księciu. Obie kobiety z satysfakcją nasłuchują dźwięków z lekka ochrypłych głosów, wyśpiewujących żołnierskie piosenki, a dolatujących ze stajni, dokąd Lady Margaret posłała hojnie trunków.

Z nieco złośliwą słodyczą Flora wyciąga z oficera wyznanie gniewu, do którego go doprowadza jego własne dotychczasowe niepowodzenie w pełnieniu powierzonej mu misji.

— I nie ma pan dalszych informacji o swojej ofierze, panie kapitanie?

— Podobno był na Benbeculi, ale odplynął stamtąd w niewiadomym kierunku, razem z jakąś młodą kobietą. Skoro ją schwytam, spódnica nie ocali jej od szubienicy!

Flora opiera się nagłej pokusie dotknięcia swej białej szyi, gdzie w wyobraźni poczuła dotknięcie konopnego sznura.

Kapitan Felix O'Neal, dr Donald Macleod i góral przewodnik zostali na Benbeculi. O'Neal z przewodnikiem przedostają się na wyspę North Uist. Tym razem unikają niebezpieczeństwa. Macleodowi nie udało się tak szczęśliwie. Zdradza go niezamierzona nieostrożność wioślarza. Starając się przedostać do swego domu na South Uist, wpada w ręce żołnierzy, którzy wysyłają go do Fortu Augusta, teraz z powrotem w rękach Anglików, gdzie wypytuje go generał Campbell:

— Czy wiedział pan, jaką cenę wyznaczono za głowę tego młodego człowieka?

— Cóż z tego? Nigdy bym nie cieszył się takimi pieniędzmi. Choćby cała Anglia i Szkocja go szukała, nie pozwoliłbym, by mu choć włos z głowy spadł. Oddał się pod moją opiekę.

Macleod spędzi wiele miesięcy w lochu, skuty łańcuchami, a gdy go wreszcie wypuszczą na wolność, jest złamany na ciele, ale nie na duchu:

— Gdyby mi ofiarowano góry złota i srebra, nie sprawiło by to memu sercu takiej satysfakcji, jaką zaznałem z tego, co zrobiłem.

Z tak oddanymi stronnikami, których napotyka niemało, Karol Edward nie jest pozbawiony szans.

Mord, grabież, nieludzkie okrucieństwo...

Cumberland nakazuje złupić i spalić dom w Invergarry, gdzie Karol Edward zasnął po raz pierwszy po bitwie pod Culloden. Nakazuje zniszczyć każde mieszkanie, dom, chatę, szałas, pomieszczenie dla ludzi lub zwierząt w promieniu 75 km. Bydło zostaje wypędzone. Mężczyzn, młodych i starych, których zdołano schwytać, zabija się w obecności ich kobiet, a te gwałci się po wielokroć, a później nagie wypędza z małymi dziećmi, by umierały z głodu na jałowych górach.

Te ze zgwałconych kobiet, których mężowie jeszcze żyją, zaprzysięgają nie lec z nimi przez dziewięć miesięcy po tej męczarni. A mężowie i żony zawierają pakt, że zabiją każdego angielskiego bękart, który wyjdzie z ich łona.

Na zachód od Fortu Williama oddział żołnierzy, szukający Lochiela „Łagodnego”, który miał się znajdować w sąsiedztwie, dostrzega, jak im się zdaje, łódź przy wybrzeżu. Po bliższym zbadaniu okazuje się, że domniemana łódź jest zwyczajnie czarna skałą. Ale w pobliżu wędruje stary człowiek, przeszło sześćdziesięcioletni, który prosi żołnierzy o kawałek chleba. Żołnierze, aby mieć coś do napisania w sprawozdaniu, strzelają do niego i zabijają go. Na drodze powrotnej do Fortu spotykają staruszkę, ślepą na jedno oko. Gdy nie chce, czy nie może, zdradzić im kryjówki Lochiela, zabijają i ją także. „Ale co z nią wyrabiali, zanim ją zabili — relacjonuje miejscowy pastor prezbiteriański — nie mogę powtórzyć, gdyż są to rzeczy zbyt wstrząsające dla natury ludzkiej”.

A to wcale nie odosobnione incydenty.

W górskim hrabstwie Ross, łowcy ludzi znajdują grupkę starców, kobiet i dzieci, bezdomnych, błakających się po rozpaczliwych pustkowiach gór. Trzej ze starych mężczyzn mają myśliwskie strzelby. Żołnierze wszczynają pościg za nimi. Gała grupa kryje się w jaskini wśród skał. Wzywani, by wyjść, odmawiają, a mężczyźni ze strzelbami bronią wąskiego wylotu

jaskini. Angielski oficer nakazuje nagromadzić suchy wrzos i chrust przed wylotem, podpalić i wpychać do środka, a tych, którzy teraz próbują uciec — zabijać. Reszta — starcy, kobiety i dzieci — zostają uduszeni w dymie.

Można oskarżać Karola Edwarda o szaleństwo i głupi upór. Ale o co oskarżyć Cumberlanda, jego oficerów i żołnierzy...?

Rankiem następnego dnia po przybyciu Betty Burkę i jej pani do Monkstadt, zbiegowie wyruszają znowu, prowadzeni przez syna Lady Margaret, w marsz przez wrzosowiska do dworu Kingsburgh. Niebawem przepływają się przez strumyk, gdzie szwaczka, pozbawiona widać zwykłej kobiecej wstydlivości, unosi spódnicę w górę tak wysoko, że Flora ostrzega:

— Buty waszej wysokości nas zdradzają!

Przy następnej przepławie Betty, pamiętając o ostrzeżeniu, tak mało unosi spódnicy, że całą moczy w płytkiej wodzie strumyka. Na to sługa, Mc Kechan, nie może się już powstrzymać:

— Powiadają mi, że jesteś pretendentem. Chyba jesteś najgorszym w tej profesji, jakich sobie mogę wyobrazić!

Księżę uśmiecha się posepnie na tę złośliwość o podwójnym ostrzu. Te incydenty dowodzą, że rację miał Kingsburgh, gdy na poprzednią propozycję Flory, by dla większego bezpieczeństwa maszerować nocą, zaprotestował mówiąc, że Betty zapewne będzie się potykać i przewracać na skałach.

Żony Kingsburgha nie uprzedzono o fikcyjności szwaczki. Przyjmuje ją gościnnym pocałunkiem w policzek. Po czym pośpiesznie wciąga swego męża do alkowy:

— Ta wysoka szwaczka jest mężczyzną w przebraniu! Obrasta szczecina na twarzy, jak chłop od dwóch dni nie golony! Cóż to za psikusy mi tu urządzacie?

— Moja droga, to nie kto inny, jak sam księżę.

— Boże, miej litość nad nami! Księżę! Jesteśmy zgubieni! Powieszają nas!

— Nie przejmuj się tak bardzo — łagodzi Kingsburgh, kła-

dać rękę na jej ramieniu. — Raz się tylko umiera, a jeśli nas powieszają, to za dobrą sprawę!

Po kolacji gospodarz zabiera księcia do komnatki, zwanej myśliwską, i tam szykuje gorący poncz. Kiedy już obaj są podpici, gość upuszcza wazę, która z trzaskiem i brzękiem rozbija się na drobne kawałki. Niebawem obaj, gospodarz i gość, chrapią w swoich fotelach. Służba zanosi ich do łóżek, gdzie śpią do późnego ranka.

Ludzie Cumberlanda są wszechobecni. Wyspa Skye okazuje się nie o wiele bezpieczniejsza od Benbeculi. Postanowiono więc, że księżę musi się udać na Raasay, wąską wysepkę między Skye a lądem. Syn starego lairda Raasay wyjechał do Portree. Ale jeszcze zanim Flora, Betty Burkę i wygadany sługa Mc Kechan, wybiorą się znowu w dalszą drogę, Kings-burgh przynosi Betty nową parę obuwia, a zabierając starą, powiada:

— Będę je wiernie przechowywał, dopóki wasza wysokość nie zamieszka bezpiecznie w Pałacu St. James. Wówczas przyjdę na audiencję i potrząsnę nimi, oto tak, by przypomnieć naszą noc nad wazą ponczu i gościnnie pod moim dachem.

Betty Burkę odpowiada:

— Dotrzymaj słowa. Będę rad ciebie zobaczyć, i te moje stare buty też!

Byłby również rad zobaczyć Pałac St. James.

Lady Kingsburgh nie daje się prześcignąć w gromadzeniu pamiątek. Każe zebrać prześcieradła, na których spał jej gość, zabrania je prać i poleca, aby po jej śmierci owinąć ją nimi, jak całunem. Tak się też stanie.

Wkrótce po opuszczeniu dworu Kingsburgh, Betty Burkę zdejmuje mantylkę, suknię i pikowaną spódnicę; Karol Edward przywdziewa krótki kaftan z tartanu, kilt i kamizelkę, pled, perukę i берет.

W Portree, cichym porcie nadmorskim, położonym jakby w oazie zieleni u stóp skalistych, nagich gór, młody Raasay i Malcolm Macleod (brat Donalda), również uciekinier spod



Culloden, zajmują Łódź. Karol Edward przygotowuje się do przeprawy pod osłoną nocy na wyspę Raasay. Jest w dobrych rękach. Nie ma potrzeby, by dzielna, nieustraszona Flora nadal ryzykowała swoim życiem. Księżę ofiarowuje jej małą pamiątkę, którą udało mu się do tej pory zachować przy sobie: własną miniaturę.

— Pomimo wszystkiego — mówi jej na pożegnanie — ufam, że pewnego dnia będę mógł powitać panią w Pałacu St. James i publicznie uznać mój dług wobec pani!

— Aby ten dzień tym pewniej nadszedł — odpowiada Flora — błagam waszą wysokość, by jak najczęściej zmieniać towarzyszy, dopóki nie będzie zupełnie bezpiecznie!

— Ależ ja ufam bez zastrzeżeń...

— I słusznie, wasza wysokość. Nikt tu nie zdradzi. Ale nie jest bezpiecznie, aby sylwetki tej małej grupy stały się zbyt dobrze znane. Niechaj postaci towarzyszących waszej wysokości będą ciągle inne. Tak jest bezpieczniej dla waszej wysokości — i dla nich.

Rozsądna rada.

Flora podnosi wysoko lichtarz ze świecą, gdy księżę schodzi po schodach. Drzwi zamykają się cicho. Lekkie kroki oddalają się po bruku ulicy.

Karol Edward nigdy nie powita Flory w Pałacu St. James. A jednak Flora tam się znajdzie. Aresztowana w kilka tygodni po odjeździe księcia, zostaje wysłana do Londynu, zamknięta w więzieniu Tower. Fryderyk, księżę Walii, starszy brat księcia Cumberlanda, usłyszał o przygodach Flory i zaciekał się nimi. Kaze ją wezwać do siebie.

— Jak pani mogła — zapytuje — uczynić coś tak sprzecznego z rozkazami swego suwerena, coś tak sprzecznego z interesami swego kraju?

Flora jest górką z krwi i kości. Rozumie, co to znaczy być uciekinierem bez przyjaciół. Odpowiada śmiało:

— Posłuchałam nakazu zwykłej uczciwości. Gdyby wasza księżęca wysokość, albo ktokolwiek z królewskiej rodziny, zna-

łaż się w położeniu takim, jak wówczas księżę Karol, zrobiłabym to samo.

Dla tej odważnej Szkotki ani krew Stuartów, ani krew Hanowerczyków nie jest najważniejsza, lecz nakazy ludzkości. Chyba, że była genialną dyplomatką!

Księżę Walii poleca ją uwolnić, nie narażając na przykrości oficjalnej indagacji. Jeden przynajmniej z Hanowerczyków — jak jeden z Anglików, młody James Wolfe po bitwie pod Culloden — pojmuje znaczenie słowa „rycerskość”.

A Flora Macdonald zdobędzie to, co jej przepowiedział kapitan O'Neal — nieśmiertelną sławę.

Karol Edward nadal przechodzi z rąk do rąk. Zawsze w ruchu. Zawsze przenosząc się z miejsca na miejsce. Zawsze dokąś dążąc, nigdy nigdzie nie docierając. Czy Flora Macdonald ocaliła mu życie? Czy dr Donald Macleod? Kinsburgh? Młody Raasay? Wszyscy, którzy kiedykolwiek pomogli mu w drodze naprzód, wstecz, na północ, południe, wschód czy zachód — ocalili mu życie w danej chwili. Czy wystarczy ludzi odważnych i szlachetnych, czy zawsze tylko takich napotka? I czy ostatecznie ocalą mu życie? Czas pokaże.

A czy jego życie warte było ocalenia? Czy warte było, butylu innych cierpiało i nawet własnym życiem płaciło? Takich pytań nikt nie zadaje. Ci, co go ratują, nie troszczą się o względne wartości moralne. Ci, którzy słuchają nakazów ludzkości, nie rozszczepiają włosa na czworo.

## *Rozdział XVIII*

### **WŚRÓD SZEREGÓW WROGA**

Książę śpi. Niespokojny to sen. Rzuca się, chwilami siada, z ust jego wybiegają niewyraźne słowa po francusku, włosku, po angielsku. I znowu, nie budząc się, pada na posłanie ze słomy. Głód, zmęczenie, ciągła czujność, napięcie — wyczerpują go. Tylko raz wykrzykuje słowa, które zabrzmiały wyraźnie i zrozumiale w uszach jego towarzyszy, słowa, echem odbijające spóźnione poczucie odpowiedzialności:

— O, Boże! Biedna Szkocja!

Zaiste, biedna Szkocja! Gdzie by się nie obrócił, Karol Edward widzi dowody i słyszy o cierpieniach, jakie jego obecność sprowadziła na cały naród. Procesy, egzekucje w Edynburgu, w Inverness, w Carlisle, w Londynie. Według prawa angielskiego, które zalicza 160 przestępstw do ciężkich zbrodni — włącznie z kradzieżą owcy, ścięciem drzewa wiśniowego. drobnymi kradzieżami ze sklepów — nie ma potrzeby pytać, jaka jest kara za zdradę stanu. Głowy i ciała ofiar wiszą na murach zamku, na bramach miejskich. Trupów nie zdejmuje się z szubienic, by służyły wszystkim strasznym przykładem. Terror.

Wielu zamożniejszych rebeliantów i ich sympatyków składa przysięgę na wierność hanowerczykom i kupuje sobie przebaczenie, a przynajmniej życie. Jak w każdym nieudanym buncie, najwięcej cierpi szary, przeciętny uczestnik, który nie ma nic

do ofiarowania, prócz własnego życia. Egzekucje. Wieszania. Rozstrzeliwania. Transportacja do Zachodnich Indii, do niewolniczej pracy na plantacjach cukru.

„Bez twojego zwycięstwa Anglicy złamią klany, położą kres życiu plemiennemu” powiedziała swemu kochankowi Klementyna przed bitwą pod Culloden. Przewidziała prawdę.

Kilt, pled, tartany, tradycyjny szkocki strój — będzie niebawem zabroniony specjalnym aktem parlamentu. Za złamanie tego rozporządzenia po raz pierwszy — sześć miesięcy więzienia; po raz drugi — transportacja na siedem lat. Ale ludzie w górach nie mają innej odzieży, jak tartanowe pledy i kilty. Muszą farbować wszystko na czarny lub brunatny kolor. Kilty zszywa się między nogami, by tworzyły rodzaj krótkich spodni. Niektórzy górale ignorują rozporządzenie i uciekają w wysokie góry, gdzie polują na nich tak samo jak na pozostałych przy życiu uczestników bitwy pod Culloden. Inni noszą pledy pod płaszczami, albo skrawki tartanu pod koszulą. Jeśli ich na tym przyłapią — czeka ich też zsyłka na ciężkie roboty.

Strój górala jest jego dumą, wyrazem jego poczucia przynależności do szlachetnej rasy. Ten strój mu odebrano. Podstawy ekonomiczne gospodarki w górach złamano. Niebawem zniesienie dziedzicznej jurysdykcji wodzów klanowych, wprowadzenie mówiących po angielsku szeryfów i konstabli z południa, działających w oparciu o szkarłatne mundury — zniszczy ustrój polityczny i społeczny.

Rebelia z 1745 r. dostarczyła sposobności — której szukał rząd brytyjski — zniszczenia gwałtem, ogniem, mordem, grabieżą, uchwałą parlamentu i przemocą stylu życia, który ośmielono się nazwać „barbarzyńskim”. Dalej nadejdzie wykupywanie ziemi przez bogatych Anglików i szkockich łotrów, likwidowanie mniejszych gospodarstw, tworzenie olbrzymich stad owiec, zatrudniających pół tuzina pasterzy tam, gdzie dawniej żyło i utrzymywało się stu wieśniaków, sekwestracja obszernych przestrzemi — strzeżonych przez gajowych z bronią w ręku — na tereny łowieckie dla arystokracji, rezerwowanie jezior i rzek

dla amatorów rybactwa, mogących płacić wysokie czynsze dzierżawne rzekomym „właścicielom”. Karą za kłusownictwo, za złowienie jednego łososia — znowu dożywotnie zesłanie. I znowu najbardziej cierpi „szary człowiek”, taki, który od stuleci poległ na strzelbie i wędce, by karmić rodzinę.

Nowi przybysze w górach znają tylko język angielski. By zyskać pracę, gajowi, słudzy, pasterze — niegdyś niezależni, dumni, mówiący po gaelicku mężczyźni — muszą mówić po angielsku, uczyć dzieci tego języka, zapominać własnej mowy.

Szkockość, która pozostanie, będzie zaledwie tradycją. Kilt stanie się pieprzonym dowcipem. Język — celem żartów zawodowych komediantów. Legendy i ballady — kradzione, formalizowane, przerabiane — stracą swą dawniejszą cechę więzów, jednoczących szlachetną rasę.

Rzecznicy tej likwidacji dawnego ustroju będą argumentować, że wraz z postępem i nowoczesnością życie klanowe musiało zniknąć. Być może. Ale niechby to był proces ewolucji, niechby to się stało w czasie i sposobem, wybranym przez klany, nie w czasie bezmyślnie narzuconym przez Młodego Pretendenta, a sposobem wybranym przez okrutnego Rzeźnika.

Jakobici będą jeszcze istnieli — z nazwy. Ale sprawa Stuartów w Anglii, a również i w Szkocji jest bezpowrotnie stracona. „Król za morzami” będzie odtąd fikcją, sentymentalną wizją barda, pozbawioną wszystkiego, prócz czczego tytułu. Uparte szaleństwo katolika Karola Edwarda posłużyło tylko do umocnienia protestanckiej dynastii hanowerskiej na tronie, do którego Stuartowie pretendują.

Gdy książę śpi, dwaj wiosłarze — McKenzie i McFriar — którzy przewieźli uciekinierów na wyspę Raasay, czuwają na pagórkach na północ i na południe od wybranej kryjówki. McKenzie przybiega spiesźnie do szałas:

— Jakiś człowiek tu idzie! Zatrzymał się przy tamtym szałasie. Wydaje się, że to wędrowny sprzedawca...

— Stary podstęp — przerywa Malcolm Macleod. — To na pewno szpieg.

— Trzeba go zabić — mówi szybko Raasay. — Inaczej sami zginiemy.

Karol Edward, którego obudziło wejście McKenzie, leży cicho, słuchając. Odzywają się w nim rycerskie instynkty. Wstaje i wtrąca się:

— Niechaj Bóg nas zachowa od tego, byśmy mieli odbierać życie człowiekowi, który jest może niewinny, tylko po to, by ocalić własne życie!

Ale tamci popierają Raasaya.

— Nie możemy tego człowieka zabrać ze sobą i nie może my go puścić — mówi Macleod. — W tym położeniu zastrzeżę własnego brata, gdybym go nie był pewien!

Nadal książę się sprzeciwia, aż wreszcie McKenzie decyduje:

— No cóż, trzeba go zabić. I zabijemy go. Ty jesteś królem, ale my parlamentem i stanie się według uchwały parlamentu.

Prawo klanowe.

„Król” śmieje się z goryczą. Za opozycję wobec parlamentu jego pradziad z dynastii Stuartów utracił głowę.

Szczęściem, nieznajomy człowiek przejdzie opodal, nie dostrzegłszy kryjówek zbiegów. Okaże się później, że on sam był uciekinierem, ukrywającym się przed „szkarłatnymi mundurami”, które go w końcu schwytały.

Książę i jego towarzysze zabierają się do posiłku — pieczonej koźlęciny. Karol Edward je z apetytem, rozdzierając rękoma soczyste mięsiwo. Ale Macleod zauważa:

— Jeśli to zbyt proste jedzenie dla waszej wysokości, to czekają księcia trudne dni.

— Dni trudne zaprawdę, ale wolałbym i przez dziesięć lat tak żyć, niżbym miał wpaść w ręce moich nieprzyjaciół.

— A jak wasza książęca mość sądzisz, co by się stało, gdybyś wpadł w ręce nieprzyjaciół?

— Nie sądzę, by się odważyli uśmiercić mnie publicznie, ale trucizna w kielichu wina... albo najęty zabójca, którego się można wyprzeć... sztylet w ciemnościach...

Po dwóch tygodniach, spędzonych na tej wyspie, niebezpiecznie byłoby zostawać dłużej. Początkowo, rozstawszy się z młodym Raasayem, książę wraca na wyspę Skye. Tam zmienia swój szkarłatny tartan ze złotymi guzikami na skromny ubiór Malcolma. I bierze od towarzysza torbę ze zmianą bielizny.

— Ty będziesz panem, a ja sługą — powiada. — No i co, czy poznają mnie teraz?

— Boję się, że tak — rzecze Macleod.

Więc książę ściąga perukę, zawiązuje chustkę na głowie, na to wciąga szlafmycę, oddziera koronkowe falbanki z rękawów, srebrne sprzączki z pantofli, które zawiązuje sznurkiem. Macleod przygląda się mu, drapie w głowę i rozkłada ramiona gestem rozpaczny.

— To nadal wasza książęca mość! — powiada.

Karol Edward wybucha śmiechem.

— Zły to los, mieć taką twarz, jak moja! Kto raz ją zobaczy, nigdy nie zapomni!

Młody Raasay przybywa po kilku dniach, by donieść, że niejaki pułkownik Caroline Scott z licznym oddziałem „szkarłatnych mundurów” wylądował na jego wyspie. Podobno otrzymał informacje, że księcia tam widziano. Raz jeszcze — o włos o zguby.

W swoich metodach pułkownik Scott jest wiernym uczniem mistrza, osławionego Rzeźnika. Ma reputację wyjątkowego okrutnika, nawet we własnym regimencie, z którego czterdziestu żołnierzy zdezerterowało i przeszło na stronę rebeliantów przed bitwą pod Culloden. Na wyspie Raasay jego żołnierze tak chłostzczą dwóch wieśniaków za odmowę udzielenia informacji — której zapewne nie mają — o miejscu pobytu księcia, że jeden z nich umiera, a drugi zostaje kaleką na całe życie. Kobiety są gwałcone, włącznie z biedną ślepą dziewczyną. 280

krów, 700 owiec i 20 koni pada pod nożem. Trzysta domów i 32 łodzie spalone. Młody Raasay kryjąc się na wzgórzach między skałami patrzy, jak jego dom i cały dobytek płonie, jak jego bydło, wartości półtora tysiąca funtów, pada pod strzałami. Dodaje:

— A tak wszystkich dokładnie obrabowano, nawet z oddzieży, nawet z koszul, że w tej chwili na pewno nikt z tych nie szczęśników nie ma na sobie odzieży wartiej choćby dwa szy lingi.

Młody Raasay dochodzi do przekonania, że jego dalsza obecność w grupie zbiegów będzie groźna dla bezpieczeństwa księcia. Udaje się więc w północną stronę wyspy Skye, a księżę i Macleod, jako sługa i pan, wędrują na południe, w kierunku dworu siostry Malcolm, żony „lairda” Johna McKinnona, zamierzając z ich pomocą przepłynąć się na ląd stały.

— A co księżę zrobi — pyta przed rozstaniem młody Raasay — gdy napotka oddział żołnierzy?

Odpowiedź — bez wahania, rezolutna — brzmi:

— Będę walczyć, oczywiście!

Wprawdzie to lato, ale na zachodnich wyspach letnia pora nie gwarantuje dobrej pogody. Gdy księżę i Macleod rozpoczynają swój marsz, zrywa się silny wiatr południowo-wschodni z przelotnymi zimnymi deszczami. Chwilami ukazuje się skrawek błękitnego nieba, by znowu zniknąć za skłębionymi ciemnymi chmurami, niosącymi ulewy. Jeziora podnoszą się do zimowego poziomu, strumienie, wzburzone i brunatne, występują z brzegów. Niskie łąki zmieniają się w moczary. Bydło kryje się pod murowanymi ogrodzeniami. I tylko kaczki radosnym kwakaniem i biciem skrzydłami wyrażają radość z takiej pogody. Wędrowcy, unikający nawet najprymitywniejszych traktów, muszą kraść daleko, by przekroczyć byle strumień.

Wreszcie, gdy już widać dwór McKinnonów, Mcleod rzecze:

— Dużo tu służby. Nie będziemy ujawniać osoby waszej książęcej wysokości, dopóki sług się nie wyśle, albo przynaj-



mniej nie każe zaprzysiąc dochowania tajemnicy na nagim ostrzu stali.

Nie zastali McKinnona w domu, ale ma wrócić za parę godzin. Jego żona wita brata serdecznie, ale rozpytuje go trochę nieufnie o służącego.

— Nazywa się Lewis Caw — odpowiada Malcolm. — Pochodzi z Greiff na łądzie stałym i jest uciekinierem, jak ja, zwykłym górąlem z klanu. Więc go zaangażowałem jako służącego.

— Jaki urodziwy mężczyzna! — powiada Lady McKinnon. — Współczuję mu całym sercem.

Kobiety zwykle ulegają czarowi księcia, nawet w przebraniu.

Lady McKinnon sadza swego brata do obfitego śniadania, gdy jego głodny „służący” musi stać w pełnym szacunku oddaleniu, łykając ślinkę. Malcolm, zmieszany mocno, proponuje:

— Panie Caw, głód panu doskwiera tak samo jak mnie, a tu pod dostatkiem dla nas obu. Proszę usiąść i jeść razem ze mną.

Domniemany sługa składa głęboki ukłon — trochę zbyt wytworny — i usiadłszy razem ze swym panem, zajada z apetytem.

Wkrótce nadchodzi stara służąca z miską ciepłej wody, by dokonać tradycyjnego obrządku gościnności dla podróżnych. Zdejmuje obuwie i skarpety Malcolma i myje mu nogi.

— Ten biedak też tego potrzebuje — powiada Malcolm. — Proszę, usłuż i jemu!

Ale stara sługa, która chętnie gotowa była myć nogi „lepszym od siebie”, nie chce się tak poniżyć, by usłużyć komuś, kogo uważa za równego sobie, a może i gorszego. Protestuje:

— Chociaż myję nogi synowi twego ojca, nie wiem, czemu miałabym myć nogi synowi jego ojca!

Dopiero na interwencję swojej pani dokonuje obrządku, a i to z niechęcią.

Gdy przyjeżdża McKinnon i służba idzie spać, pan domu

zabiera gości do swego pokoju. Znowu przyrządzenie nieskończonych ilości ponczu. Trzej mężczyźni jeden po drugim zapadają w pijacki sen. Tym razem nikt ich nie położy do łóżek i Karol Edward z własnej woli — czy też z braku woli — śpi na twardej podłodze. Nabiera alkoholicznych przyzwyczajęń, z których później zasłynie.

Po całych górach szkockich i na wszystkich wyspach krążą oddziały „szkarłatnych mundurów”, a nawet — ku ich hańbie — niektóre oddziały szkockie na żołdzie angielskim, rabując i grabiąc, popełniając bestialskie przestępstwa i zniżając się na dno zezwierżenia tak dalece, że później regimenty, które odniosły zwycięstwo pod Culloden, będą odmawiać wpisywania tej nazwy na swoje sztandary, jak to bywało zgodnie z tradycją.

Oddział żołnierzy pod dowództwem oficera, wysłany na poszukiwanie księcia, przychodzi do samotnej chaty góralskiej i żąda napitku. Górala nie ma, łowi ryby. Jego żona daje żołnierzom mleko — wszystko co ma. Za mało, by starczyło dla wszystkich. Oficer wymyśla podniesionym głosem, budząc uśpione w kołysce niemowlę, które zaczyna głośno płakać,

— Przekleństwo na tego szczeniaka! — wykrzykuje oficer.  
— Będzie także buntownikiem, jak wszyscy, jeśli wyżyje!

Sierżant, by się przypodobać oficerowi, na te słowa dobywa szabli, rozcina niemowlę i skrwawione szczątki rzuca matce pod nogi.

I znowu nie jest to przypadek wyjątkowy, ani odosobniony.

Gdy żołnierze odchodzą, oficer ma jakieś złe przecucie. Każe jeńcowi, którego prowadził ze sobą, góralowi z innej wsi, dosiąść własnego siwego konia i jechać na czele oddziału, podczas gdy on sam idzie pieszo. W jakąś godzinę później strzał budzi echa po górach. Góral pada na szyję białego konia, zsuwa się na ziemię, spłoszony koń ciągnie go, głowa uderza po kamieniach, nogi wciąż jeszcze w strzemionach.

— Tak też myślałem — powiada spokojnie oficer. — Ojciec tego dziecka sądzi, że się pomścił. Wracać i wziąć go!

Dopiero, gdy wieśniaka schwytano i zatłuczono kolbami na śmierć, oficer dosiada znowu swego białego konia.

Opuściwszy Skye, Karol Edward ląduje w pobliżu Mallaig, o jakieś 10 km na północ od Borrodale. Wkrótce wieść się rozchodzi o jego przybyciu i półtora tysiąca żołnierzy z pobliskiego obozowiska wyrusza na poszukiwanie. Z Malcolmem Macleodem księżę — teraz znowu we własnym ubraniu — maszeruje spiesznie przez wrzosowiska na północ, na półwysep Knoydart, między jeziorami: Loch Nevis i Loch Hourn. Razem z nimi przez jakieś 35 km idzie John McGinnis, jeden z wiosłarzy, którzy przywieźli go z wyspy Skye. Gdy powróci na wybrzeże, przyzna się, że przewiózł zbiega przez zatokę Sound of Sleat, ale zaprzeczy, jakoby wiedział, kto to był. Pytany o dalszy marsz, odpowie:

— Niosłem na moim grzbiecie wszystko, co ten, który wy dawał się ważniejszy z nich dwóch, posiadał, a były to dwie koszule. Nie, teraz sobie przypominam, że miał jeszcze butelkę whisky, ale tą uparł się nieść sam!

Żarty nie ocalą McGinnisa od okrutnej kary. Przywiązano go do drzewa i chłostano, aż krew mu tryskała z ciała. Po tej barbarzyńskiej karze ten sześćdziesięcioletni człowiek nigdy nie wróci do zdrowia. W niecałe dwa lata później umrze.

O tym czasie wpada również w ręce żołnierzy na wyspie North Uist ten kapitan Felix O'Neal, który z Donaldem Macleodem towarzyszył księciu w pierwszej przeprawie przez He-brydy. Zabiera go brytyjski okręt wojenny „Furnace”. O tym napisze później

„Kapitan okrętu John Fergusson potraktował mnie z okrucieństwem pirata, rozkazał swemu pachołkowi obnażyć mnie, wychłostać i łamać kołem”.

I oto następny odizolowany incydent, świadczący o istnieniu lojalistów z iskrą humanitarności w sercu. Na pokładzie „Furnace” znajduje się oddział Królewskich Szkockich Fizylierów. Gdy O'Neala więżą do tortur, oficer dowodzący oddziałem, porucznik Robert McGaghan dobywa szpady i rozkazuje swoim fizylierom nabić muszkiety.

— Jeśli wyda pan rozkaz tortur — oznajmia kapitanowi Fergussonowi — zabiję pana, a moi ludzie zastrzelą kata!

Kapitan wymyśla porucznikowi, twarz rnu purpurowieje, wygląda, jakby go miał trafić szlag. Niech go trafia. O'Neal uniknął tortur.

Na półwyspie Knoydart oddziały brytyjskie z wolna zaciskają kordon coraz szczelniej. Kryjąc się na niegościnnych wrzosowiskach, Karol Edward patrzy na zniszczenia i zgubę, jaka spotkała domy i gospodarstwa jego zwolenników.

Malcolm Macleod wiernie i z narażeniem życia przeprowadził księcia z wyspy Skye na Raasay, później z powrotem na Skye i na ląd stały. W Knoydart, zgodnie z ostrzeżeniem Flory Macdonald, przekazuje swego pupila nowym chętnym przyjaciom — Donaldowi Cameronowi, krewniakowi Lochiela „Łagodnego”.

Generał John Campbell — sam szkockiego pochodzenia — dowodzi tutaj polowaniem na człowieka. Dowiedziawszy się, że książę przybył w tę okolicę, generał postanawia zdobyć dla siebie nagrodę 30 tysięcy funtów szterlingów. Rozstawia linię wartowników na długości 35 km w takiej odległości jeden od drugiego, aby ani skrawek gruntu nie pozostawał poza ich wzrokiem. Nocą, w miejscach, gdzie pary wartowników się spotykają, zapalane są ogniska. Generał ufa, że w ten sposób dniem czy nocą schwyci upatrzoną ofiarę, która będzie usiłowała — będzie musiała — przejść z jednego grzbietu wzgórz na drugi.

— Nikt tej linii nie przekroczy — powiada generał. —

A jeśli ten przeklęty wódz buntowników zawróci ku wybrzeżu, no, to będziemy tam mieć tylu żołnierzy, ile kamieni w górach! Pewnej nocy dwaj zbiegowie skradają się tuż do linii wartowników Campbella, przemykając się od jednego głazu do drugiego. Księżycyca nie ma, cienie nie zdradzają ich. Zastanawiają się nad szansą przekradnięcia się przez linię żołnierzy.

— Niemożliwe — szepcze książe. — Pułapka zamyka się w końcu!

Wzdycha. Ma obolałe nogi, jest wyczerpany fizycznie i psychicznie. To jeden z rzadkich momentów, kiedy opuszcza go na chwilę nadzieja i odwaga, wydając go bezbronnego na łaskę losu.

Ale Donald Cameron, świeżo objąwszy swoje zadanie, jest pełen energii.

— Proszę sobie postanowić zostać żywym i na wolności — rzecze. — Póki wasza książecka mość jesteście wolni, zawsze jest nadzieja, że dotrzemy do Francji.

Odchodzą od miejsca, gdzie oficerowie i sierżanci się zbierają. Znajdują punkt, w którym linię żołnierzy przedziela niewielki, ale głęboki wąwóz. Przez dłuższy czas śledzą bacznie każdy ruch tej groźnej linii „szkarłatnych mundurów” — teraz zaledwie cieni w blaskach ognisk. Wartownicy chodzą tam i z powrotem. Spotykają się parami przy ognisku, zawracają i tak bez przerwy. Toteż Cameron zaobserwował, że gdy wartownicy, których dla jaśniejszego obrazu można ponumerować — nr 21 i 22 — zbliżają się do ogniska, oznaczonego na przykład B, to wartownicy nr 23 i 24 zbliżają się do ogniska D. Tak więc przez krótki przeciąg czasu wartownicy Nr 22 i 23 idą odwrócenymi plecami do siebie, a także do ogniska C na pół drogi między ogniskami B i D.

— A w tym przeciągu czasu, jeśli będziemy się poruszać szybko i bezszelestnie, przemkniemy się! — szepcze Cameron.

— I co dalej? — pyta książe, sceptyczny i znużony.

— Prześlizgniemy się niepostrzeżenie między wąwozami i skałami tak, jak niepostrzeżenie dotarliśmy tutaj!

I wciąż Karol Edward nie ufa:

— To niemożliwe.

— Nasza jedyna szansa — dowodzi Cameron. — Proszę zaczekać i obserwować mnie.

Gdy wartownik nr 22 jest w połowie drogi między ogniskami C i B, Cameron wyslizguje się ze swej kryjówki do wąwozu i czołgając się przechodzi przez linię wart aż do skały po tamtej stronie.

Jak tylko wartownicy znowu odchodzą, zwróceniu plecami jeden do drugiego, Cameron powraca wzdłuż wąwozu i za chwilę jest przy księciu.

— A co? — szepcze. — Następnym razem, gdy tylko się odwrócą...

— Nie mogę — protestuje Karol Edward.

Donald Cameron nie zrezygnuje tak łatwo.

— Musisz, mości księżu! Ja idę. Musisz iść w ślad za mną. Tylko cicho! Strzeż się luźno leżących kamieni.

Dość bezceremonialnie traktuje królewski majestat. W rzeczy samej, ta chwila go usprawiedliwia.

Para zbiegów czołga się naprzód, jak jaszczurki, Cameron na przedzie... Szczęśliwie przez linię wart... dalej... za skałę... Zerkają z powrotem, ku miejscu własnego triumfu nad przemyślnością generała Campbella. Dokładnie w tym miejscu, skąd wyruszyli, stoi teraz oficer, zawiadując zmianą wartowników!

Bezceremonialne naleganie Camerona i jego śmiałość niewątpliwie uratowały księcia — przynajmniej na jakiś czas. Niebawem księżę odzyska zwykłą mu beztroską odwagę i determinację, która z kolei ocali ich obu.

Okrążają teraz dalekim obchodem w kierunku południowo-wschodnim, do okolic położonych na północ od jeziora Loch Arkaig. Tu, zbyt zmęczeni, by iść dalej, wczołgują się do jaskini tak ciasnej, że nie mogą się nawet swobodnie wyciągnąć. Przemoczeni do nitki... bez pożywienia od 48 godzin... bez możliwości zapalenia ogniska. Księżę może się tylko pocieszyć

fajką, a później zapada w mocny sen, z którego się obudzi dopiero po południu następnego dnia. I chociaż osłabiony głodem, nabrał ponownie otuchy.

Wyszedłszy o zmroku przed jaskinię, obaj mężczyźni spoglądają w dół na zgliszczu, które niedawno były wioską i dworem Achnacarry, siedzibą krewniaka Donalda Camerona — Lo-chiela „Łagodnego”. Te zrównane z ziemią ruiny, to zemsta generała Campbella na góralach za to, że nie zdołał wydobyć z nich informacji o miejscu ukrycia ich „lairda” i wodza.

Ale opodal ruin rozlokował się oddział żołnierzy brytyjskich pod dowództwem Lorda George’a Sackville’a wracający z najazdu na bydło w krainie Macdonaldów. Setki krów i cieląt zarekwirovano.

— Co sądzisz o tym, Donaldzie, gdybyśmy spróbowali porwać im tłustego cielaka z tego stada? — pyta księżę. — Po ciemku?

— To chyba mniej możliwe od przejścia przez linię wart, mości księżę!

— Ale równie konieczne, jeśli nie mamy umrzeć z głodu. Prócz tego, to piękne łowy! Ja popróbuję!

Na to Cameron nie może pozwolić. Jak Lochiel przed rokiem przeszło, nad brzegami Loch nan Uamh, nie pozwoli, by go księżę zawstydził. Ale tutaj są większe szanse powodzenia. Cameron ma praktykę w podchodzeniu zwierzyny. Ześlizguje się po zboczu górskim pod osłoną nocy, koło wartowników, którzy spędzili wieczór na pijatyce i teraz niewiele pilnują, zatapia nóż w sercu parodniowego cielaka i wraca z łupem, przerzuconym przez plecy.

Triumfująca para zanosí swój obiad o parę kilometrów na wschód, gdzie znajdują szałas i drewno na podpałkę. Ściągają skórę i dzielą mięso. A tak są głodni, że nie mają cierpliwości, by się doczekać, aż mięso będzie dobrze upieczone. Wpychają do-ust na wpeł surowe kawałki mięsa, które odcinają swymi sztyletami, a Karol Edward między jednym kęsem a drugim powiada:

— Ukradzione żołnierzom sprzed samych nosów smakuje dwakroć lepiej. W pałacu mego ojca nigdy mi nic tak nie smakowało, chociaż przyrządzone przez mistrza kucharzy!

Ale nigdy w pałacu ojca apetytu nie zaostrzył mu ten najwyborniejszy z kucharzy — głód.



## *Rozdział XIX*

### **GDZIE SĄ NAJDZIELNIEJSI Z DZIELNYCH?**

„Gdy ten strach na wróble to rzeczywiście może być księżę Karol Edward Stuart? Ten sam człowiek, którego widziałem przed rokiem w Pałacu Holyrood, strojnego, wytwornego, proklamowanego regenta Szkocji i Anglii, wydającego ucztę i bale? Kobiety go oblegały, mężczyźni mu schlebiali... Gdzie to ten sam? Ten wysoki, wychudły mężczyzna z długą brodą, w brudnej koszuli, w kilcie, w wytartym tartanowym kaftanie, z muszkietem w ręku, pistoletem za pasem, sztyletem wetkniętym za pończochę? Gdzie są te wykwintne rysy i delikatna cera, dziedzictwo po polskiej matce? Czy to on?”

Takim torem biegły myśli jeszcze jednego Camerona, imieniem Archibald, brata Lochiela „Łagodnego”.

Czas: koniec sierpnia 1746 r. Miejsce — brzegi Loch Arkaig.

Wkrótce po porwaniu cielaka żołnierzom Lorda George'a Sackville koło Achnacarry, Karol Edward powędrował z Donaldem Cameronem bardziej na północ, a jego losy natchnęły jeszcze jednego anonimowego barda do ułożenia ludowej ballady:

*Po górach, które należą mi z prawa,  
Wędruje samotny i obcy, Zewsząd  
czyha na niego wrzawa,*

*Zewsząd niebezpieczeństwo...  
Wczoraj spotkałem go w dolinie  
Me serce krwawi z żalu, Bo  
choć wcióż urodą stynie  
Zmienił się biedny Charlie...*

Zbiegowie przybyli do Glenu Moriston, niebezpiecznie blisko Fortu Augusta. A jednak niebezpieczeństwo nie większe tam, niż gdzie indziej, ponieważ po całej górnej Szkocji maszerują tam i z powrotem oddziały Gumberlanda. A metody ich stają się coraz bardziej barbarzyńskie w miarę, jak z tygodnia na tydzień upatrzone łup im się wymyka. Za nimi zostają trupy mężczyzn, rozpaczające kobiety, opustoszałe zagrody, dymiące zgliszcza.

W Glenie książę i Donald Cameron spotykają siedmiu klanowych górali, którzy walczyli pod Gulloden. Są teraz banitami, żyją z rabunku, bez skrupułów zabijają, by ocalić własne życie, wiedząc, że jeśli wpadną w ręce nieprzyjaciela, czeka ich pewna śmierć. Związali się razem wspólną przysięgą na ostrze sztyletu, że jeśli zginąć będą musieli, zginą walcząc, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Tych siedmiu wita gościnnie wynędzniałych wędrowców w swojej jaskini, klęka przed księciem, układa dla niego posłanie — miękki wrzos, grubo położony na zimnym kamieniu. Rozbójnicy przekształcają się w wierne sługi, niezdarne, ale ochocze.

Przez trzy tygodnie Karol Edward i Donald Cameron przebywają z rozbójnikami, którzy poświęcili się bez reszty swym gościom, ich bezpieczeństwu i wyżywieniu. Jeden z siedmiu rozbójników chciał koniecznie udać się do miasteczka Augusta koło Fortu Augusta, by kupić różnych smakołyków dla królewskiego gościa. Zabili więc ordynansa niosącego bagaże angielskiego oficera i zabrali mu mundur, by się w niego przebrać.

Wypoczęty, odżywiony, odzyskawszy siły, książę znowu zaczyna się niecierpliwić.

— Narażam was na niebezpieczeństwo — powiada. — A jeśli byście musieli uciekać, zawadzałbym wam. Prócz tego, jestem za daleko od wybrzeża. Gdyby francuski statek nadpłynął, nie będę o tym wiedział.

Błagają go, by został, przypominając o cenie wyznaczonej za jego głowę:

— Dla nas to żadna pokusa, ale kto inny mógłby wydać waszą wysokość, a później pod opieką tych łotrów w szkarłatnych mundurach wyjechać do Anglii, by tam używać swobodnie krwawych pieniędzy.

Ale Karol Edward się upiera. Musi się z nimi rozstać. Wysłał Donalda, by nawiązał łączność z Lochielem, który kryje się w rodzinnych stronach, na południe od Loch Arkaig, w pobliżu swej dawnej siedziby Achnacarry.

W parę dni później dwaj rozbójnicy, Chisholm i Grant, odprowadzają księcia ze swojej jaskini na brzegi Loch Arkaig. Tam, jak przyrzekł Donald, czeka już następny z Cameronów, Archibald. I tam właśnie Archibald spotkał „stracha na wróble”.

— Mój brat Lochiel przebywa w tych górach, wasza księżęca mość. Zdążymy właśnie w porę, ponieważ niebawem mój brat opuszcza obecne schronienie, by przenieść się w bezpieczniejsze miejsce, gdzie zaopiekuje się nim Macpherson z Cluny. Proszę mi teraz pozwolić pójść naprzód i sprawdzić, czy droga wolna, gdyż czekałem tutaj dwa dni.

Księżę zmęczony bardzo forsownym marszem z Glenu Morriston, rzuca się na ziemię i zasypia, owinięty swoim pledem. Chisholm i Grant czuwają. Leżą na płaskim występie skalnym, w połowie stromego zbocza górskiego. Od czasu do czasu wychylają się zza skały i śledzą dolinę.

— Cicho! Patrz! Tam, w dole! — Grant wskazuje zalesioną dolinę pod nimi. — „Szkarłatne mundury” między drzewami...

Chisholm potrząsa księcia za ramię.

— Zostawcie mnie. Jestem wyczerpany...

— Musimy iść, mości książę! Anglicy... — Wskazuje na występ skalny.

Karol Edward zwleka się na nogi. Kolana się pod nim uginają. Mruga powiekami. Nie może się rozbudzić.

— Musimy się czołgać po zboczu — ostrzega Grant.

Wspinają się wyżej i wyżej, na czworakach, wykorzystując każdą skałę dla osłony, chwilami przypadając na płask do ziemi. Nadchodzi chwila, kiedy dwaj rozbójnicy posuwają się naprzód, a książę leży twarzą do ziemi. Grant zawraca.

— Nie mogę dalej — dyszy Karol Edward, kompletnie wyczerpany.

Chisholm spogląda na Granta. Wzruszają ramionami.

— Nie możemy tu zostać. Trzeba go nieść.

Chisholm leży i rozgląda się bacznie, Grant zarzuca sobie księcia na plecy i czołga się naprzód. Królewski ciężar trzyma się jego szyi. Po pewnym czasie zatrzymują się i teraz Chisholm bierze księcia na swoje plecy. Tak dźwigając go na zmianę, docierają wreszcie do osłony za grzbietem drugiego przeciwnego stoku. Znowu — o włos od zguby.

Rozbójnicy podnoszą teraz Karola Edwarda i stawiają go na nogi, podpierają, niosą na ramionach — zwolna, ciężko, nogi księcia ledwie dotykają ziemi, a on sam ledwie przytomny.

Gdy zapadają w ciemności, trzech mężczyźni schodzą do kryjówki na zboczu. Książę, nie czekając nawet na przygotowanie postania, pada na ziemię i zasypia.

— Brzemienny snem, jak mysz polna w listopadzie — po wiada Grant.

Dwaj rozbójnicy czuwają na zmianę, zmieniając się co dwie godziny. Książę śpi całą noc i do południa następnego dnia, jak odurzony jakimś lekiem.

Tymczasem odnajduje ich Archibald Cameron. Książę wyspał się, ale początkowo potyka się, nie może iść, trzeba go podpierać. Stopniowo odzyskuje władzę w członkach.

— Tysiącrotnie przepraszam i dziękuję — mówi do

swych wybawców. — Ale powinniście byli zostawić mnie własnemu losowi.

Rozbójnicy nie znają się na pięknych frazesach. Nie umieją deklamować wzniosie, ani dramatycznie gestykulować. Zwyczajnie, śmieją się na samą myśl, że mogliby zostawić na łaskę Rzeźnika jakiegokolwiek towarzysza, a cóż dopiero swego księcia.

O zmroku cała grupa dociera do wyższych gór. Wspinają się, Archibald Cameron podtrzymuje księcia. Nagle, jakby ze skał wyrosła, pojawia się przed nimi postać, podchodzi kulejąc. Rozbójnicy rozglądają się bacznie, ale prócz dwóch orłów na szczycie skały nikogo więcej nie widać.

Widok Lochiela „Łagodnego”, który ledwie kuśtyka, przystając co krok, budzi ból w sercu księcia. Śpieszy naprzód, by powitać i oszczędzić choćby jednego kroku wodzowi, którego obie nogi podruzgotwały kule Cumberlanda na wzgórzach Drumossie Moor. Lochiel czyni niezdatny ruch rękoma, jakby chciał unieść swój kilt. Zamierza przykleknąć. Rozbójnicy znowu rozglądają się niespokojnie. Karol Edward wyciąga obie ręce:

— Och, nie, mój drogi Lochielu! Nie wiadomo, kto może nas obserwować z otaczających gór! Jeśli ujrzą cię na kola nach, dla każdego jasne, co to znaczy!

Jaskinia Lochiela ma wąskie wejście, ale dalej rozszerza się, tworząc obszerną komnatę, dość wysoką, by mężczyzna mógł stanąć swobodnie wyprostowany. Urządzono ją jak najwygodniej, wokół ławy i stołki, nawet stół, za którym książę od dawna nie siedział. Wódz ma trzech towarzyszy, którzy właśnie sprawiają i pieką pół tuzina dzikich kaczek, upolowanych przez górali z klanu Lochiela koło Loch Arkraig na tę okazję.

— Wracamy teraz — powiada Grant. — Wasza książęca wysokość jest, jak widzimy, w dobrych rękach.

— O nie, moi zacni druhowie — protestuje Lochiel. — W moim obecnym położeniu nie mogę się wam odwdziaczyć,

jakbym powinien, ale przyjmijcie przynajmniej gościnę i podzielcie się z nami posiłkiem.

Książę, Lochiel, jego brat i ich krewniak Donald siadają za stołem. Rozbójnicy przyłączają się do górali z klanu, obsługujących Lochiela. Kaczki znikają. Zjawiają się flaszki. Toasty. Stół odsunięty na bok, na świeżym wrzocie siadają kołem — książę „laird”, panowie, słudzy i rozbójnicy — a flaszki krążą gęsto. Lochiel opowiada stare podania, należące do tradycji jego klanu. Rozbójnicy, którym trunek rozwiązał języki, dumnie wspominają o niedawnych przygodach ze „szkarłatnymi mundurami”, o żołnierzach, którzy zapuścili się pojedynczo lub parami, a których zabili, i o góralach z klanów, których chronili, gdy udało im się zbiec z Fortu Augusta.

Rankiem rozbójnicy zbierają się do odejścia. Książę szczerze wdzięczny — bo bez wątpienia zawdzięcza życie tym ludziom, którzy tanio życie cenią — wygrzebuje z dna swojej sakiewki parę ostatnich monet, które jakoś przechował. Ale oni nie przyjmują pieniędzy.

— Weźcie! — nalega Karol Edward. — Gdy dostanę się do Francji, będę miał pod dostatkiem pieniędzy.

— Wasza książęca mość może ich potrzebować jeszcze tutaj — protestuje Chisholm. — Co do nas, przez cztery miesiące żyliśmy dobrze, nie oglądając wcale pieniędzy na oczy. Rzeźnik zaopatruje nas wcale nieźle.

Żegnają się, przyklękając w jaskini i całują rękę swego niedawnego gościa.

Tej nocy zbiegowie — prócz Donalda Camerona, który zdecydował się pozostać — ruszają na zachód. Lochiela niosą w czterech — trzech górale z jego klanu i jego brat — na noszach, sporządzonych z pledów, rozciągniętych między długimi drągami. Jego nogi są jeszcze zbyt słabe i bołą go często, nie podołałby uciążliwym marszom po usianych głazami górach. Idą przez całą noc, książę jest coraz bardziej znużony, ale trzyma się i maszeruje uparcie. Przed świtem znajdują kryjówkę w zagajniku karłowatych sosen, przy strumieniu. Odpoczywają całą

dzień, wieczorem znowu maszerują. Mogą się poruszać jedynie pod osłoną ciemności. Konieczność niesienia Lochiela sprawia, że szybkie ukrycie się za nierównościami gruntu, czołganie się — są niemożliwe.

Po trzech nocach powolnego marszu docierają do Lasu Ben Alder, między Loch Laggan a Loch Ericht, którego północny kraniec sięga w pobliże miasteczka Dalwhinnie, w kraju Athollów. Tu ich spotyka Macpherson z Cluny, ten, który przed rokiem najpierw zamierzał połączyć się z Anglikami, a później zmienił zdanie i przyprowadził swoich ludzi, by walczyli u boku księcia.

Cluny prowadzi ich na południe, nadal pod osłoną ciemności, do stóp wznoszącej się na 1200 m npm góry Ben Alder. Muszą wspiąć się do połowy zbocza, pod osłoną strefy lasów. Nosze Lochiela można przenosić tylko na krótką odległość, by dźwigający mogli odpocząć. Cluny też niesie kolejno, aby jeden z dźwigających mógł chwilę iść bez ciężaru.

Wreszcie tuż przed świtem docierają do lasu. Niezwykły to las. Księżciu wydaje się nie do przebycia, tak gęsto rosną nigdy nie trzebione pnie starych drzew. Cluny objaśnia, że rosną tak bujnie na niespotykanym tu często paśmie dobrej gleby, dzielącej wyższe szczyty góry od warstw niższych.

Cluny prowadzi dookoła strefy zalesionej. Dochodzą do miejsca, gdzie drzewa rosną nieco rzadziej i można przejść między nimi. Tu szereg drzew nie przekracza pół tuzina — dalej las wydaje się znowu nieprzebyty. Za rzadszym przejściem widnieje olbrzymia skała, trzykrotnie wyższa od człowieka, kilkunastu metrów w obwodzie. Chyba niegdyś, jeszcze zanim las wyrósł, musiała spaść z wyższych szczytów po zboczu i zatrzymała się na tej szerokiej płaszczyźnie urodzajnej gleby. Zwolna drzewa ją otoczyły i zarosły dookoła.

— Stąd będziesz musiał iść, Lochielu — mówi Cluny.

Książę się zastanawia: dokąd? Cluny przeciska się za skałą i wydaje cichy, przenikliwy gwizd, spoglądając w górę. Nad ich głowami ukazuje się sznurowa drabina, powoli opuszcza-

na. Cluny wspina się pierwszy, później książę, wreszcie Lochiel, podtrzymywany przez jednego ze sług. Z góry pomagają mu chętne ręce. U szczytu drabiny znajdują się drzwi, teraz otwarte, sporządzone z cienkich sosen, na skórzanych zawiasach. Karol Edward przekonuje się, że prowadzą one do dużej komnaty, o podłodze, ścianach i suficie wykonanych z drewnianych pni.

— Ale jak...? — zaczyna, zadziwiony.

Cluny śmieje się.

— Jesteśmy zawieszani na linach tak grubych, jak moja ręka, przymocowanych do poziomych konarów rosnących drzew. Proszę popatrzeć: pnie, które stanowią podłogę są równie przywiązane. Żadnego gwoźdźca nie użyto do tej budowy. Wbijanie gwoździ czyni zbyt wiele hałasu — mogłoby ściągnąć uwagę.

Goście są zdziwieni. Tyle pomysłowości, tyle pracy i umiejętności!

— Nazywam to „klatką” — dorzuca Cluny, a później, po doskonałym posiłku, opowiada: — Mam pięć klatek, zbudowanych w starannie wybranych miejscach, rozrzuconych na terenie kształtu mniej więcej trójkąta, ograniczonego jeziorami: Loch Rannoch na południu, Loch Treig na zachodzie, Loch Laggan na północy. Moi ludzie informują mnie stale o ruchach oddziałów angielskich. Kiedy jedna z klatek wydaje się zagrożona, przenoszę się do drugiej. Ale jeszcze ani jednej nie odkryli. Liczę, że będę mógł w jednej czy drugiej mieszkać jeszcze cztery lata.

W rzeczywistości, będzie tak mieszkał przez osiem lat, aż wreszcie, zmęczony koczowniczym życiem banity, wyjedzie do Francji. W ciągu całego czasu ludzie z jego klanu — dzierżawcy i wieśniacy — będą mu pomagali i żaden nigdy nie ulegnie pokusie zdobycia 1000,£ nagrody, wyznaczonej za informację o miejscu jego pobytu.

Posłyszawszy słowa: „mieszkać przez cztery lata”, książę zaczyna się niecierpliwić.



— Cenię wysoko waszą gościnność, ale mam nadzieję, że ja...

— Ależ nie, mości książę. Mam pewien plan, jeśli chodzi o waszą książęcą wysokość i o Lochiela także.

Z pomocą górali klanowych Cluny organizuje stałą komunikację z wybrzeżem, by otrzymywać wiadomości o statkach do Francji.

Po tygodniu zamieszkiwania w „klatce” na Ben Alder, książę dowiaduje się o oddziale żołnierzy w Dalwhinnie. Cała grupa, włącznie z dwoma góralami, towarzyszącymi Cluny’emu, przenoszą się nocą o jakieś 20 km na zachód, do drugiej „klatki”, w lesie w pobliżu góry Chno De arg.

Tu w parę dni później przychodzi stara zgarbiona kobieta, którą u stóp góry spotyka jeden z ludzi Clunego, pełniący tam wartę. W „klatce” staruszka zdejmuje przebranie — okazuje się, że to niski, lecz muskularny i żyłasty góral. Przynosi wiadomości o statku francuskim, który się pojawił koło Arisaig. Angielskie okręty krążą dalej na północy, przeważnie pilnując okolic North Uist, a inne podobno udały się daleko na północ-ny-wschód, aż do wysp Orkneyów, a nawet do wysp Szetlandzkich, szukając księcia, który, jak się zdaje, rozplynął się w powietrzu.

Francuski statek, „Prince de Conti” — który, jak się później okaże, nadpłynął z towarzyszącym mu okrętem „L’Heu-reux” do St. Moło, wysłany przez syna starego Sir Thomasa Sheridana — wejdzie do ujścia jeziora Loch nan Uamh, jeżeli dostanie umówiony sygnał, że książę czeka i że okolica jest chwilowo wolna od „szkarłatnych mundurów”.

Statek, który przybył na ratunek, a o którym Campbellow-scy żołnierze jakoś nigdy się nie dowiedzieli, podzielał na uciekinierów, jak garnek z miodem na muchy. Gdy dnia 29 września 1746 r. książę — odziany w łachmany, w dziurawym obuwiu — wstępuje o mglistym świcie na pokład, do pasażerów zaliczają się nie tylko Lochiel i jego brat Archibald, ale rów-

niez wódz klanu Stewartów, który ukrywał się w Moidart, dwudziestu trzech innych szlachciców i blisko stu górali z różnych klanów. Ta garść przynajmniej uniknęła pachołków Rzeźnika.

„Prince de Conti” rozwija żagle i wypływa z zatoki Arisaig. Młody Pretendent jest ocalony, jakby cudem — cudem heroizmu i milczenia setek górali, zazdrosnych o swój honor, którzy tym czy innym sposobem w ciągu owych pięciu miesięcy zaopiekowali się nim, ratowali i wiedzieli dokładnie o jego poruszeniach, Ocalony również dzięki własnej odwadze, zdolności odzyskiwania sił i pogodzie ducha, z powodu których stał się bliski i drogi swoim sentymentalnym rodakom. Pomimo klęski i cierpień, jakie znosili za niego, będą śpiewali o nim zawsze:

„Nie mogłeś być bardziej kochany...”

Ze swojej strony Karol Edward spogląda na Lochiela, złamanego na duchu i ciele — zostało mu już niecałe dwa lata życia. To ten sam człowiek, który owego dnia nad jeziorem Loch nan Uamh ostrzegał:

„Boję się, czy nie więcej tu śmiałości, niż rozsądku...”

Na co książkę odpowiedział po niemiecku:

„Dem Mutigen gehört die Welt” — do odważnych świat należy!

Ale gdzie są teraz „najdzielniejsi z dzielnych”?

Szkockim góralom nie brakowało odwagi ani dzielności. A jednak... świat nie należy do nich, chyba tylko tamten świat...

Szczęśliwe domy tysięcy „najdzielniejszych” leżą w ruinach, życie ich klanów brutalnie niszczone, ich żony i córki pohańbione...

Setki „najdzielniejszych” leżą w grobach pod Culloden. Setki innych rozpaczają w ładowniach statków z niewolnikami, płynących do Indii Zachodnich. Głowy innych wykrzywiają się w okropnym grymasie z bram Tower of London, z edyn-burskiego Tolbooth, z zamku Garlisle, z bram miejskich Inver-ness...

A Rzeźnik i jego żołnierze panoszą się w górach, niosąc cywilizację pod postacią głodu, zgliszcz i mordów... Bezdomne wdowy rozpaczają, a dzieci płaczą...

„Zdobyć koronę lub zginąć w tej próbie...” Ale korona jest tam, gdzie była. Czegóż więc ta próba dowiodła? Odwagi i dzielności? Być może. Ale

„niejeden dzielny żołnierz padł  
Niejeden dzielny wódz Śmierć swą  
drogo okupił...”

Jaka jest cena odwagi w cudzym cierpieniu? Cudzej śmierci?  
Jaka cena cudzej krwi?

## EPILOG

— ...wtedy jeszcze nie wyrzekłem się nadziei zdobycia potrójnej korony dla mego ojca, ewentualnie dla siebie. A jednak musiałem odrzucić jedyną nadarżającą się sposobność. W rok po moim wyjeździe ze Szkocji stosunki francusko-angielskie pogorszyły się wyraźnie. Ludwik XV posłał do mnie kardynała Tencina z propozycją, że mi zapewni pomoc, o ile po moim zwycięstwie odstąpiłbym Francji Irlandię. Odpowiedziałem: „Non, Monsieur le Cardinal, tout ou rien! Point de partage!” Nonsensem byłoby wpuścić obce mocarstwo, by usadowiło się tuż przy kuchennych drzwiach do naszego królestwa!

Mówiący ma lat sześćdziesiąt sześć. Zmęczone, szkliste oczy spoglądają na świat już bez złudzeń. Policzki obwisły, zmysłowe wargi są nieco uchylone, podbródek opada luźnymi fałdami skóry. Cała postać jest ciężka, roztył się, zwłaszcza poniżej pasa. Rozczarowania, długie lata próżniactwa, brak zawodu, który mógłby praktykować, nadmierne pobłażanie sobie — sprowadziły go na złe drogi. W tych ostatnich latach przybrał tytuł księcia Albany, ale lepiej jest znany swoim współczesnym pod mianem, pod którym przejdzie do legendy i historii — Karola Edwarda Stuarta.

Towarzyszką i słuchaczką jest jego jedyne dziecko — Charlotta, którą Klementyna Walkinshaw urodziła mu w Liege w 1753 r. Ta córka przebywała w klasztorze w Meaux we

Francji, ale teraz, w 1786 r. przyjechała, by zaopiekować się ojcem, schorowanym, melancholicznym. Chociaż jej matka nigdy nie poślubiła swego ukochanego księcia, jednakże Kościół uznał Charlotte dzieckiem legalnym, przyznając jej tytuł księżniczki Albany. I po matce odziedziczyła prostolinijność i szczerłość, które wraz z jej urodą zyskują jej wielu przyjaciół. Stary książę i jego córka często siadają w cieniu bujnych pnączy na balkonie swej willi w jednym z najpiękniejszych miast świata, u stóp Apeninów, na brzegach szmaragdowozielonej rzeki Arno — we Florencji. Willa urocza, ale jednak skromne to domostwo dla człowieka, wychowanego w ostentacyjnym przepychu w Rzymie, mieszkającego choćby krótko w Pałacu Holyrood w Edynburgu, kandydującego do Pałacu St. Jamesa w Londynie, prawnuka dwóch królów, władających państwami o wielkim znaczeniu w ówczesnych sprawach europejskich. W nieunikniony sposób rozmowa tych dwojga powraca wciąż do tego tematu...

— Według prawa jesteś teraz królem Anglii, Szkocji i Irlandii...

— Prawo, które nie ma mocy — odpowiada książę. — A rzekłszy prawdę, moi poddani wcale mnie nie chcą. Pojechałem incognito do Londynu w pięć lat po bitwie pod Gulloden, ale nie mogłem znaleźć żadnego poważnego poparcia...

Na balkonie zapada cisza. Ale na ulicach Florencji wózki ręczne turkocą po bruku, wielkie białe woły tokańskie, zaprzężone do wozów, stąpają z wolna, tętnią konie w pysznych szkarłatnych czaprakach...

Stary Pretendent, zwany królem Jamesem III angielskim, zmarł w 1766 r. przeżywszy "panowania sześciu angielskich suwerenów, z których pięciu uważał za uzurpatorów.

— ...papież, mocarstwa katolickie... czemu oni, którzy uznawali twego ojca, nie chcieli uznać ciebie?

— Byłem w Rzymie. Apelowałem do papieża Benedykta

XIV. Nie chciał mnie uznać. Sytuacja polityczna — stosunki Anglii z Watykanem, z Hiszpanią, z Francją — nie sprzyjały moim aspiracjom. Prócz tego, byłem gotów raz przed **laty** — niestety — wyrzec się mojej wiary w nadziei, że dzięki temu chętniej mnie przyjmą w Anglii. Żałowałem tego, ale papież i katolickie mocarstwa zwątpiły w szczerłość moich intencji przywrócenia heretyckiego kraju na łono katolicyzmu...

— Ale w szkockich górach — o, gdybym je mogła kiedyś zobaczyć, choć nawet wiem, że życie klanów już nie istnieje — jesteś nadal uwielbianym bohaterem ballad i wzruszających opowieści.

— Zacni ludzie. Ale musisz zrozumieć to, co ja w końcu pojąłem. Górale szkoccy także nie kochają się w klęsce, upokorzeniu, smaku porażki. I tylko, by dodać sobie ducha, przemienili w legendę mnie i swoje własne wyczyny wraz ze mną.

— Jakobici w Anglii i w Szkocji nadal, nawet dzisiaj, wznoszą toasty za twoje zdrowie...

— Przyjemna tradycja. Nic więcej. Ci, którzy piją za moje zdrowie, śmieliby się na myśl o próbie obalenia ich króla. Król... który to jest teraz? Jerzy III? Potomkowie po mieczu Marii Stuart wymierają wraz ze mną. Nie mam syna. Sprawa jakobicka jest pogrzebana — głębiej nawet, niż ty mnie pogrzebiesz niebawem. A mnie Bóg wybrał na grabarza tej sprawy...

— Musisz się otrząsnąć z tej melancholii — mówi Char-lotta. — Pokaż mi piękną Florencję.

I chociaż przed jej przyjazdem Karol Edward prawie nie opuszczał swojej willi, teraz mieszkańcy widują go, jak wsparty na ramieniu córki spaceruje pomału ulicami, wskazując jej laską najpiękniejsze zakątki miasta, o którym średniowieczny poeta Łapo Gianni mówił, że wyrzekłby się raj, gdyby mógł tu pozostać do skończenia świata. Wielkie pałace, fortece miejskie, budowane wokół kwadratowych dziedzińców, gdzie tryskają chłodne fontanny, wirydarze, strzyżone ogrody, otulone różami loggie. Różowo-zielone kampanille, katedra pod kopułą, grobowce Medyceuszów, wieża Signorii, rzeźby Michała

Anioła i piazza, na której w 1498 roku został spalony Savo-narola.

Ale wieczorami Charlotta nie powściąga swojej ciekawości. Chciałaby usłyszeć z ust ojca potwierdzenie lub zaprzeczenie tego co słyszała o jego życiu. Stary książę opowiada jej więc dzieje rebelii — a może tylko pewien aspekt tych dziejów — opowiada o tych miesiącach, kiedy był zbiegiem. A Charlotta rozpytuje dalej:

— Półtora roku, które jak mówisz, obejmuje właściwie wszystko, co warte zapamiętania z twojego życia... I w ciągu tego półtora roku wywarłeś większe wrażenie na umysłach twoich współczesnych, a zapewne i następnych pokoleń, niż ten Hanowczyk, którego chciałeś pozbawić tronu, w ciągu całych trzydziestu lat swego panowania.

— A kiedy człowiek, który przełamał kregostup szkockich klanów, William książę Cumberland, zwany Rzeźnikiem, umierał na rok przed śmiercią mojego ojca, był najpopularniejszym człowiekiem w Anglii. I ludzie, i historia, więcej się interesują gloryfikacją bitew i przelewu krwi, niż współczuciem. Gdyby było inaczej, może nie tak łatwo osnuli by legendę wokół młodzieńca, którego nieudana rebelia pozostawiła po sobie tylko nieszczęścia, rozpacz, kres pewnego trybu życia — a może raczej litowaliby się nad człowiekiem, który wędrował po całej Europie, usiłując zatykać uszy przed echami jęków mordowanych mężczyzn, rozpaczających wdów — człowiekiem, który próbował uciec przed sobą samym.

Charlotta zachwyca się nie tylko Florencją, której salony są wypełnione najwspanialszymi malowidłami, gobelinami, bezcennymi dziełami sztuki wielkich artystów. Zabiera ojca również do dzielnic, gdzie ślicznie wyrobione obuwie i strojne kapelusze ozdabiają witryny okien, gdzie warsztaty i sklepy me-blarzy, białoskórników, introligatorów, złotników tłoczą się jedno obok drugich; gdzie cukiernicy na oczach przechodniów

wyrabiają cuda z białej słodkiej masy, a handlarze noszą na długich tyczkach upieczone prosięta, gdzie w powietrzu mieszają się wonie świeżego drewna, soczystych owoców, skóry, wina, parmezanu i befsztyków. Młoda księżniczka ścisła ramię swego starego ojca, rozkoszując się Florencją — miastem żyjącym bujnie i z rozmachem.

Kiedyś, gdy po jednej z wypraw za miasto zasiedli znowu na balkonie, Charlotta wyciąga ojca na inne, bardziej osobiste zwierzenia:

— Ale później, w Europie, po której błądziłeś, musiałeś przeżywać także i przyjemne chwile. Moja matka przyjechała do ciebie, do Francji, w 1751 r. Kochała ciebie — a ty ją.

— Nigdy nie kochałem żadnej innej...

— Ani ona nie kochała nikogo innego. Sama mi to powiedziała.

—i A jednak nie było tego dosyć dla jej szczęścia, ani też mojego. Dopóki jeszcze marzyłem o koronie, nie mogliśmy się pobrać. Nie mieliśmy domu, nie mieliśmy podstaw do wspólnego życia. Wędrowaliśmy z jednego pałacu do drugiego, para nielegalnych, nie poślubionych kochanków, wszędzie stając się powodem kłopotów i skrępowania naszych przyjaciół. Ty przyszłaś na świat matce na pociechę i osłodę. Ale ja już za daleko posunąłem się w hulankach, w których szukałem zapomnienia. Aż wreszcie, jak wiesz, twoja matka wstąpiła do klasztoru... jak moja matka, i mniej więcej, z tych samych powodów...

— A ta, którą poślubiłeś... to było chyba w 1772 r.?

— Księżniczka Ludwika von Stolberg. Związek, zawarty pod naciskiem przyjaciół, aby dynastia nie wymarła. Wtedy już nie umiałbym dać szczęścia żadnej kobiecie. I nie urodził się żaden dziedzic. Księżniczka także mnie porzuciła... ze swoim kochankiem, poetą Vittorio Alfieri...

Jeszcze innego dnia Charlotta poprosiła, by jej opowiedzieć o romantycznej podróży jej babki z Oławy do Rzymu.

— A, to już inna historia...



W rok po swoim przyjeździe Charlotta zabrała ojca z Florencji, gdzie nazbyt już długo przebywał, pogrążając się coraz bardziej w melancholii. Zamieszkali w Rzymie, w tym samym pałacu, w którym Klementyna z domu Sobieska urodziła, chłopca...

A jeszcze w rok później...

Uroczystości żałobne celebrował kardynał Henryk Stuart w tej samej kaplicy Palazzo Muti, gdzie kwilące niemowlę, z którym tysiące ludzi wiązało wielkie nadzieje, otrzymało-w 1721 r. imiona: Karol Edward Ludwik Jan Kazimierz Sylwester Seweryn Maria.

A w 1788 r. może ktoś jeszcze mógłby dosłyszeć echa słów, które odbijały się o mury pałacu przed sześćdziesięciu ośmiu laty:

- Polska krew Sobieskich. Szkocka krew Stuartów...
  - Niechaj Bóg da chłopcu najlepsze cechy obu rodów!
  - Niechaj Bóg zachowa go od najgorszego!
  - Bóg lubuje się w hazardzie... rzuca kości.
- Przegrał ten, który był nadzieją jakobitów.

## SPIS TREŚCI

### CZĘŚĆ PIERWSZA — ROMANTYCZNY AWANTURNIK 5

Rozdział	I. Unia polsko-szkocka.....	7
Rozdział	II. Marszałek ostrzega.....	16
Rozdział	III. „Do dzieła — nareszcie!”.....	27
Rozdział	IV. Lochieci Łagodny.....	41
Rozdział	V. Wojujące klany i angielskie złoto ....	55
Rozdział	VI. Królewicz Stuart nadciąga.....	69
Rozdział	VII. Zmiana warty w Edynburgu.....	85
Rozdział	VIII. Zwycięzca spod Prestonpans.....	97
Rozdział	IX. Wesóło było.....	112
Rozdział	X. „Powieszę nas wszystkich!”.....	126
Rozdział	XI. Wzrok utkwiony w mirażu.....	138
Rozdział	XII. „Tak mało przyjaciół!”.....	151
Rozdział	XIII. Z powrotem w ślepy zaułek.....	163
Rozdział	XIV. „Nikt, prócz szalonego głupca...” . . .	176
Rozdział	XV. „Kto nie chce w śmierci naszym być kolegą”	193

### CZĘŚĆ DRUGA — ZBIEG..... 205

Rozdział	XVI. Ucieczka przed krwawą zemstą.....	207
Rozdział	XVII. „Nakazy humanitaryzmu” i nieludzkość .	219
Rozdział	XVIII. Wśród szeregów wroga.....	233
Rozdział	XIX. Gdzie są najdzielniejsi z dzielnych? . . .	247
Epilog	.....	258
Ilustracje	.....	265



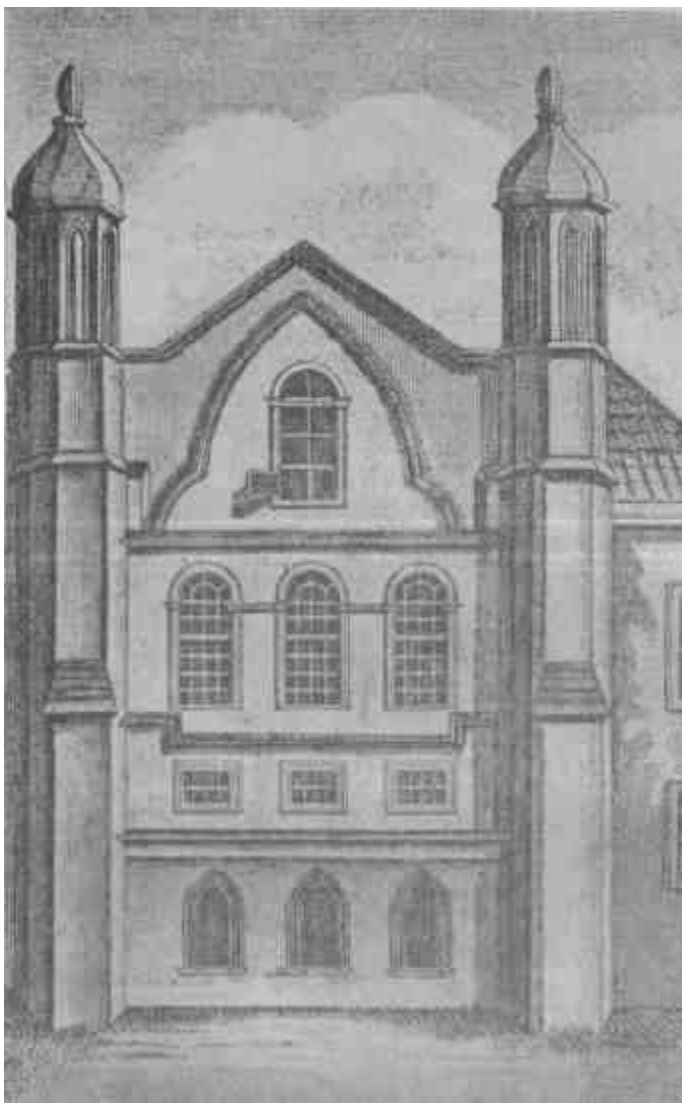
William Pitt, późniejszy hrabia Chatham



*Zamek Sterling*



Lord George Murray



Izba Gmin w XVIII wieku. Widok od strony Tamizy

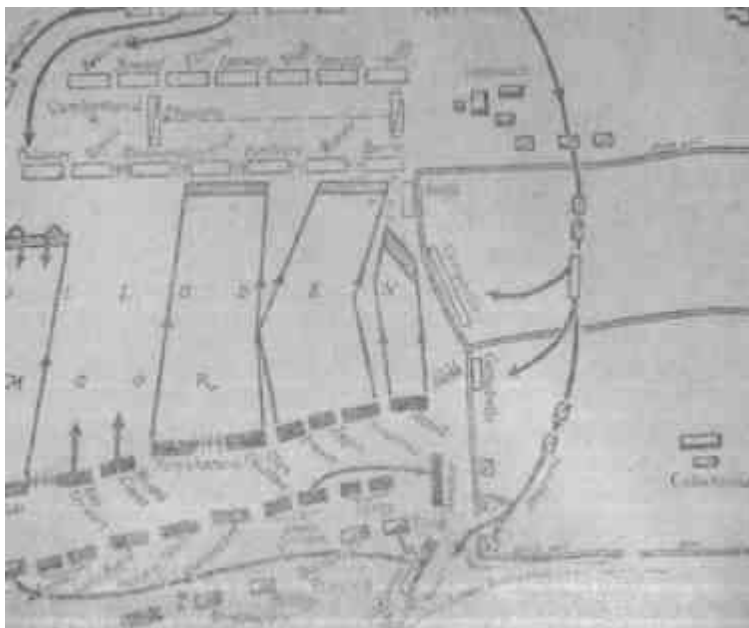


Stary Pretendent — James Stuart



Lochiel Lagodny





Bitwa pod Gulloden

Na wrzosowiskach Drumossie Moor





W angielskim więzieniu



**Inverno**



Egzekucja po stłumieniu powstania